

*Ille*  
**KUMPELKA**

.....  
Gdy brak chłopaka lub potrzebna jest zasłona dymna  
usypiająca czujność rodziców...  
.....

LISA ALDIN

AKAPIT  
PRESS

## Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Rozdział pierwszy Rozdział drugi  
Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty  
Rozdział siódmy Rozdział ósmy Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty  
Rozdział jedenasty Rozdział dwunasty Rozdział trzynasty Rozdział  
czternasty Rozdział piętnasty Rozdział szesnasty Rozdział siedemnasty  
Rozdział osiemnasty Rozdział dziewiętnasty Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy Rozdział dwudziesty drugi Rozdział  
dwudziesty trzeci Rozdział dwudziesty czwarty Rozdział dwudziesty  
piąty Rozdział dwudziesty szósty Rozdział dwudziesty siódmy Rozdział  
dwudziesty ósmy Rozdział dwudziesty dziewiąty Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy Rozdział trzydziesty drugi



# KUMPELKA

---

LISA ALDIN

**AKAPIT**  
**PRESS**

Original title ONE OF THE GUYS  
Copyright © 2015 by Lisa Aldin  
Copyright © for translation Akapit Press  
This translation published by arrangement with Spencer Hill Press LLC  
through RightsMix LLC.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Przekład:  
Iwona Żółtowska

Korekta:  
Joanna Pietrasik  
Magdalena Granosik

Skład i łamanie:  
Justyna Zajączkowska

Wydanie I, Łódź 2016

ISBN 978-83-65345-30-1

Na okładce wykorzystano zdjęcie iStock by Getty Images, fot.  
Christopher Futcher

**Akapit Press Sp. z o.o.**  
ul. Łukowa 18 B, 93-410 Łódź  
tel./fax 42 680 93 70

**www.akapit-press.com.pl**  
**zamawiam@akapit-press.com.pl**

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com



## Rozdział pierwszy

Uwielbiam początek obławy. Żadne z nas nie odczuwa zmęczenia ani głodu, nie marudzi. Otwiera się przed nami ocean możliwości; może uda się sfilmować legendarne monstrum z jeziora; może położymy kres wątpliwościom dotyczącym jego istnienia; może i my przejdziemy do legendy...

Powierzchnię jeziora Champlain marszczą drobne fale, a ja wyobrażam sobie, że wesolutki Jeziorak pływa w głębinach, łypiąc na nas okiem. Kolana mi drżą jak u małolaty czekającej na Świętego Mikołaja. Nie mogę usiedzieć spokojnie, ale chłopaki są na totalnym luzie; milczą, patrzą w mrok i czekają. Woda pluszcze cicho o burzę podskakującej na falach motorówki Lansera, a powietrze zalatuje wodorostami.

Śmiało, Jezioraku. Pokaż się. Nie pękaj.

Spoglądam na niebo upstrzone chmurami i mam nadzieję, że spadnie deszcz. Lubię wracać do domu z obławy ciut śmierdząca i przemoczona. Muszę przyznać, że wieczór wydaje się zmarnowany, jeśli nie naniosę błota do salonu.

Szkoda, że nie mam pojęcia, jak wywabić prastare monstrum z głębin. Okruchami chleba? Transową pieśnią? Rytualnym płasem? Próbowaliśmy wszystkiego, ale Jeziorak nie pokazał się ani razu od pamiętnego lata przed piątą klasą. Tamto przeżycie scementowało naszą przyjaźń. Wszyscy czworo ujrzeliśmy wtedy ogromny czarny ogon tnący powierzchnię wody.

Wyrywa mi się potężne beknięcie. Siedzący przy sterze Wodnik odwraca głowę i spogląda karcącym wzrokiem. Jego zwykły biały T-shirt łopocze na wietrze. Uśmiecham się przeprasząco. To nie był odpowiedni moment na demonstrowanie mego talentu.

Pierwsza skucha.

W czasie obławy obowiązuje cisza. Trzykrotne złamanie reguły oznacza koniec wyprawy. Jeziorak lubi spokój. Dlatego od stuleci ukrywa się na samym dnie.

– Wybacz – szepczę, powstrzymując kolejne beknięcie. Trzeba ograniczyć rolę.

Po chwili Wodnik uśmiecha się i rzuca bezgłośnie:

– Mistrzostwo świata.

Tłumię śmiech. Zgadza się. Grunt to spontaniczność, jak by powiedział mój tata.

Lanser klepie się po ręku.

– Cholerne robactwo – mamrocze.

Wzdycham. Narzekanie czas zacząć. Mogłabym bez słowa skargi przez całą noc siedzieć zgrzana i spocona wśród roju owadów, ale Lanser z trudem wytrzymuje niespełna pół godziny z buzią na kłódkę. Grzebię w plecaku z akcesoriami niezbędnymi podczas obławy na wodnego potwora, wyciągam owadobójczy aerozol i rzucam go Lanserowi na drugi koniec łodzi.

– Dzięki, Buła – mówi szeptem. Spryskuje ramię, aż skóra lśni wilgocią.

Kowboj kaszle i marudzi po cichu:

– Nie przesadzaj z tą trutką. – Odsuwa się od Lansera, zatyka nos i usta.

– Robactwo roznosi zarazki. – Lanser pochyla się, żeby spryskać potężnie owłosione nogi. Powinien je chyba golić. Przypominają włochate gąsienice. – Nie zamierzam ryzykować.

– I kto to mówi? Facet dla zabawy śmigający po górach na desce! – Kowboj opiera łokcie na kolanach. Wielki owad wpelza między kosmyki jego płowych włosów. Kowboj lekko potrząsa głową i robał znika w ciemności.

– Jeżdżąc na snowboardzie, nie łapię żadnych chorób – odcina się Lanser nieco głośniejszym szeptem. Krzywię twarz; powinien siedzieć cicho. Spłoszymy potwora, a przecież obława dopiero się zaczyna. Kowboj odchyła głowę do tyłu i przymyka oczy. Nudzi się. Jak to możliwe? Czatuujemy na potwora! Mnie ściska w dołku tak samo jak podczas oglądania ulubionego filmu, który zaraz się skończy, a nie ma

szans na powtórkę.

– Cicho – mówię zduszonym głosem. Komar siada na moim ramieniu i kłuje. – Odstraszysz Jezioraka tym głupim marudzeniem.

– Zima jest super. – Lanser wyciera ręce o luźne szorty. – Nie ma wtedy robactwa.

– Jeziorak nienawidzi hałasu – szepcze Wodnik, bawiąc się profesjonalnym aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi.

– Racja – przytakuje szeptem Kowboj, nie otwierając oczu.

Wszyscy milkną. Drapię bąbel po ukłuciu komara i oddycham swobodniej, uradowana ciszą, choć to stan przejściowy. Zachowanie Kowboja działa mi na nerwy, bo ten głupek oczy nadal ma zamknięte. Podczas obławy na potwora! Jak zamierza cokolwiek zobaczyć?

Biorę głęboki oddech i próbuję wyluzować. Negatywne vibracje odstraszą Jezioraka. Wiatr marszczy powierzchnię wody, a ja błędnie spojrzaniem po górach otaczających jezioro. Mogę się założyć, że przez setki lat wielokrotnie oglądały Jezioraka. Obserwowały każde wynurzenie, każdą akcję. Znają także naszą historię. Gdyby tylko potrafiły mówić! Nam nikt nie wierzy, że widzieliśmy monstrum.

Po chwili spoglądam na Wodnika. Lekko trzyma ster, bez wysiłku prowadząc łódź. Nie mogę się na niego napatrzyć w tych pięknych ocaliczościach przyrody, podczas obławy na legendarnego zwierza. Kilka minut później wyłącza silnik, wstaje i wsuwa dłonie do tylnych kieszeni dzinsów.

Poprawka. Dopiero teraz następuje moja ulubiona część obławy: obserwowanie Wodnika wstrzymującego oddech i jego ust poruszających się jak podczas modlitwy, choć dobrze wiem, że się nie modli, tylko mówi do Jezioraka, pertraktuje z nim i targuje się, licząc na fajny pokaz.

– Ej, Buła! Kopsnij chipsy. Może być ser i cebulka – mówi Lanser.

Zdumiewa mnie ta prośba. Lanser już nie szepcze. Odrywam wzrok od Wodnika i grzebię w plecaku. Nie ma chipsów. Racja, pożarłam wszystkie, kiedy tu jechaliśmy. Zamiast chipsów rzucam mu puszkę coli. Mam nadzieję, że teraz będzie cicho.

– Hej – odzywa się Kowboj cicho, choć nie szeptem. – Rzuć i mnie, dobra?



Niech się wypcha. Powinnam mu podać to picie, ale mi się nie chce. Jestem rozleniwiona. Siedzę wygodnie. Rzucam puszkę, która wyslizguje się z rąk Kowboja i uderza głośno o dno łodzi, a potem toczy się ku mnie. Natychmiast ją przydeptuję. Wodnik napina ramiona. Ciemnymi oczyma wpatruje się w wodę.

Druga skucha.

Nagle za moimi plecami rozlega się plusk. Lanser z Kowbojem zrywają się na równe nogi i wychylają się za burtę tak mocno, że któryś wpadnie zaraz do wody. Klnąc, grzebię w plecaku, a tymczasem Wodnik kieruje na jezioro światło latarki i obiektyw aparatu. Znajduję wreszcie swoją latarkę i dwa blade snopy światła mkną po tafli jeziora.

Serce mi wali.

Wstrzymuję oddech.

Jedyny dźwięk to chlupot fal.

Wciskam się między Lansera i Kowboja. Czuję odór spreju na robale pierwszego i porażającą woń perfum drugiego. Podejrzewam, że idąc na obławę, Kowboj zlewa się pachnidłem, bo nie wyklucza przypadkowego spotkania z Katie Morris, w której kocha się od dawna. Mało prawdopodobne, żeby ta panna wybrała się kiedyś na poszukiwanie monstrum z jeziora.

Przez kilka minut obserwujemy powierzchnię wody, szukając źródła plusku. Może Jeziorak raczy nam dziś pokazać pyszczek, łapę albo pazur. Byłoby miło z jego strony.

Lanser z westchnieniem odsuwa się od relingu. Serce mi się ściska. Chwileczkę, koleś. Nie pękaj. On jest tam, w głębinie. Trzeba cierpliwie poczekać. Po chwili Kowboj siada ciężko na ławce i sięga po colę. Słysząc trzask otwieranej puszkę. Kulę się. Skucha numer trzy? Zerkam na Wodnika. Jeszcze nie. Wysoka postać jest nieruchoma jak posąg. Wodnik i ja nadal obserwujemy powierzchnię jeziora. Nie rozumiem, czemu Lanser i Kowboj się poddali. Jeszcze młoda godzina. Przez te wszystkie lata przeżyliśmy wiele fałszywych alarmów. Drobnostka. Fałszywy alarm nie oznacza, że rezygnujemy.

Gruby konar niesiony falą mija łódź. Wodnik gasi latarkę i pociera zarośnięty policzek. Z westchnieniem wyłączam swoją. Gdy Wodnik pasuje, nadziei ubywa. Ramiona mu opadają, siada znów za sterem.

Chciałabym zagadać i jakoś go wesprzeć, ale obawiam się, że to by oznaczało oficjalny kres obławy.

Siadam, lecz w ostatniej chwili zerkam na jezioro. Nic nie widzę.

– E, Wodnik. – Lanser chichoce. – Masz kolejne kadry do filmu o pływających patykach.

Wściekła opadam na siedzisko. Klamka zapadła. Trzecia skucha.

Wodnik uruchamia silnik.

– To się nie liczy – mówię z westchnieniem.

– Jeziorak krąży pewnie z dala od łodzi, więc raczej go dziś nie zobaczymy – mówi Wodnik, kierując łódź do nabrzeża. – Nie ma sensu tkwić na wodzie, skoro co chwila go płoszymy.

Opuszczam wzrok, zaciskam usta i podciągam czarne spodenki gimnastyczne. Koniec obławy mnie dołuje. Wszyscy są opryskliwi i posepni.

Kowboj ziewa.

– Tak się zastanawiam... Może wtedy zobaczyliśmy węgorza-giganta albo coś takiego? Chyba tracimy czas.

Lanser kiwa głową.

– Tak. Albo wyobraźnia jedenastolatka ze zwykłego patyka zrobiła wielki ogon.

Nie. Nie. Nie. Takie gdybanie mnie nie kręci. Prycham gniewnie i próbuję głupim żartem poprawić humory mojej ferajnie.

– Dobrze kombinujesz, Lanser. Najwyraźniej bawi cię udawanie, że niektóre obłe kształty wydają się większe niż w rzeczywistości.

Kowboj parska śmiechem i cola tryska mu nosem. Lanser szczyrzy zęby, kręci głową i morduje komara. Patrzą na Wodnika, ciekawa jego reakcji. Ściska koło sterowe i milczy, zatopiony w myślach. Czuję się odrobinę dotknięta. Zwykle śmieje się z moich kiepskich żartów.

Zapada cisza. Jasne. Wszyscy się w końcu zamknęli. Słysząc tylko szum silnika. Przez moment łudzę się, że będziemy kontynuować poszukiwania, ale Wodnik nie zawraca. Pomost się zbliża i rośnie w oczach.

– Prawie całe lato na tym strawiliśmy – mówi Lanser. – Szukaliśmy monstrum. Gdzie jest Wielka Stopa, Jeziorak, Nessie, mamut, tygrys szablozębny? Po co nam to było? Ludzie, za rok

kończymy szkołę. Nie możemy ciągle uganiać się za stworzeniem, które podobno widzieliśmy, mając jedenaście lat. Wystarczy tej gonitwy za niepewną złudą.

– Sfilmujemy potwora i zyskamy dowód – tłumaczy Wodnik. – Musimy tylko zachować czujność we właściwym momencie.

– Wszyscy tam byliśmy. – Kowboj smukłymi palcami muska kołnierzyk flanelowej koszuli z krótkimi rękawami. – Wszyscy pamiętamy. Czemu powinno nam zależeć na dowodach dla innych?

Wodnik zwleka z odpowiedzią. Zniża głos do szeptu. Widzę jego twarz z profilu. Tańczą na niej mrok i światło.

– Bo niektórzy z nas zapominają.

Dopływamy do nabrzeża. Lanser i Kowboj wyskakują od razu i przywiązują łódź. Chętnie pogadałabym z Wodnikiem o nadziei i tak dalej, ale nie oglądając się, wysiada na brzeg, więc milczę.

Opuszczam łódkę ostatnia. Chłopaki nadal sprzeczą się o Jezioraka, dlatego umyślnie zostaję w tyle, bo jestem wściekła. Pod stopami mam cztery imiona – nasze prawdziwe, sprzed nadania ksywek – wyryte koślawymi kulfonami na deskach pomostu, rozpostarte jak czerwony dywan.

Toni. Mike. Luke. Justin.

Gdy podnoszę wzrok, chłopaki są w połowie moła prowadzącego na parking i nadal kłócą się zawzięcie, czy Jeziorak istnieje. Przed rokiem wszyscy święcie wierzyliśmy w monstrum żyjące w głębinach. Skąd ta zmiana?

– Hej! Jest wcześniej – krzyczę, przestępując z nogi na nogę.

– Mam dość szukania potworów! – woła Lanser, odwracając głowę. – Jeśli nie masz lepszego pomysłu, wracam do domu.

Kowboj przystaje, odwraca się i patrzy na mnie. Uśmiechnięty wciska ręce w kieszenie džinsowych szortów.

– Muszę doczytać „Moby Dicka”.

Idzie dalej. Chłopaki wydają się coraz mniejsi, coraz bardziej odlegli. Nagle dociera do mnie, że stało się. To ostatnia obława. Koniec naszej ferajny. Nie tak miało być.

– Mam pomysł! – wołam. – Rewelacja! Hit sezonu! Totalny odlot! Kosmiczna niespodzianka!

Chłopaki zatrzymują się i odwracają w moją stronę. Wszystkie oczy są teraz skierowane na mnie. Oblewam się potem, gorączkowo próbując wymyślić zręczne kłamstwo, żeby ich zadowolić; cokolwiek, byle tylko zostali. Biorę głęboki oddech i ruszam w ich stronę.

– Pakujcie się do bryki – komenderuję z uśmiechem. – Kurde, to będzie niezapomniany wieczór.



## Rozdział drugi

Siedzenie pasażera w wysłużonej hondzie civic Wodnika zna mnie jak zły szeląg. Podczas jazdy wciskam się w fotel obity wytartą tkaniną i skubię luźną nitkę sterczącą obok kolana, starając się jej nie wyszarpnąć. Nie mam żadnego planu. Blefowałam na maksa i teraz zastanawiam się, kiedy ferajna zorientuje się, że ściemniałam, bo nie chcę się jeszcze z nimi pożegnać.

To nasze ostatnie wakacje przed maturą. Powinniśmy zewrzeć szeregi, zamiast się oddalać. Jesienią przyszłego roku tak wiele się zmieni. Należy teraz cieszyć się tym, co mamy... póki czas.

– W którą stronę? – pyta Wodnik, bębniąc palcami po kierownicy. Auto toczy się ku znakowi stop.

– W lewo. – Podnoszę głowę i staram się mówić stanowczo, ale głos mi drży. Obluzowana deska rozdzielcza dygoce i zagłusza przyciszone radio. Usiłuję pokręcić gałką, ale strzałka znieruchomiła na wieki w dole skali.

Mój fotel podskakuje, gdy Lanser siedzący na tylnej kanapie rzuca się w przód i pyta:

– Buła, dokąd jedziemy?

– Niespodzianka! Nie chcę jej zepsuć. – Patrzę w głąb ciemnej ulicy ze szpalerami drzew. Jest gorąco i strużki potu spływają mi po szyi. Klimatyzacja hondy niekiedy działa, ale dziś ma zły dzień.

Kowboj siedzi z tyłu, przy Lanserze, z nosem w książce i głową przyciśniętą do szyby. Czyta mój stareńki egzemplarz „Moby Dicka”. To wakacyjna lektura; będziemy ją omawiali jesienią.

– Kowboj, mam pytanko – zagaduje Lanser, rozparty na tylnym siedzeniu. – Czy ty jesteś masochistą?

Zerkam w lusterko wsteczne i obserwuję Kowboja, który mówi, nie podnosząc oczu znad książki.

– Mam pomysł na dzisiejszy wieczór. Zróbnmy sobie próbę milczenia.

– Ta powieść to koszmar – peroruje Lanser. – Istna masakra. Jaki pożytek czerpiemy z lektury setek stron o kaszalocie?

– „Moby Dick” to jedna z najlepszych opowieści o potworach w historii literatury – wtrąca Wodnik, kręcąc głową. – Przestań się czepiać.

Z daleka widzimy jasno oświetlone kino i tytuły filmów wyświetlanych w tym tygodniu. Przypominam sobie wieczorne seanse w środku tygodnia, gdy tata zabierał mnie do kina. Nie zważam na ściskanie w dołku, to wcale nie jest przykre uczucie. Towarzyszy dobrym wspomnieniom, ale brak mi taty. Trzy lata minęły od tamtej śmierci, lecz nadal czuję jego obecność, zwłaszcza w dobrze znanych miejscach, takich jak nasze kino.

– Skręć tutaj – komenderuję.

Wodnik wjeżdża na parking, który lśni po popołudniowym deszczu. Znajduje wolne miejsce blisko wejścia. Opieram łokieć o drzwi auta i bawię się kosmykiem włosów, który wysunął się z końskiego ogona. Pamiętam, jak we wtorki późnym wieczorem często kradliśmy z tatą stare plakaty, zanim trafiły do kosza. Wiele z nich zdobi teraz mój pokój. Nienawidzę przemijania, które wszystko rozwała.

– Hej, ferajna, mam do was poważne pytanie – mówi Lanser.

Odwracam się, ciekawa, czy tak samo jak ja myśli, że ten rok nie musi być końcem wszystkiego, że stanie się nowym otwarciem i obietnicą zachowania ciągłości, choć wiele rzeczy się zmieni.

Lanser robi pauzę, bierze głęboki oddech i rzuca:

– Kto pierdnął?

Otwiera okno i macha ręką, jakby chciał wypchnąć zepsute powietrze. Chichocę i zerkam na Wodnika, który uśmiecha się tylko i bębni palcami po kierownicy.

– Auto ma swój zapaszek... – mówi. – Może to koktajl mleczny, który się rozlał w zeszłym tygodniu.

– To jest ten nowy wspaniały plan? – Kowboj podnosi wzrok znad książki. – Kino? Film możemy obejrzeć u Wodnika w piwnicy. Moja kolej. Ja decyduję, co oglądamy. Wybieram „Cztery wesela i pogrzeb”.

Lanser przybija mu piątkę.

– Jestem za! Świetny film.

– Litości, człowieku. Lepiej od razu mnie zastrzel – jęczy Wodnik.

– Lepszy niż horrory, które ty i Buła uwielbiacie – upiera się

Kowboj.

– Błagam, Toni. Oszczędź mi koszmaru oglądania komedii romantycznej – mówi Wodnik, zerkając na mnie. – Na pewno masz asa w rękawie.

Wzdycham, gotowa przyznać się do porażki, bo w głowie pustka, aż tu nagle znajoma postać wychodzi z kina. Dyro Rogers przystaje na chodniku, oświetlony blaskiem kinowych świateł. Pociera okulary o niebieską koszulkę polo i zerka na czyste wieczorne niebo. Wsuwa patrzalki na nos i przegarnia palcami gęste siwe włosy.

– Dyrzio Rogers. – Na jego widok Lanser się ożywia. – Niesamowite. Kto by pomyślał, że gostek ma życie prywatne i funkcjonuje poza naszą budą. – Żartobliwie kopie oparcie mojego fotela. – Buła, coś ty wykombinowała?

– Nic – wtrąca Kowboj. – To chyba oczywiste.

– Nieprawda! – rzucam. Obserwuję dyra i coś mi chodzi po głowie. Głupi pomysł. Naprawdę sztubacki. Ale to lepsze niż nic. – Coś wymyśliłam. Będzie super.

– Słuchamy, Buła. Wal śmiało – mówi Kowboj. Z uśmiechem zamyka książkę. – Nadeszła wiekopomna chwila. Co robimy?

Drapię nadgarstek ukłuty przez komara i mówię śmiało:

– Panowie, wypniemy się na dyra Rogersa.

Zapada milczenie. Nabrzmiała zdumieniem cisza. Serce mi kołacze. Nigdy się na nikogo nie wypięłam. Głupi żart, ale nieszkodliwy. Czy potrafię się na to zdobyć? Czy wystawię na widok publiczny wiadomy kawałek siebie? Tak. Oczywiście, dam radę. Gdy jest ze mną ferajna, mogę góry przenosić.

– To będzie niezapomniane doświadczenie – agituję śmiało. – Wyluzujcie, chłopaki. Za rok kończymy szkołę. To będzie wyglup na miarę egzaminu dojrzałości. – Albo nowe otwarcie dla naszej ferajny. Być może od dzisiejszego wieczoru Jeziorak nie będzie nam już potrzebny jako wspólny mianownik.

Lanser radośnie boksuje oparcie mojego siedzenia.

– Genialne! Mnie to pasuje! Ludziska, działamy!

– Nie wystawię tyłka na widok publiczny – wzdycha Kowboj.

– Wolisz go zaprezentować Katie Morris? – pyta Lanser, wicherząc mu włosy. – Kiedyś cię zauważy, chłopie, choć z nią nie gadasz, nie ślesz SMS-ów i w ogóle traktujesz ją jak powietrze.

Policzki Kowboja czerwienieją. Zsuwa się na siedzeniu i chowa nos w powieści Melville’a. Każda wzmianka o Katie Morris sprawia, że odcina się od nas przynajmniej na pięć minut; zapewne po to, żeby o niej marzyć.

Wodnik pochyła się ku mnie. Czuję zapach wanilii. Przygląda się uważnie dyrowi i unosi brwi.

– To ma być ten nowy wspaniały plan? Skąd wiedziałaś, że dyro tu będzie?

Wzruszam ramionami, unikając jego wzroku. Wodnik od początku wie, że ściemnam. Zawsze wyczuwa, kiedy kłamię. Dziś puszcza to płazem.

– Ej, chyba nie jest sam.

Smukła szatynka o jasnej cerze podchodzi do Rogersa i bierze go pod rękę. Ma na sobie czerwoną letnią sukienkę, bardzo ładną. Z rozmarzonym wyrazem twarzy przytula głowę do ramienia dyra, który uśmiecha się szeroko – rzadki i osobliwy widok – i czule gładzi ją po policzku.

– Ale jazda! On ma randkę – mówię szeptem.

– Dziwne. – Wodnik kręci głową. – Czuję się tak, jakbym oglądał w telewizji godowe rytuały. Chętnie darowałbym sobie te widoki, ale nie mogę odwrócić wzroku.

– Rozpozna mnie. – Lanser usiłuje przyglądzić szopę kręconych kudłów. – Musimy zasłonić twarze.

– W bagażniku mam kilka bluz. – Wodnik obniża się w fotelu. Trudna sprawa, zważywszy jego wysoki wzrost. – Sądziłem, że przydadzą się podczas obławy.

Klepię go po ramieniu na znak, że gdyby to ode mnie zależało, bylibyśmy teraz na jeziorze. Uśmiecha się lekko, ale wiem, że jest rozczarowany. Oby mój plan wypalił.



– Przystaw auto – podpowiada Lanser. – Tu za moment nas wypatrzy.

Wodnik przejeżdża na drugą stronę parkingu, z dala od dyra i jego dziewczyny.

– Jeśli mamy to zrobić, musimy działać szybko – mówię, czując, że puls mi przyspiesza. – Dyro Rogers i jego pani najwyraźniej podziwiają rozgwieżdżone niebo. Wcale im się nie spieszy do domu, ale w każdej chwili mogą odjechać.

Lanser pospiesznie wyciąga bluzy z bagażnika i sapiąc, wraca do auta. Rzucił mi szarą bluzę z napisem „Szukam monstrum” pod obrazkiem Wielkiej Stopy. Jasnoniebieską daje Kowbojowi, który patrzy na nią tak, jakby była unurzana w szlamie czy innym paskudztwie.

– Kowboj, idziesz? – zagaduję, wkładając bluzę. Jest na mnie dwa razy za duża. Pachnie błotem i ciastem. Jak Wodnik.

– Nie dam rady. – Kowboj drapie wąski nos. – Na samą myśl o tym chce mi się rzygać. Obejrzyjmy raczej „Cztery wesela i pogrzeb”, dobra? Zresztą, gotów jestem negocjować. Dla mnie liczy się szczęśliwe zakończenie.

Lanser wkłada bluzę i mówi:

– Innym razem, przyjacielu. Innym razem.

Wsuwam za uszy luźne kosmyki włosów, naciągam kaptur i przesuwam dłońmi po miękkiej tkaninie. Kurczę, milutka ta bluza.

– Wodnik? – pytam.

– Ktoś musi przygotować ewakuację. – Pociera ciemny zarost. – Na wszelki wypadek. Daję wam moralne wsparcie.

– Wygląda na to, że dziś wieczorem Lanser i ja robimy za kawalarzy – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem. Serce podchodzi mi do gardła, gdy uświadamiam sobie, że mój odlotowy plan jednak się urzeczywistni. Nie bez powodu unikamy takich drak i wolimy trzymać się własnych rytuałów. Nasza specjalność to obławy na wodnego potwora albo wieczorne seanse filmowe u kogoś z ferajny. Dziwnie się czuję, wychodząc poza wspólne przyzwyczajenia, lecz jeśli Lanser pragnie nowych wyzwań, no to jazda. Będziemy świecić gołymi tyłkami. Ha!

Lanser wsuwa kudły pod kaptur czarnej bluzy, która jest na niego

o dwa numery za duża.

– Na trzy wysiadamy, Buła. – Bystre zielone oczy lśnią w półmroku jak szmaragdy, a piegowaty nos ginie w cieniu kaptura.

– Raz – mówię z dłonią na klamce.

– Dwa – rzuca Lanser.

Trzask uchylanych tylnych drzwi. Lekki oddech Wodnika i szelest stron lektury Kowboja. Powinniśmy lepiej zaplanować akcję. Za późno. Teraz nie można się cofnąć.

– Trzy! – wrzeszczę.

Otwieram drzwi i wyskakuję na betonową płytę parkingu. Biegnę prosto do dyra Rogersa. Policzki mnie palą z radości, skóra pokrywa się potem. Lanser pędzi za mną, dysząc ciężko. Dyro nie zwraca na nas uwagi. Orientuje się dopiero, gdy zabiegam drogę jemu i pannie, odwracam się i spuszczam spodenki gimnastyczne, prezentując uroczej parze goły zad.

Po mojej prawej stronie Lanser pochyla się i ściąga szorty, pochylając zakapturzoną buźkę. W głowie mi się nie mieści, że tkwię tu z opuszczonymi portkami i gołym tyłkiem, wypięta na dyrektora liceum i nieznaną kobietę.

Nieruchomieję jak sarna oświetlona reflektorami auta. Szczerze mówiąc, sarna wyglądałaby dużo ciekawiej ode mnie. Przegięłam. To jakaś masakra. Wydaje mi się, że ktoś za mną szepce. Pewnie kobitka dyra.

– Nooooooo... długo mamy się tak wypinać? – mamroce Lanser.

Ktoś chwyta go za bluzę i ciągnie. Lanser niezdarnie podciąga szorty, a potem cofa się, machając rękami.

– Luke Brown. Dobry wieczór – mówi rozwścieczony dyro Rogers. Tak. Pomysł był do bani.

Podciągam spodenki, ale jest za późno na ucieczkę.

Dyro chwyta mnie za łokieć. Jego wielkie nozdrza falują. Oboje z Lanserem patrzymy na siebie, ja z przerażeniem, on z lekkim rozbawieniem. Rogers zakłada ręce na piersi, pociąga nosem i dodaje:

– Oraz Toni Valentine. Mam nadzieję, że przez resztę wieczoru będziecie się równie dobrze bawić. – Wzdycha i ujmuje dłoń swojej kobitki. – Zamierzam poinformować o tym incydencie waszych

rodziców.

Zaraz rzygnę. Czkaam bezradnie kilka razy. Kobićka w czerwonej sukience patrzy na mnie z odrazą.

– Błagam, niech pan tego nie... – zaczynam, ale dyro Rogers nie słucha. Odchodzi ze swoją panną.

– Toni, wyluzuj – szepce zadowolony z siebie Lanser.  
Przynajmniej on się dobrze bawił. – Gorzej być nie może, prawda?  
Racja. Trafnie podsumował sytuację.



## Rozdział trzeci

M inął miesiąc. Siedzę w jasno oświetlonej klasie prywatnego liceum dla dziewcząt. Tata dowcipkował, że dzień, w którym wystąpię w spódnicy, będzie początkiem końca świata, bo armia zombi wkroczy do miasta. Po dwóch godzinach w tym przybytku wiedzy chętnie zobaczyłabym jakiegoś zombiaka, bo sama czuję się jak żywy trup. Ktoś tu się wykąpał w malinowych perfumach, więc mój rozwścieczony nochal jest w stanie wojny. Zapach poraża intensywnością, zaraz padnę na podłogę i dostanę konwulsji. A może to nie perfumy. Całkiem prawdopodobne, że jestem uczulona na estrogeny.

– Wszystko dobrze? – szepce dziewczyna z sąsiedniej ławki.

Zamiast odpowiedzieć, zasłaniam usta ręką i kicham tak potężnie, że glut idzie mi nosem i ląduje we wnętrzu dłoni. Przezornie chowam ręce pod ławkę.

– Jasne – odpowiadam z uśmiechem. – Jestem tylko zmęczona.

Dziewczyna gryzie kosmyk włosów barwy miodowego blondu, próbując słowo w słowo zanotować treść wykładu. Na brzegu ławki leży notes oprawiony w skórę, opatrzony imieniem i nazwiskiem; okrągłe litery wyszyte u dołu różową nitką głoszą: Emma Elizabeth Swanson.

Już wiadomo, że nie chodzę do normalnej szkoły.

Uśmiechnięta nauczycielka ekonomii i matematyki patrzy na mnie współczująco zza okularów i rozpoczyna dyskusję o podaży i popycie. Nadal zastanawiam się, co zrobić ze smarkiem ukrytym w dłoni. Gdybym, jak Pan Bóg przykazał, siedziała z naszą ferajną w starej budzie, glut nie byłby żadnym problemem. Wytarłabym rękę o ciuchy Kowboja, najmniej z naszej paczki skłonnego do rewanżu, i byłaby kupa śmiechu.

Jak ma sobie poradzić tak zwana młoda dama?

W żeńskim liceum chłopaki funkcjonują jak postaci z legendy, na

przykład jednorożec. Ani śladu samców w zasięgu wzroku. Zero ohydnych beknięć. Nikt nie przybija głupich piątek. Żadnych rozmów o tropieniu potwora. Czuję się niepewnie wśród kosmitów w pastelowych pulowerkach, z usteczkami pociągniętymi błyszczącym.

Jak mam przeżyć rok na obcej planecie?

Dziewczyna siedząca przede mną odwraca się nagle w stronę przejścia między ławkami, pochyla głowę i spryskuje kasztanowate loki lakierem do włosów o zapachu malinowym. Aha. Namierzyłam źródło obezwładniającego smrodu. Dziewczyna siada prosto i uśmiecha się do nauczycielki, która piorunuje ją spojrzeniem i kontynuuje wykład.

Dreżczy mnie inny koszmar: co będzie, jeśli stanę się jedną z nich?

Z ręką skierowaną grzbietem w dół wiercę się, niepewna, co robić. Nie było żadnej wzmianki o smarkach w czasie porannego apelu. Już mam poprosić Emmę Elizabeth Swanson o chusteczkę jednorazówkę, gdy rozlega się dzwonek. Szybko wycieram dłoń o kraciastą spódnicę, modląc się, żeby nikt tego nie zauważył.

– Widziałam!

Odwracam się, ale ruda dziewczyna pędząca środkiem klasy nie mówi do mnie. Gada z kumpelami o filmie pokazującym życie afrykańskich wielkich kotów, który widziała podczas weekendu. Mija mnie, jakbym była duchem. Powinna szukać sposobności, żeby się z kimś zaprzyjaźnić, ale Emma Elizabeth Swanson, która jak dotąd najbardziej przypadła mi do gustu, bo raczyła się do mnie odezwać, wyszła już z klasy.

Zbieram podręczniki i wychodzę ze wszystkimi na korytarz, gdzie zapach malin wreszcie znika. Tłum dziewcząt w kraciastych spódnicach rzędnie, bo większość mknie najpierw do swoich szafek, a potem na kolejną lekcję. Otwieram szafkę, żeby schować podręcznik do ekonomii i wziąć „Błękitną kropkę” Carla Sagana, lekturę omawianą na rozszerzonym kursie literatury, gdzie analizujemy kwestię czasu, przestrzeni i tym podobne.

Kolejna cecha tego liceum: plan lekcji przypomina harmonogram wykładów i ćwiczeń na uniwerku.

Z westchnieniem poprawiam koński ogon. Żeńskie liceum to nie moje klimaty. Dyro Rogers, rzecz jasna, poinformował moją matkę, że

się na niego wypięłam, i uświadomił jej, do jakich wyczynów jestem zdolna wraz z ferajną, ale to nie musiało się tak skończyć.

Matka byłaby zachwycona, widząc mnie w spódnicy i z pomalowanymi paznokciami, ale do głowy by jej nie przyszło, żeby oderwać mnie od przyjaciół z dzieciństwa i rok przed maturą posłać do nowej szkoły z powodu drobnej wpadki. Mama nie jest podła, w przeciwieństwie do Briana, jej nowego męża, który przyniósł do domu foldery z fociami uśmiechniętych dziewczyn w mundurkach i powiedział matuli, że szkoła żeńska uchroni mnie od kłopotów i niekorzystnego wpływu, a także zmieni w prawdziwą damę.

Brian nie ma pojęcia, że sama zaproponowałam, abyśmy się wypięli na dyra. Ja mam zły wpływ na kolegów. Przerasta mnie ta sprawa; goły tyłek to mały pikuś w porównaniu z różnymi akcjami, które zdarzają się w zakamarkach liceum, ale to ja zostałam ukarana.

Przez resztę dnia skupiam się na pilnowaniu, żeby piłkarskie spodenki gimnastyczne, które mam pod dość krótką spódnicą, nie wystawały spod niej, co okazuje się dość absorbującym zadaniem. Ciągłe wyglądają zza obrębka, a gdy podwijam je w talii, jest mi niewygodnie, lecz bez nich czułabym się całkiem goła. Po ostatnim dzwonku głowa mi pęka; marzę o tym, żeby zmienić życie Briana w koszmar. Pierwszego dnia zadali mi do domu więcej niż przez miesiąc w dawnej szkole.

Nim wyfrunę stąd na wolność w celu zmierzenia się z ogromem zadań, idę na pogaduchy do gabinetu dyrektorki.

– Poznałaś tu dzisiaj kilku przystojniaków? – Pani Kemper wybucha śmiechem i macha rękoma, jakby odpędzała muchę. – Wybacz mi ten żarcik z brodą.

– Zabawne – mamrocę, przestępując z nogi na nogę i ukradkiem podciągając szorty.

– Jak ci minął pierwszy dzień w naszej szkole? Odnalazłaś się tutaj?

Wyrywa mi się ciche prychnięcie, ale pani Kemper tego nie słyszy. Bujne loki otaczają drobną, elfią twarzyczkę. Kilka kasztanowatych włosów przywarło do granatowego sweterka. Chwyta jeden i pozwala mu spaść na podłogę, czekając, aż padną słowa, które chce usłyszeć: że

wpasowałam się idealnie w krąg megazdolnej dziewczęcej elity stanu Vermont.

Do mnie mówi, do dziewczyny, która stale ma podrapane kolana oraz brud za paznokciami.

– Naturalnie – mówię z wymuszonym uśmiechem. Szkoda, że ta szkoła nie prowadzi zajęć uzupełniających z fałszywej pogody ducha, którą intensywnie dziś praktykowałam, więc pewnie bym zapunktowała.  
– Jest świetnie.

Pani Kemper kiwa głową, choć najwyraźniej mi nie wierzy.

– Pierwszy dzień jest najtrudniejszy. Wytrwaj, Toniu.

– Toni.

– Jaki Toni?

– Wolę, żeby mnie nazywano Toni.

– Tonia to śliczne imię. – Pani Kemper podnosi głowę.

Wzruszam ramionami, świadoma, że nie wygram tej potyczki. Tutaj pozostanę Tonią. Gdzie indziej jestem Toni. W tym liceum nawet imię nie może być koedukacyjne.

– Na dzisiaj to wszystko – mówi, chrząkając. – Aha, nie zapomnij o pierwszym spotkaniu grupy wsparcia. Widzimy się w piątek.

– Grupy wsparcia? – Mrugam powiekami.

– Trudno jest od razu wszystko spamiętać, co? – Pani Kemper chichocze. – Co piątek niewielkie grupy dziewcząt spotykają się w bibliotece, żeby porozmawiać o swoich problemach. W ten sposób uczymy się sprawnie wyrażać siebie.

Szczęka mi opada.

– Mam gadać o swoich uczuciach?

– Tak. – Pani Kemper uśmiecha się i wstaje. – To nie boli. Miłego dnia, Toniu.

O Boże, dyrektorka nie żartuje. Gdy wstaję, drżą mi kolana. Matka powtarza, że ten rok służy rozwojowi i planom na przyszłość. Inaczej mówiąc: zero frajdy. A miałam go spędzić z moją ferajną, poznaną w podstawówce, migając się od wszelkich obowiązków.

To już przeszłość.



W drodze do domu (godzina jazdy autem; kolejny minus uczęszczania do elitarniej szkoły dla dziewcząt) podkręcam radio w nadziei, że porcja dobrej muzyki country uśmierzy ból głowy. Śpiewam melancholijną balladę tak głośno, że żyły na szyi mi nabrzmiwiają. Daremnie.

Zielone wzgórza otaczające żeńskie liceum maleją w lusterku wstecznym, lecz nadal czuję malinową woń lakieru do włosów. Rozpieram się na siedzeniu nissana maximy. To moja jedyna pociecha, przeniesiona z dawnego życia. Auto należało do taty. Na podłodze walają się opakowania po śmieciowym jedzeniu, a tylna kanapa zarzucona jest ubraniami, książkami i puszkami po coli. Tu nikt mi nie każe być damą.

Patrzę na przerażający stos podręczników piętrzący się na fotelu pasażera i ogarnięta atakiem paniki otwieram okno, żeby łyknąć świeżego powietrza i ochłonąć. W dawnej szkole jechałam na opinii i zgłaszałam się na ochotnika, więc miałam wolne popołudnia, ale w żeńskim liceum nie ma takiej opcji.

Jako fakultet wybrałam społeczne aspekty ekologii obszarów leśnych. Przez cały semestr mam łązić po rozległym szkolnym parku, obserwując miejscową roślinność. To nie byłoby takie złe, gdyby towarzyszył mi Wodnik, który zawsze wytropi ślady legendarnych bestii i takie tam. Chłopak umie podkręcić atmosferę.

Co za pech, że średnia ocen oraz upór Briana zesłały mnie na tę dziwną planetę.

I skazały na samotność.

Parkuję przed domem na podjeździe i pędzę do Wodnika, który mieszka obok nas. W połowie trawnika wyskakuję z kraciastej spódnicy i depcę ją dwa razy. Wreszcie mogę swobodnie oddychać. Cieszę się na dzisiejszy wieczór. Po raz pierwszy od ponad miesiąca wybieramy się nad jezioro.

Przez ostatnich kilka tygodni miałam kiepski kontakt z ferajną. Obejrzelśmy parę filmów, pograliśmy na komputerze, ale moim zdaniem to namiastka. Coś się zmieniło, gdy oznajmiłam, że zmieniam szkołę.

Ilekcroć udaje nam się spotkać, Wodnik przychodzi ostatni, ale nie



mówi, gdzie był. Mam nadzieję, że nie spiknął się ze swoją byłą dziewczyną. Lanser wciąż papie o atrakcjach ostatniej klasy liceum, które w większości mnie ominą, nawet gdybym starała się temu zapobiec. Kowboj jest bardziej milczący niż dawniej. Zmarkotniał.

Obawiam się, że chłopaki oddalają się ode mnie, bo przestałam być jedną z nich. Teraz jestem panną z żeńskiego liceum. Sama nie wiem. Oby to były jedynie urojenia.

Okrażam dom sąsiadów, uradowana, że zobaczę moich chłopaków. Po tygodniowej wymianie niezliczonych SMS-ów umówiliśmy się, że dziś wieczorem wyruszamy na obławę. Nie chcę, żeby mnie ominęła przygrywka do poszukiwań, na przykład emocjonująca rundka wirtualnych wyścigów. Jeśli zaczęli beze mnie, najlepsze postaci już zostały rozdrapane i znów będę grała jakimś patałachem.

Przez okienko włączę do piwnicy, wdychając znajomą woń farby emulsyjnej i zjełczałych chipsów. Z potężnym łomotem ląduję na wytartym dywanie i bekam z głębi brzucha. Niech się schowają nałogowi piwosze.

– Od razu lepiej. Cały dzień musiałam się powstrzymywać! – wołam, masując brzuszysko.

Odwracam się i staję oko w oko z przerażoną Amy Garry, młodszą siostrą Wodnika. Panna maluje pazurki, siedząc przy niskim stoliku, otoczona wianuszkiem licealnych pierwszoklasistek, zaabsorbowanych dokładnie tym samym. Cztery zszokowane dziewczątka wybałuszają na mnie gały, a ich paznokcie lśnią w przyćmionym oświetleniu piwnicy. Kiedyś nazywałam Amy Garry swoim wiernym cieniem, bo łaziła za mną krok w krok – niczym cień. Teraz po minie małolaty poznaję, że ziemia powinna się rozstać i mnie pochłonąć.

– Au! – W pierwszej chwili nie potrafię wykrztusić nic więcej. – Gdzie Wodnik?

– Mówisz o Mike’u?

– Jest w pracy. – Policzki Amy czerwienieją.

Kręcę głową przekonana, że się przesłyszałam. Wodnik nie ma pracy. Robota przeszkodziłaby mu w poszukiwaniach. Zresztą byliśmy umówieni.

Ręka Amy zawisa w powietrzu, lakier kapie na stolik, twarzyczka

w kształcie serca jest czerwona jak burak. O matko! Narobiłam wstydu nieszczęsnej dziecinie. W milczeniu wyłażę przez okno, nie zadając pytań, choć mam ich mnóstwo. Tuż przed zamknięciem okna słyszę głos jednej z przyjaciółek Amy:

– Mogę się założyć, że nie miała nigdy chłopaka.

Masakra. Ściska mnie w dołku, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Totalnie olewam bandę pierwszoklasistek. Chwytam spódnicę rzuconą na trawnik. Dopadam auta i siadam za kierownicą. Amy musiała się pomylić. Była w szoku. Wodnik tak łatwo nie odpuściłby sobie obławy na Jezioraka. Gdyby musiał zrezygnować, na pewno by mnie uprzedził. Może sądził, że jesteśmy umówieni na przystani, i już tam czeka. Sprawdzam komórkę. Żadnych SMS-ów i połączeń przychodzących. Nieważne. Wodnik nie jest entuzjastą telefonii komórkowej.

Nienawidzę sytuacji, w których rzeczywistość mi się wymyka. Ruszam sprzed domu i jadę nad jezioro. Otwieram okna i próbuję odzyskać spokój. Wyobrażam sobie chłopaków czekających na przystani, roześmianych, gotowych rozpocząć obławę. Obok nich plecaki wypełnione śmieciowym żarełkiem. Pewnie zachodzą w głowę, gdzie się podziewam.

Po przyjeździe widzę pustą motorówkę Lansera, kołyszącą się na wodzie. Spaceruję po nabrzeżu, przyglądając się górom otaczającym jezioro. Siadam i wysyłam wiadomość do ferajny: Chłopaki, gdzie jesteście? Jeziorak czeka...

Kładę telefon na trawie. Kolana mi drżą. Nie mogę uwolnić się od koszmarnego poczucia osamotnienia, które rośnie jak balon. Po chwili komórka wibruje. Raz. Drugi. Trzeci.

Pierwszy SMS napisał Kowboj: **KATIE MORRIS ZAGADAŁA DZIŚ DO MNIE.**

Jako drugi odezwał się Lanser: **OBLAWA? DZISIAJ? NIE DAM RADY.**

Trzecia wiadomość jest od Wodnika: **PRZEPRASZAM, ZAPOMNIAŁEM CIĘ UPRZEDZIĆ, DZIŚ WIECZOREM PRACUJĘ. PÓŹNIEJ SIĘ WYTŁUMACZĘ. ZMIANA TERMINU? JAK MINĄŁ PIERWSZY DZIEŃ, UCZENNICO ŻEŃSKIEGO LICEUM?**

Nie przyjadą.

Zapomnieli.

Wszyscy trzej.

Przełgłam wysłane wiadomości. Zgadza się. Mam dowód. Nie jestem mitomanką. Zaplanowaliśmy obławę.

Jak mogli zapomnieć?



Padam twarzą na swoje łóżko. Rozlega się wściekłe miauczenie. Podnoszę wzrok i widzę kota Piłkarza. Najwyraźniej przerwałam mu drzemkę. Obrzuca mnie karcącym spojrzeniem i zaczyna lizać czarną sierść.

– Tysiącrotnie błagam o przebaczenie – mówię.

Piłkarz oraz paskudna kanapa pojawili się u nas rok temu wraz z Brianem, który jest zapalonym kibicem futbolistów z Nowej Anglii, stąd ohydne imię sierściucha. Kot Piłkarz służy również za budzik. Codziennie rano o siódmej skubie zębami moją dłoń na znak, że mam zwlec się z wyra i go nakarmić.

Biorę prysznic i spędzam przed komputerem niespełna godzinę, próbując się odstresować po pierwszym dniu w żeńskim liceum. Chcę zapomnieć, że ferajna mnie olała, i stłumić podejrzenie, że nadal się wymyka. Daremnie. W przeciwieństwie do nich mam dobrą pamięć.

Gaszę światło, wpełzam pod kołdrę i spanikowana szlocham z twarzą wtuloną w poduszkę pokrytą kocimi kłakami.



## Rozdział czwarty

P rzez kilka następnych dni wysłałam ze sto SMS-ów, próbując zorganizować kolejną obławę. Gdy Wodnik miał wolne, Lanser pomagał starszemu bratu Jasonowi remontować piwnicę. Jeśli Kowboj nie uczył się do sprawdzianu, Wodnik pracował. Wygląda na to, że nie da się już o tej samej porze ściągnąć całej naszej czwórki w jedno miejsce. Czyżby umyślnie mnie unikali?

Na szczęście dziś jest piątek. Chwileczkę. To oznacza, że muszę z obcymi ludźmi gadać o swoich uczuciach. Fantastycznie.

– Proponuję, żeby teraz wypowiedziała się Tonia Valentine. – Pani Kemper splata dłonie spoczywające na kolanach i patrzy na mnie z uwagą, a ja uciekam myślami do starej budy.

Chłopaki widują się codziennie – na korytarzach, w klasach, w stołówce. Nie muszą wymieniać tysięcy SMS-ów czy innych wiadomości, żeby się dogadać. Są razem. Chcę być z nimi. Teoretycznie żeńskie liceum nie było karą. Tak powiedziała mama, gdy kazali mi z Brianem usiąść na kanapie, żeby poinformować o nowej ścieżce edukacyjnej. Powinnam być wdzięczna i szczęśliwa, że dostałam się do elitarnej szkoły. Czuję się jak ostatnia kretyńka, ponieważ tak nie jest.

– Tونیu? – Donośny głos pani Kemper sprawia, że wracam do rzeczywistości.

Wiercę się w fotelu, bo przeszkadzają mi piłkarskie spodenki pod spódnicą, ale trudno mi się z nimi rozstać.

– Tak naprawdę mam na imię Toni. Cześć.

Dziewczyny obserwują mnie jak osobliwy produkt, który ma być na nich testowany. Biblioteka pachnie cynamonem, a wygodne fotele ustawione są w kręgu, który nazywam Kołem Zwierzeń. Otwieramy serca wśród ścian pomalowanych uroczym odcieniem mchowej zieleni. Słucha nas biblioteczny labirynt wypełniony tomami, które wyglądają na

stare jak matka Ziemia. Trzask drewna płonącego na kominku przerywa kłopotliwą ciszę, która jest tu nowością.

Wszyscy się gapią, a mnie swędzi okropnie lewy pośladek.

– Opowiedz nam trochę o swoim środowisku – naciska energiczniej pani Kemper.

– Mieszkam w Shelburne. – Wierzę się coraz bardziej, mając nadzieję, że tyłek przestanie mnie swędzieć. – Chodziłam tam do liceum. Ojczym postanowił mnie tu przenieść. Taka prawda. Oto jestem.

Nie mam nic więcej do powiedzenia. Mogłabym dodać, że muszę się podrapać po zadku, ale to byłoby nie do przyjęcia.

– Chcecie Tonię o coś zapytać? – Pani Kemper spogląda na dziewczyny.

Ruda, z którą mam ekonomię, podnosi rękę. Dziś rano dowiedziałam się, że nazywa się Shauna Hamilton.

– Valentine to twoje prawdziwe nazwisko?

– No... tak. – Dziwne pytanie. Dlaczego miałabym zmyślać, posługując się pseudonimem?

– Brzmi romantycznie, walentynkowo. – Shauna wzdycha i krzyżuje nogi w kostkach.

Shauna zaczęła dzisiaj zwierzenia, mówiąc o miłości do chłopaka imieniem Ryan, który chodzi do szkoły z internatem w Connecticut. Ryan ma niebieskie oczy. Ryan kocha poezję. Ryan pachnie świeżością. Szczerze mówiąc, mało mnie obchodzą te wszystkie rewelacje na temat Ryana.

Kilka dziewczyn znam ze wspólnych lekcji. Czarnulka ostrzyżona na pazia chodzi ze mną na francuski. Ma na imię Lemon. Oryginalnie, więc łatwo zapamiętać. Emma Elizabeth Swanson, która jako jedyna rozmawiała ze mną w tym tygodniu, siedzi naprzeciwko i z kwaśną miną gapi się na swoje buty. Milczy uparcie.

Zastanawiam się, jak mnie widzą te subtelne, opanowane ślicznotki. Drapię kolano, pochylam się do przodu. Swędzą mnie plecy. Czuję się znużona po wyczerpującym dniu. Ból głowy nie odpuszcza. Mam cholernie dużo roboty. Obawiam się, że nie podołam.

– Dama, siadając, krzyżuje nogi w kostkach lub elegancko zakłada nogę na nogę – przypomina pani Kemper, uśmiechając się uprzejmie.

Krzyżuję kostki zdziwiona, że nikt się ze mnie nie śmieje. Dziewczyny są zapewne przyzwyczajone do uwag na temat postawy, które im już nie są potrzebne.

Po zakończeniu terapii grupowej pędzę do łazienki i wreszcie drapię się po pośladku. Spryskuję twarz wodą, żeby nabrać wigoru, i wyciągam schowaną komórkę. Palce mi drżą, gdy naciskam klawisze i zastanawiam się, czy wysłać wiadomość do Wodnika.

SMS mi nie wystarczy. Muszę usłyszeć znajomy głos. Chcę poczuć mocne wsparcie, gdy będę narzekała, że w szkole za dużo ode mnie wymagają. Powinnam spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że brak mi naszych wypraw i dawnego życia, którego tak szybko ubywa, że wierzę i zawsze będę wierzyła w Jezioraka żyjącego w naszym jeziorze, który czeka, aż go namierzemy.



Zapomniałam, że Wodnika nie ma w domu. Jest w pracy. Popołudnie znów upływa mi na odrabianiu lekcji i fochach. Po godzinie rozwiązywania zadań mózg mi się lasuje, więc dla odprężenia oglądam na laptopie kilka odcinków kreskówki „Głowa rodziny”, pozerając lody orzechowe. Taka jestem zestresowana, że w ogóle się nie śmieję.

– Co robisz? – pyta mama. Staje w drzwiach, wsparta ramieniem o framugę. – Dlaczego nie wyszłaś z chłopakami?

– Mam łązić po drzewach albo wspinać się na skałki i te pe? – Stawiam pudełko po lodach na szafce nocnej obok zapomnianego talerza po pizzy, który już lekko cuchnie.

– Z czasem będzie ci coraz łatwiej. – Mama siada obok mnie na łóżku. Na szarym T-shircie ma odwieczną płamę z keczupu. – Zmiana wychodzi nam zwykle na dobre.

– Zmiana jest do bani. – Pochmurnieję.

– Idziemy na kawę? – pyta wesoło mama. – Ja stawiam.

– Jesteś moją matką. Do marca z mocy prawa musisz za mnie płacić.

– Uczesz się, spryčiuło. – Mama klepie mnie po plecach. – Czas wyjść z tej nory.



Kilka minut później jedziemy główną ulicą Shelburne do ulubionej cukierni. Mama podryguje za kierownicą w rytm zgranego raperskiego hitu. Patrzę w okno, żeby nie widzieć jej płasów, ale widzę jedynie przystrzyżone trawniki oraz miejsca, które przypominają o naszej ferajnie. Kręgielnia. Drogeria. Kino.

Gdy moja cierpliwość się wyczerpuje, przełączam radio na stację nadającą muzykę country. Johnny Cash pięknie śpiewa w naszym aucie.

– Zastanawiałam się, jak długo wytrzymasz – mówi z uśmiechem mama.

Ciekawi mnie, czy ta wyprawa nie jest przypadkiem kolejną próbą sił.

– Po co wyciągnęłaś mnie do miasta?

– Nie pozwolę ci zamknąć się w skorupie – odpowiada pogodnie mama. – Przez cały tydzień chodzisz nadąsana. Nie protestowałam, ale dziś pora zmienić front i zacząć się uśmiechać.

– Damy się nie uśmiechają, tylko krzyżują nogi w kostkach – mamrocę.

Mama pochmurnieje, gdy wjeżdżamy na parking cukierni. Wyłącza silnik, odpina pas i odwraca się w moją stronę.

– Powiedz słowo – mówi. – Wystarczy jedno słowo i przeniosę cię z powrotem do naszego liceum.

Na moment ogarnia mnie euforia, ale wietrzę podstęp.

– Mówisz poważnie? – pytam.

Kiwa głową. Kilka ciemnorudych loczków wymknęło się z końskiego ogona. Z każdym mijającym rokiem coraz bardziej uświadamiam sobie, że wcale nie jesteśmy podobne. Twarz mamy, usiana piegami w różnych odcieniach brązu, różni się bardzo od mojej, jednostajnie bladej. Matula włosy ma skręcone w drobne loczki; moje są czarne i gładkie. Oczy mamy? Ciemnobrązowe jak czekolada. Moje? Jasnoszare, barwy zachmurzonego nieba. Wszyscy mówią, że przypominam tatę.

– Chcę wrócić do naszego liceum – mówię i wstrzymuję oddech. Błagam, powiedz tak. Powiedz, że znów wszystko będzie dobrze.

– Ach tak. Daruj, Toni, nie mogę tego zrobić. – Uśmiecha się

i kręci głową. Ha. Wiedziałam, że to podstęp, ale jestem rozczarowana. Jej zgoda rozwiązałaby wszystkie problemy. – Prywatna szkoła to dla ciebie wielka szansa. Dawne liceum opóźniało twój rozwój.

Irytujący argument. Nie potrzebuję się rozwijać. Serdeczne dzięki. Myślę, że jestem w porządku.

Wchodzimy do cukierni i zamawiamy mrożoną kawę. Jeśli chodzi o napitki, gust mam po mamie. Siadamy przy stoliku pod oknem. Wzdycham przeciągle z głową opartą o szybę.

– Jak tam grupa wsparcia? – pyta mama.

Ach, te ich spotkania i gadka o uczuciach. Dla mnie to koszmar.

– Stałam się dziewczęciem swobodnie rozmawiającym o emocjach – brzmi odpowiedź. – Zostałam uleczona.

– Nie próbujemy cię wyleczyć... – Mama milknie. Robi sobie chwilę przerwy w próbach poprawienia mi nastroju i popija kawę.

Ożywiam się nieco, gdy na parking wjeżdża czerwony volkswagen garbus. Od razu lepiej. Lanser ma takie auto. Może chłopaki mnie szukają.

– Proszę bardzo. Przyjechali twoi chłopcy. – Mama nie jest zachwycona. – Chciałam zapytać, czy poznałaś w szkole jakieś miłe dziewczyny. Nic ci się nie stanie, jeśli zyskasz choć jedną przyjaciółkę.

Słucham jej niezbyt uważnie. Obserwuję Lansera i Kowboja, którzy wysiadają z samochodu wesolutcy i cali w skowronkach. Lanser przytrzymuje głowę Kowboja, który daremnie wije się, próbując odzyskać swobodę, więc depce Lanserowi po paluchach. Lanser wyje, parska śmiechem i chwyta się za stopę obutą w pomarańczowy trampek. Kowboj wali go pięścią w ramię.

Chichoć. Ach, te chłopaczyska. Dobra. Teraz wejdą do cukierni i przeproszą, że ostatnio mnie zbywali. Znów wszystko będzie normalnie. Problem w tym, że nawet nie patrzą w moją stronę, zmierzają do pizzerii, która jest w pobliżu. Lekko zbita z tropu stukam w szybę. Wiem, to żalosne, ale jest mi wszystko jedno. W końcu odwracają się i zostają dostrzeżona.

Lanser podchodzi do okna, unosi koszulę i przyciska brzuszysko do szyby.

– Buła! – wrzeszczy.



Kuca, szorując oponką po szybie. Niewiele brakuje, żeby mama zachłysnęła się kawą. Tłumię śmiech. Zero rehotu. Jestem wściekła, że o mnie zapomnieli.

Lanser bębni pięściami o szybę.

– Hej! Przestań! – krzyczy spięty barista stojący za ladą. – Łobuzy! Wezwę gliny!

Lanser pędzi do cukierni, Kowboj biegnie za nim. Popijam kawę, ukrywając rozżalenie. Co oni tutaj robią? Beze mnie!

– Buła! Co jest! – woła Lanser, gdy drzwi zamykają się za nim. Ignoruję drania.

– Luke – wtrąca mama i kiwa głową Kowbojowi: – Justin.

Lanser kłania się grzecznie.

– Dzień dobry, pani Bułowa.

Mama opada na oparcie fotela.

– Przestań mnie tak nazywać. Wszyscy jesteście za starzy na te sztubackie przezwiska.

– Próbujemy zachować fajną tradycję – odpowiada Kowboj.

– Dlaczego moja śliczna kochana córeńka kojarzy się wam ze zwykłą kanapką? – pyta mama. – Nazwijcie ją księżniczką, stokrotką czy jakoś tak. Dla każdego coś miłego.

– Mamo! – oburzam się natychmiast. – Nie podsuwaj im żadnych pomysłów!

Lanser opiera się rękami o stolik i kabluje teatralnym szeptem:

– Pani córka migiem zżarła dziesięć buł. Taki z niej łakomczuch.

– Daj spokój, Lanser. To nie jest moje najpiękniejsze wspomnienie.

– Poirytowana zaciskam usta. Brzuch mnie boli na samo wspomnienie tamtego obżarstwa.

– Wreszcie raczyłaś nas zauważyć. – Kowboj przegarnia dłonią ciemne kędziory. Rozwichrzone włosy jak po długim śnie to jego znak rozpoznawczy. Prawda jest taka, że codziennie rano spędza godzinę przed lustrem, żeby osiągnąć ten artystyczny nieład. Włosy ma dłuższe, niż pamiętam; loki opadają mu na wąskie czoło. Widomy dowód, że rzadko się widzimy.

Kowboj wsuwa ręce w kieszenie i udaje, że czyta menu. Gryzie wykałaczkę, mruży oczy, poprawa mankiety flanelowej koszuli.

Dlaczego to spotkanie wydaje się takie dziwne?

Po akcji z gołym tyłkiem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Z uczennicy zwykłego liceum stałam się nagle uczęszczającą do żeńskiego liceum panną z innego świata. Wieczorami spotykam się z Wodnikiem, jeśli ma wolne; często wymieniamy SMS-y, ale na widok Lansera i Kowboja czuję się niezręcznie, jakbyśmy nie widzieli się od roku... pewnie dlatego, że do pełni szczęścia brak tu Wodnika.

Albo z innego powodu. Może dryfujemy w różne strony.

Policzki Kowboja wydają się okrągłejsze, twarz ogorzała, a niebieskie oczy bystre i lśniące. Ciekawe, czy ja też się zmieniam. A może ponosi mnie wyobraźnia.

Czuję jednak pustkę w sercu, z każdą chwilą, z każdym dniem coraz bardziej dokuczliwą.

Mam chyba nieszczęśliwą minę, bo mama obrzuca mnie badawczym spojrzeniem i mówi:

– Wybaczcie, muszę zadzwonić do kilku osób. Zaraz wracam.

Wychodzi na zewnątrz, wyciąga komórkę i udaje, że dzwoni, ukradkiem zerkając na mnie przez szybę. Z pewnością chciałaby, żebym miała przynajmniej jedną przyjaciółkę, ale wie, ile znaczy dla mnie ferajna. Kręci nosem na stare przezwiska, ale uważa, że chłopcy są w porządku. Po śmierci taty byli przewspaniali i dla mnie, i dla niej. Miałam piętnaście lat, gdy zginął w wypadku. Potrzebowałam wsparcia przyjaciół i oni mnie nie zawiedli.

Lanser siada obok mnie i pyta:

– Masz problem, Buła?

Skończyłam już swoją kawę, ale nie przestaję ssać słomki.

– Jest wkurzona – mruczy Kowboj. Przysuwa krzesło, aż metal szura po ceramicznych płytkach, i przysiada się do mnie.

– Zapomnieliście o obławie, jakby to było bez znaczenia – odpowiadam.

Lanser pochmurnieje i pociera kark.

– Rodzice byli na mnie wściekli z powodu tamtej akcji z dyrem, Toni. Nie mogę robić tego, co chcę. Mam szlaban. Starzy uwzięli się na mnie.

– Przepraszam. – Gardło mam ściśnięte. Ogarnia mnie poczucie

winy.

Tamtego wieczoru powinniśmy grzecznie wrócić do domu. Cóż za ironia losu. Stawałam na głowie, żebyśmy pobyli razem trochę dłużej, i przez to zmierzamy teraz w różnych kierunkach.

– Do niczego mnie nie zmusiłaś – mówi z westchnieniem Lanser. – Muszę zdobyć kasę na obóz dla snowboardzistów, na który chcę jechać podczas przyszłych wakacji. Starzy zmienili front i nalegają, żebym dopłacił połowę. Mam się nauczyć odpowiedzialności...

– Obóz sportowy? – Pierwsze słyszę. Lanser kiwa głową.

– Trudno wyczuć, czy się uda. To dość kosztowna impreza.

– Przepraszam, Buła, że zapomniałem o obławie. Byłem w szoku – wtrąca Kowboj. – Katie Morris się do mnie odezwała.

Lanser chowa dłonie w rękawach bluzy.

– Rzeczywiście był półprzytomny – mówi, chichocząc.

Przez moment szczerzę zęby jak za dawnych dobrych czasów.

Może Lanser daruje mi tamten wybryk.

– Co powiedziała?

– Przepraszam – cytuje z westchnieniem Kowboj.

Czekam na ciąg dalszy. Na próżno. Wzruszam ramionami.

– Nieźle na początek.

– Wpadła na mnie. – Kowboj dostaje rumieńców. – To było niesamowite.

Lanser zrywa się na równe nogi.

– Dobra. Mam nadzieję, że sprawa została wyjaśniona. Umieram z głodu. Do zobaczyska, Buła.

– Moment. Dokąd idziesz? – Ledwie zaczęliśmy się dogadywać, a ten znów gdzieś pędzi. Wstaję tak szybko, że moje krzesło przechyla się i z hukiem upada na podłogę. Podnoszę je niezdarnie, a facet zza baru patrzy wrogo.

– Idziemy na pizzę – odpowiada Lanser.

Kowboj wstaje i przestępuje z nogi na nogę, jakby chciał coś dodać. Czekam na sugestię, żebym do nich dołączyła, ale tylko kiwa głową na pożegnanie. Odprowadzam ich spojrzeniem. Wyglupiają się przy wejściu, machają do matuli, śmiejąc się i wrzeszcząc, ruszają do pizzerii, która jest tuż obok.

Wiem teraz, co czuła moja wierna Amy, młodsza siostra Wodnika.  
Jestem jak cień.



## Rozdział piąty

Tego wieczoru staram się usilnie wymazać z pamięci koszmarne tygodnie, nasycając umysł horrorami. Przygody głupawych nastolatków ściganych przez niezniszczalnych zabójców w połączeniu z okropnymi efektami specjalnymi oraz idiotycznymi decyzjami niewątpliwie poprawią mi nastrój. Układam obok laptopa stosik z pięciu filmów, odpalam pierwszą płytkę i zamierzam do rana nurzać się w okropnościach.

Zmierzch dopiero zapada, więc zaciągam zasłony, żeby podkręcić nastrój.

Jestem w połowie kultowej „Tekszańskiej masakry piłą mechaniczną”, gdy słyszę pukanie do drzwi. Zwijam się pod kocem w nogach łóżka, przybierając pozycję embrionalną, i z roztargnieniem gapię się na ekran postawionego na podłodze laptopa.

– Ja się tu dołuję, jasne? – krzyczę. Drzwi uchylają się i biała plama światła wpełza do pokoju. Syczę jak wampir: – Au! Wstrętne światło!

Rozpoznaję buty na giczołach intruza, którego nie spodziewałam się tu zobaczyć. Dwa przybrudzone trampki ozdobione atramentowym portretem Jezioraka, który wygląda jak postać z kreskówki. Na prawym jest tułów i ogon, na lewym uśmiechnięty pyszczek i bystre oczy. Siadam, a włosy opadają mi na twarz.

Wodnik zamyka drzwi i pokój spowija znowu widmowa poświata, która pasuje do moich obecnych poglądów na życie.

– Jak śmiesz delektować się horrorami beze mnie? – pyta.

Zakrywam usta kocem, żeby nie widział uśmiechu.

Żyje.

Przyszedł.

Nie zapomniał o mnie.

– Sądziłam, że wolisz korzystać z atrakcji ostatniego roku liceum – odpowiadam i chrząkam. – Jedno z nas powinno.

Wodnik siada obok mnie. Jak zwykle pachnie wanilią. Pochylam się, żeby powęszyć. Ten zapach przypomina mi o przeszłości.

– Przepraszam – mruczy, wachając swoje pachy. – Byłem w robocie.

Cofam się, bo nie wypada obwąchiwać kumpla.

– A skoro o tym mowa, co jest grane?

Wodnik gapi się na ekran komputera. Z głośników płynie warkot piły. Wodnik pociera głowę jednym szybkim ruchem, jakby chciał ją otrzepać. Nabrał tego zwyczaju w ubiegłym roku, kiedy ją ogolił. Odrastające kępki czarnych włosów przesłaniają skórę, na policzkach widać ciemny zarost.

Pozornie Wodnik zdaje się dość niechlujny: przybrudzone trampki, podarte džinsy, znoszony T-shirt z napisem „Potwory z jezior istnieją”, wykonanym czarnym markerem. Kto by pomyślał, że chłopak z takim wyglądem to fanatyk porządku. A tak jest.

– Patrzysz na ekspedienta firmowego sklepu lokalnej wytwórni pluszowych misiów – mówi, siadając z głową opartą o łóżko.

– Dostajesz darmowe maskotki? – Robię wielkie oczy.

– Mam spory rabat. Chcesz miśka?

– To zależy. Mają niedźwiadka z teksańską piłą mechaniczną?

Wodnik śmieje się głośno.

– Jeśli o to nie zadbali, powinni się wstydzić.

Zamierałam wprawdzie smucić się przez cały wieczór, ale znowu się uśmiecham. Siadamy ramię w ramię na podłodze i trwamy tak przez kilka minut. Potem Wodnik chrząka.

– Potrafisz dochować tajemnicy przed chłopakami? – pyta.

Spoglądam na niego, bo jestem zaskoczona.

– Dam radę. Dzięki za zaufanie.

– Sprawa jest krępująca – dodaje, wiążąc poluzowane sznurówki. Szczypię go w łydkę, aby przypomnieć o swojej obecności. Kiedy opowiada, ma rumieńce na policzkach, a piwne oczy unikają mego wzroku. – Rodzice musieli sięgnąć po oszczędności przeznaczone na moje studia, żeby regularnie spłacać kredyt na dom. Jeśli mam

w przyszłym roku iść na uniwersytet stanowy, muszę się dorzucić, a to będzie spora suma.

– Mówisz serio? – Brak mi słów. Wodnik kiwa głową. Jego mama przed dwoma laty straciła pracę, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak źle. Kiedy ją widywałam, sprawiała wrażenie zadowolonej z życia. Wodnik twierdził, że postanowiła dać sobie czas na oddech, więc sądziłam, że doskonale sobie radzą. Niesamowite, jak ludzie potrafią się maskować.

– Rodzice dopiero teraz ci o tym powiedzieli? – wpytyuję.

– Sądzili, że szybko zarobią dużo kasy i uzupełnią mój studencki fundusz – tłumaczy Wodnik. – Inaczej to sobie wyobrażali. Bardzo ich przygnębiła ta sprawa. Uważają, że są do niczego, więc nie chcę ich bardziej zdołować. Tak to wygląda.

Od dawna planowaliśmy z Wodnikiem, że będziemy studiować na uniwersytecie stanowym w Vermoncie. Wodnik interesuje się zoologią. Ja nie mam pojęcia, czym chcę się zajmować, więc stawiam na humanistykę, żeby spokojnie szukać własnej drogi. Wodnik obiecał, że pomoże mi dokonać wyboru. Złożyłam papiery na kilku uczelniach, między innymi w Indiana, gdzie studiował tata, ale nie przyznałam się Wodnikowi, że rozważam taką opcję. Z obawą myślę, że byłabym tam całkiem sama.

– A stypendium? – Wiercę się niespokojnie. Wodnik wzrusza ramionami.

– Słyszałaś o stypendiach dla zdesperowanych przeciętniaków z trójami?

– Ci, którzy o to nie zadbali, powinni się wstydzić – powtarzam jego odzywkę. Dostaję kuksańca.

– Tak wygląda teraz moje życie, Toni. Po lekcjach sprzedaję pluszowe misie dzieciakom i turystom. To moja droga do lepszej przyszłości.

– A ja wytwornie krzyżuję nogi w kostkach, noszę kraciaste spódniczki i opowiadam o swoich uczuciach. Inaczej wyobrażaliśmy sobie ostatni rok szkolny, co?

Wodnik znów pociera głowę. Warkot filmowej piły staje się coraz głośniejszy, a ja mam ochotę podokuczać kumplowi, bo zapomniał

o ubiegłotygodniowej obławie. Chętnie ponarzekalabym na nową szkołę. Naprawdę chciałoby się pomarudzić, ale to Wodnik ma prawdziwe kłopoty. Jestem szczęściarą. Mama każe mi skupić się na nauce, nawet nie wspomina o pracy. Chodzę do najlepszego prywatnego liceum w całym stanie i wiosną będę mogła przebierać w uniwersyteckich ofertach, nie martwiąc się o czesne.

Nie muszę zębami i pazurami torować sobie drogi ku lepszej przyszłości. Została mi podana na srebrnej tacy.

Czuję się paskudnie.

Na ekranie przerażona dziewczyna biegnie po teksańskim polu, a piła mechaniczna warczy okrutnie. Wsłuchuję się w oddech Wodnika. Chciałabym, żeby zawsze był tutaj. Przy mnie. Do tej pory stale miałam go w pobliżu. Przypominał mi, kim jestem, kim byłam, kim będę: dziewczyną, która nie dba o dobre maniery. Czy stracę tożsamość, jeśli będziemy się rzadziej widywać? Czy zapomnę o samej sobie?

Naciskam brzuch i bekam, odreagowując wściekłość z całego tygodnia. Wodnik parska śmiechem.

– Nieźle.

Krwawy blask zachodzącego słońca sączący się przez zasłony gaśnie, a poświata komputera wydobywa z mroku stos ciuchów w kącie, brudne talerze i puste puszki po coli ustawione na biurku jak aluminiowa tyraliera agresywnego cukru. Masakra piłą mechaniczną dobiega końca. Wodnik wybiera kolejny film: „Projekt: Monster”. Wiedziałam, że tak będzie.

Wodnik szuka mojej dłoni; tak mi się przynajmniej wydaje. Odwraca wzrok i patrzy na ekran. Cała płonę, jakbym miała gorączkę. Czyżby szkolny stres źle wpłynął na moją odporność? Naciągam koc na ramiona.

– Może jednak uda nam się razem spędzić ten rok, Toni – mówi Wodnik cicho i czule. Siadam wygodnie, ukrywając uśmiech.

– Byłoby miło, Wodnik.

Po chwili odprężona zapadam w sen.



Budzę się z głową opartą wygodnie na ramieniu Wodnika. Strużka



śliny spłynęła mi z ust na jego koszulę. Siedzi oparty o łóżko, usta ma uchylone. Wzdrygam się i ocieram mokry podbródek.

Wodnik ani drgnie. Śpi jak zabity. Przyglądam się swoim piłkarskim spodenkom i białej koszulce na ramiączkach. Cycki mi wystają. Zakłopotana chwytam starą bluzę leżącą na podłodze, wskakuję w nią i przegarniam palcami splątane włosy.

Przechodzę nad Wodnikiem, wybiegam na korytarz i pędzę do łazienki. Myję zęby i twarz, czeszę włosy, związuję je w kitkę. Biorę głęboki oddech, nakazując sobie spokój. Nie ma powodu do paniki. Wodnik nocował już u nas w domu. Widywał mnie w całej porannej ohydzie, czuł nieświeży oddech, śmiał się z zaspanych oczu.

Nic nowego pod słońcem.

Dlaczego dziś odbieram to inaczej?

Wracam chyłkiem do swego pokoju. Wodnik przeciąga się i pojękuje. Stoję w drzwiach i czekam, aż otworzy oczy. Przez chwilę wydaje się zagubiony, jakby nie wiedział, gdzie jest. Na mój widok twarz mu się rozpromienia.

– Dzień dobry – mówi. Nie mam pojęcia, skąd czerpie siły, żeby od samego rana być miłym dla innych ludzi.

– Kawy! – mamrocę. – Królestwo za kawę.

Kilka minut później człapiemy po schodach do kuchni. Wodnik ziewa i przeciąga się, smukłymi palcami dotykając sufitu. Mama pochyla się nad miską płatków stojącą na kuchennym stole. Brian sięga po swoje klucze, które wiszą na haczyku przy drzwiach prowadzących do garażu. Na nasz widok zamiera w bezruchu i patrzy spod daszka baseballówki opatrzonej logo drużyny Patriotów z Nowej Anglii.

– Dzień dobry, pani Richards. Dzień dobry, panie Richards – mówi Wodnik z sennym uśmiechem. Większość ludzi zapomina, że mama przyjęła nazwisko Briana, gdy pobrali się rok temu. Ja zachowałam nazwisko taty. Zawsze będę je nosiła.

– Cześć, Mike. – Matula ociera mleko spływające po brodzie. – Dobrze spałeś?

Wodnik znów się uśmiecha.

– Fantastycznie. Jak zwykle.

Brian wyłamuje palce i mówi nie wiadomo do kogo:

– Porozmawiamy później.

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi garażowych przerywa kłopotliwe milczenie.

– Jeszcze nie przywykł, że ma nastoletnią córkę – tłumaczy mama.

– Denerwuje się.

– Nic mnie z nim nie łączy! – wybucham. Mama klaszcze w rękę.

– Zmieńmy temat, Mike. Jak ci minął pierwszy tydzień ostatniego roku szkolnego? Wszystko dobrze?

– Jestem totalnie zarobiony. – Wodnik nadal się uśmiecha. –

Dzięki za nocowanekę, ale muszę zmykać. – Klepie mnie po plecach. – Zobaczymy się później, Toni.

– Dobra. – Po chwili już go nie ma. Otwieram puszkę coli i opieram się łokciami o kuchenny blat. Przesuwam uchwyt puszki w przód i w tył, w przód i w tył. Czuję na sobie wzrok matuli. Wreszcie podnoszę głowę.

– Wal śmiało – mówię. – Pogadanka.

– Nie powinnam już chyba pozwalać, żeby chłopcy przesiadywali u ciebie w pokoju – peroruje mama. – Nocami. Przy drzwiach zamkniętych.

– Mamo. – Ściskam w palcach wyrwany uchwyt. Te nowe troski najpewniej wtłoczył jej do głowy Brian. – Wodnik to nie chłopak.

– Skąd ta pewność, jeśli wolno spytać? – Mama unosi brwi.

Upijam łyk z puszki.

– Nie oglądałam jego męskich klejnotów, więc pewności nie mam. Często u nas nocuje.

– Oboje dojrzeliście...

– Tata nigdy się tym nie przejmował – przerywam.

Mama podnosi głowę i ze zdumienia robi wielkie oczy. Skubie odpryskujący lakier na czerwonych pazurkach.

– Przeciwnie. Martwił się. – Pochłania łyżkę płatków. Mleko znów kapie jej na brodę. – Teraz przejmowałby się jeszcze bardziej. Mike'owi zarost się sypie. Tego lata chłopak stał się mężczyzną. Jest przystojny jak gwiazdor filmowy, nie sądzisz?

– Mamo, przecież to Wodnik.

Mama rzuca miskę do zlewu. Resztką mleka chlapie na blat, ale nie

zwraca na to uwagi.

– Wszystko się zmienia, Toni. Nie możesz tego powstrzymać, choćbyś udawała, że nie widzisz zmian. – Całuje mnie w czoło i znika w salonie.

Dopijam resztkę coli i rzucam puszkę do pojemnika na wtórniaki. Dobrze wiem, że wszystko się zmienia. Matula nie musi mi tego tłumaczyć. Kiedyś miałam ojca. Teraz nie mam.

Trudno mi zarzucić, że ignoruję zmiany.



## Rozdział szósty

W ciągu następnych paru tygodni pogoda się zmienia, a chłodny front niweczy ostatecznie ślady lata. Suche szeleszczące liście zasypują miasto jak sezonowa plaga. Tafla jeziora drży, ponure niebo ciemnieje. W sobotni ranek przy takiej pogodzie najchętniej otulam się ciepłą, miękką kołdrą. Dziś nie ma zmiłuj; obowiązek szkolny wzywa.

– Chyba mi się przywidziało – mówi Brian, gdy wchodzę do kuchni. Pierwszy brzask sączy się przez rolety. – Jest sobota, a Toni wstała, choć do południa szmat czasu? Oczom nie wierzę. – Popija kawę.

Stawiam plecak z podręcznikami na blacie i z jękiem zmierzam ku lodówce. Wypijam duszkiem colę i pakuję drugą na drogę.

– Wychodzisz? – pyta Brian.

– Tak. – Idę ku drzwiom, ale zgred wciąż nawija:

– Będziesz szukała Jezioraka ze swoim chłopakiem?

– Wodnik nie jest moim chłopakiem. – Przystaję, mocno wkurzona.

– Aha. Trudno nadażyć. Przepraszam. – Brian wyłamuje palce. – Chciałabyś z nim chodzić?

Brian mówi takim tonem, jakby Wodnik był kandydatem na pierwszego dobiegacza, którego – ach, ach, sama słodycz – opiszę w dziewczynskim pamiętniku albo gdzie indziej. Jak mu wyjaśnić, co mnie łączy z Wodnikiem? To najlepszy przyjaciel. Mogę powierzyć mu tajemnice, których nigdy, przenigdy nie zdradziłabym swojemu chłopakowi.

Wzdycham głęboko i powtarzam sobie w duchu, że powinnam być uprzejma dla ojczyma.

– Jadę do szkoły. Muszę w parku zebrać dziś materiał do referatu na zajęcia z ekologii, bo w tygodniu zabrakło mi czasu.

Brian pochyla się, udając zaciekawienie.

– Lubisz swoje liceum?  
– Nie. – Cierpię tam jak potępieniec.  
– Wszystko się ułoży – odpowiada.  
– Jasne – kłamię, żeby mu sprawić przyjemność. – Masz rację. Na sto procent.

Wychodzę, powłócząc nogami. Jesienne powietrze, świeże i rześkie, to jedyny pożytek z pobudki o świcie. Gdy otwieram drzwi mojej maximy, dostrzegam Wodnika idącego przez trawnik ze szkolnym plecakiem. Ma na sobie niebieską bluzę i džinsy umazane błotem.

– Oto scena warta sfilmowania – mówi Wodnik, unosząc kamerę. Wyobrażam sobie, co zobaczył: worki pod oczami, zmierzwiłone włosy, ogólne wyczerpanie.

Zasłaniam twarz rękoma i wołam:

– Za wcześnie na paparazzich!

Wybucham śmiechem i chowa kamerkę do kieszeni.

– Mówię serio – tłumaczy. – Jestem zaniepokojony. Słońce ledwie wzeszło, a ty już na nogach.

Opowiadam mu o lekcjach i doświadczeniach w nowej szkole oraz ciągłych kłopotach ze skończeniem pracy domowej na czas. Wodnik opiera się o maskę samochodu.

– Wiesz co? Chciałem wpaść nad jezioro i pogapić się trochę, ale wyprawa do waszego parku to prawdziwe wyzwanie – odpowiada. – Mogę jechać z tobą?

– Zamierzam tylko pochodzić po lesie i zrobić drzewom kilka zdjęć – tłumaczę.

– A ja poszukam tropów Wielkiej Stopy. – Oczy mu się świecą.

Uśmiecham się. Cały Wodnik, cały on. Kamień spada mi z serca. Będę miała fajne towarzystwo.

– Jedziemy twoim autem?

– Oczywiście. – Wyjmuje kluczyki z kieszeni džinsów.

Wodnik chwyta w lot, jak ważne jest zachowanie rytuałów, nawet tych drobnych i mało ważnych. Staram się ukryć radość, gdy idziemy na jego podjazd.

Wsiadam do hondy, ziewam, ciężą mi powieki. Stawiam plecak wypełniony książkami przy stopach, otwieram drugą colę, wypijam kilka

łyków i umieszczam puszkę w uchwycie.

Pusta tylna kanapa przypomina mi, że Lanser i Kowboj wymykają się, żyją własnym życiem z dala ode mnie, z dala od naszych wspólnych spraw. Jest inaczej niż przedtem: Lanser nie kopie w fotel, brak milczącego Kowboja, zniknął przyjacielski krąg, nasza mała społeczność. Obrazek się rozpada.

– Poranne wstawanie w sobotę powinno być prawnie zakazane – mówię.

Wodnik ma dziś zarost mocniejszy niż zwykle.

– Obudzę cię, gdy będziemy na miejscu – proponuje.

Unoszę kciuk, opieram skroń o szybę i przymykam oczy. Serce mi się kraje, lecz mimo to wkrótce zapadam w rozkoszną sobotnią drzemkę.

Po przebudzeniu widzę przez okno swoje liceum. Ceglany budynek otaczają pożółkłe drzewa. Zielone wzgórza stanowią wyraziste tło. Pochmurne niebo pojaśniało i promienie słońca ogrzewają mi jedną stronę twarzy. Ślina sączy się z kącika ust. Siadam prosto, ocieram brodę i zerkam na Wodnika.

Patrzy na mnie z kpiącą miną.

– Co jest? – pytam.

– Nic. – Odwraca głowę i uśmiecha się. – Dojechaliśmy.

Parkujemy przed budynkiem. Prowadzę Wodnika do leśnego parku na tyłach szkoły. Idziemy ścieżką wydeptaną przez wiele poprzedniczek, zdolniejszych niż ja. Te panny wyrabiały się na czas z pracą domową i pasowały do tego miejsca.

Zapomniałam wziąć rękawiczki, więc gdy idziemy dróżką, chowam dłonie w rękawach bluzy. Wszechobecna poranna cisza spowija nas jak mgła.

– Czego szukasz? – pyta Wodnik.

– Mam znaleźć trzy gatunki drzew. Dwa już namierzyłam. Brakuje mi brzozy. – Kopię stos suchych liści i przerzucam ciężki plecak na drugie ramię. – Wybrałam ciekawy temat: drzewa.

– Fajna ta szkoła. – Wodnik rozgląda się wokół. – Na pewno wygląda lepiej niż nasza buda.

Prycham z oburzeniem.

– Nasze korytarze cuchną rywalizacją, aspiracjami i lakierem do

paznokci.

Wodnik wzrusza ramionami.

– Lepsze to niż woń smażenia od samego rana.

– Ohyda. – Parskam śmiechem. – Lanser nadal je hamburgery na śniadanie?

– Ten gość je uwielbia – przyznaje Wodnik, chichoce.

Wyobrażam sobie Lansera, który rano maszeruje korytarzem z zatuszczoną torbą w rękach, otoczony duszącą wonią cebuli. Brak mi tego widoku; smrodu też.

Wyjmuję aparat i nie zważając na lekki smutek, cykam parę fotek klonu cukrowego. Idiotyzm! Jak można tęsknić za koszmarnymi śniadaniem Lansera? Trzeba rzucić się w wir pracy i skupić na bieżących zadaniach. Jeśli nie będę uważała, zmienię się w ponurą żalobnicę, pogrążoną w żalu za minionym życiem.

Wodnik sięga po kamerę i filmuje park.

– Całkiem prawdopodobne, że Wielka Stopa właśnie nas obserwuje – mówi, przeczesując wzrokiem okolicę.

– Podobno zamieszkuje północno-zachodnie wybrzeża Pacyfiku? – upewniam się.

– Widywano go w tym regionie. – Wodnik pochyla kamerę. – Kilka lat temu dwójka dzieciaków podczas biwaku dostrzegła włochatego olbrzyma.

– Szkoda, że nie miały aparatu.

– Te stworzenia pojawiają się niespodziewanie. – Wodnik szczyrzy zęby. – Zaskoczenie. Niewiadoma. Mało kto filmuje na okrągło. Tak się nie da żyć. – Wzdycha. – Szkoda, że nie złapałem tego, co widzieliśmy. To był Jeziorak. Jestem tego pewny. Gdyby się udało, byłibyśmy milionerami.

– Wątpię – odpowiadam. – Ludzie pozostają niedowiarkami, nawet jeśli im się coś pokaże czarno na białym. Weźmy Lansera. Widział Jezioraka, ale... zaprzecza.

– Jesteś dzisiaj bardzo sceptyczna. – Wodnik przystaje.

Wzruszam ramionami. Ma rację. Ostatnio nie mam nastroju do tajemnic i legend. To okropne, ale Lanser i Kowboj zasiali we mnie ziarno wątpliwości. Może tamtego lata wcale nie widzieliśmy Jezioraka.

A jeśli fundamentem naszej przyjaźni był dryfujący pień albo inne badziewie? Nie jest to mocna podstawa. Może lepiej nie wiedzieć i zaprzestać pogoni za legendą. Co będzie, jeśli odkryjemy, że to wszystko ściema?

Wzdycham ciężko.

– Wodnik, może nie chodzi wcale o znalezienie tych stworzeń. Niech Jeziorak pozostanie zagadką. Sama nie wiem. Tajemnice mają sens. Weźmy na przykład cotygodniowe pogaduchy w mojej szkole. Mamy opowiadać o uczuciach, odsłaniać się, ale moim zdaniem takie rzeczy najlepiej zachować dla siebie, nie ujawniając ich.

Wodnik nadal filmuje park.

– Najlepiej dla kogo?

– Dla każdego – odpowiadam. – Wiadomo, że drobiazg często burzy równowagę. – Odwracam wzrok. Cała drzę. Co my wszyscy będziemy robili za rok o tej samej porze? Z kim się zaprzyjaźnimy? Czy w ogóle potrafię się do kogoś zbliżyć? Od wieków kumpluję się z tymi samymi ludźmi.

– Toni, popatrz. – Wodnik wskazuje błotnistą ścieżkę. Biegnę do niego, pochylam się i próbuję coś dostrzec. Stoimy ramię przy ramieniu.

– Co jest? – Spoglądam na kupkę liści.

– Nie widzisz? – Wodnik kieruje obiektyw kamery w dół, jakby to było najciekawsze miejsce na ziemi... na całej planecie. Widzę tylko liście i błoto.

– Tutaj. – Wodnik pokazuje mi palcem.

Pod warstwą liści jest w błocie odcisk stopy. Kiwam głową.

– To mi wygląda na jakiś trop.

Wodnik prostuje się i uśmiecha szeroko. Zęby ma bielusieńkie. Na pewno codziennie czyści je nicią dentystyczną.

– To nie jest zwykły trop, tylko ślad Wielkiej Stopy.

Wybucham śmiechem i walę go pięścią w ramię. Oddaje mi i szczyrzy zęby. Ruszam, a Wodnik idzie za mną, starając się dostosować długi krok do mojego dreptania.

– Chcę wiedzieć jak najwięcej o naszym świecie – mówi Wodnik po dłuższym milczeniu. Oczy ma wbite w ziemię. – Marzą mi się odkrycia uchodzące za niemożliwe.



– Od piątej klasy tak kombinujesz – odpowiadam.

– Aha. – Wodnik manipuluje przy kamerce, unikając mojego spojrzenia. – A ty nie?

Za naszymi plecami trzaska gałązka. Oboje natychmiast się odwracamy, mocno zaalarmowani. Przyglądam się drzewom w poszukiwaniu sprawcy zdarzenia, lecz nie widzę nikogo. Czuję się głupio, bo puls mi przyspiesza. Mało prawdopodobne, żeby morderca z siekierą chciał nas zarębać w biały dzień, ale w tym klonowym zagajniku ogarnia człowieka koszarne poczucie odosobnienia. Powinnam odstawić filmowe horrory.

– Bum! – Ktoś zlatuje z sąsiedniego drzewa. Wrzeszczę i przypadam do Wodnika, obejmuję go w pasie i mocno zaciskam ramiona.

– Ale was nabrałam, ludziska! – słyszę wesoły głos. Podnoszę głowę i moim oczom ukazuje się szeroko uśmiechnięta Emma Elizabeth Swanson. Cekiny na różowym sweterku odbijają promienie słońca, blond włosy barwy miodu związane są w schludny koński ogon. Jasne dzinsy mają dziury na kolanach.

– Co ty tutaj robisz? – pytam bez tchu zawstydzona, że tak się rozwrzeszczałam.

– To samo co wy. – Emma puszcza do mnie oko. – Nasz lasek to idealne miejsce na randki.

Patrzę na Wodnika. On też gapi się na mnie, policzki ma czerwone. Nadal się obejmujemy. Cofamy się natychmiast, znacząco zwiększając odległość między nami.

– Wybaczcie, że wam przeszkodziłam. Przy okazji, mam na imię Emma. – Podaje rękę mnie i Wodnikowi. Wymieniamy uścisk dłoni. Pazurki ma pomalowane na jasny fiolet i posypane brokatem.

– Mamy razem ekonomię, prawda? – mówi, celując we mnie palcem. Kiwam głową.

– Jestem Toni Valentine.

– Zgadza się. Nowa uczennica z romantycznym nazwiskiem. – Emma patrzy na Wodnika. – Ty nie chodzisz do naszego liceum.

– To Wodnik – tłumaczę. – Mój kumpel. Kolega. Tylko się przyjaźnimy

– Inaczej mówiąc, nie randkujemy – wpada mi w słowo Wodnik. – Mam na imię Mike.

– Jasne. Mój błąd. Miło poznać was oboje. Widzieliście tu kogoś? Rozglądam się za chłopakiem z burzą włosów i ślicznymi oczami.

– Przykro mi. Nikt taki się nie napatoczył – odpowiadam, spoglądając na Wodnika, który wzrusza ramionami.

– Czasami podejrzewam, że Kevin umyślnie mnie unika. – Emma przygryza dolną wargę. – Myślicie, że mam obsesję?

– Proszę? – Nic więcej nie potrafię wykrztusić.

– Pewnie jest w pobliżu – mówi Wodnik. – Nigdy nie wiadomo, na co się trafi w gęstym lesie. – Puszcza do mnie oko. – Szukajcie, a znajdziecie.

– Dzięki! – mówi z uśmiechem Emma i zwinnie jak sarna pomyka w głąb parku. Różowy sweterek miga wśród drzew. Obserwujemy ją z podziwem, jakbyśmy ujrzeli istotę z legendy.

– Wydaje się dość miła – komentuje Wodnik.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Emma Elizabeth Swanson bywa ujmująca, ale to nie oznacza, że mogę się z nią kumpłować. Słaba nadzieja.

Idę dalej. Liście szeleszczą mi pod stopami obutymi w trampki. Wodnik maszeruje z tyłu, filmując las. Skupiam się na poszukiwaniu zwodniczej brzozy. Czuję za plecami obecność Wodnika i przez moment jest tak samo jak za dawnych dobrych czasów. Powrót do przeszłości wcale nie jest taki trudny.

– Chyba znalazłem to, czego szukasz – mówi Wodnik.

Odwracam się i podążam za jego spojrzeniem. Wskazuje drzewo o żółtych liściach rosnące w odległości paru metrów, na prawo od nas. Kora na pniu jest gładka, jasna i popękana, jakby kosmata.

Robię zdjęcie, lecz nie wiedzieć czemu umiarkowanie cieszy mnie to znalezisko.

– Dzięki. Tego szukałam – mówię, łudząc się, że Wodnik nie słyszy niechęci w moim głosie. A może się zorientował, lecz nie dał tego po sobie poznać.



## Rozdział siódmy

W piątek przed Halloween deszcz dzwoni o szyby liceum, a mnie mózg się lasuje od rozwiązywania równań. Po ostatnim dzwonku robi się tłoczno i głośno. Nauczyłam się już nie zważać na poczucie osamotnienia, które mnie dopada w gęstym tłumie.

Dzisiaj zamiast przepychać się w tłoku, zostaję w klasie i wysyłam chłopakom SMS-y, próbując w tym tygodniu zorganizować obławę na Jezioraka. Musimy się szybko spotkać, choćby palce miały mi odpaść od stukania w klawiaturę. W końcu zabraknie im wymówek.

Po chwili Lanser odpowiada: PRZEPRASZAM. NIE DAM RADY. MAM INNE PLANY.

Rozczarowana chowam telefon. Zaczynam podejrzewać, że naprawdę jest na mnie wściekły z powodu tamtego głupiego wybryku.

Zaczyna się weekend. Ochoczo zmierzam ku drzwiom klasy, gdy nagle puszcza zamek plecaka i książki wysypują się na podłogę. Zbieram je i układam w stos jak zamkową wieżę obronną; tylko podręcznik do francuskiego gdzieś się zapodział, a na poniedziałek mam napisać wypracowanie o historii Paryża. Ładuję książki do felernego plecaka i trzymając go w objęciach, pędzę opustoszałym korytarzem, zerkając na podłogę z ciemnego drewna, metalowe szafki i tapetę w kolorze czerwonego wina. Rozlega się grzmot, budynek drży. Okropność. Czasami myślę, że straszą tu duchy dziewczyn, które załamały się, przeciążone szkolną nauką.

Podręcznik do francuskiego znajduję w swojej szafce i zbiegam na dół po kamiennych schodach. Nagle staję jak wryta. Na ostatnim stopniu siedzi dziewczyna: kolana podciągnięte pod brodę, ramiona drżą. Czekam, aż wyczuje moją obecność, lecz jest pogrążona w takiej rozpacz, że nie ruszyłby jej nawet wystrzał armatni.

Odwracam się, chcąc wrócić na górę i poszukać innej drogi, ale coś

mnie zatrzymuje. Miodowe włosy tamtej panny łagodnymi falami spływają na ramiona, gdy potrząsa głową, jakby spierała się sama ze sobą. Drobną postać, jasna cera, starannie wyprasowana spódniczka wyglądają znajomo.

– Emma?

Odwraca się i patrzy na mnie przekrwionymi oczyma. Łkania odbijają się echem w pustym holu, dolna warga drży, gdy biedactwo próbuje odpowiedzieć, ale zdobywa się tylko na przeciągły piskliwy...

Nie potrafię nazwać tego dźwięku. Trzeba to przemyśleć.

Emma kryje głowę w ramionach i idzie na całość. Naprawdę puszczają jej wszystkie hamulce. Totalnie zakłopotana nieruchomieje u szczytu schodów.

– Dobrze się czujesz? – Kręcę głową. – Głupie pytanie. Od razu widać, że jesteś zdołowana.

Emma nie odpowiada i nadal szłocha. Podchodzę do niej ostrożnie, jakby była odbezpieczonym granatem, i siadam obok, zachowując bezpieczny dystans. Plecak stawiam na kolanach i skubię obrębek szortów wystających spod spódnicy.

Podczas dni adaptacyjnych nikt mi nie powiedział, jak się zachować w takiej sytuacji. Przydałoby się teraz stosowne przeszkolenie.

– Chcesz porozmawiać? – zagaduję, próbując metody, którą stosuje pani Kemper, gdy spotykamy się w bibliotece. To ona powinna zająć się Emmą. Jest profesjonalistką. Rozglądam się w nadziei, że pojawi się jakaś dobra dusza, która mnie zastąpi. O tej porze szkoła pustoszeje. Wszyscy popędzili do swoich zajęć.

– Przysięgał, że mnie kocha – mówi Emma łamiącym się głosem i wyciera nos rękawem.

– Aha. I bardzo dobrze. – Obgryzam paznokciec kciuka. Jak mam sprawić, żeby przestała ryczeć? Mogę odtańczyć idiotyczny pląs, zaśpiewać głupawą piosenczkę, robić głupie miny. Problem w tym, że Emma nie jest dzidziusiem, tylko nastolatką. Tak samo jak ja.

W pewnym sensie.

Emma kręci głową, minę ma posępną, policzki czerwone.

– To koniec. Mówił, że mnie kocha, a potem... zerwał.

– Aha – mamrocę. Błagam, przestań ryczeć! – Niedobrze.

– To drań. – Emma macha rękami. – Śliczny łobuz, którego kocham nad życie.

To nie moje klimaty, ale nie mogę jej tu zostawić, żeby ryczała w samotności z powodu chłopaka. Powinna istnieć jakaś wajcha, którą by się przestawiło i sytuacja wróciłaby do normy. Szukam odpowiednich słów. Trzeba ją zagadać.

– Chłopcy i randki to nie moja specjalność – przyznaję świadoma, że moje romantyczne wspomnienia zmieściłyby się na pudełku od zapalek. – Ale wiem, jak rozumują chłopaki.

– Poważnie? – Emma pociąga nosem.

– Przez całe dzieciństwo byłam jedyną panną na swojej ulicy. – Nasza kochana Newbury Lane. – Wiem, co się dzieje w ich głowach.

– Co mam robić? – Emma patrzy na mnie wielkimi oczami. Przypomina bezdomnego szczeniaka. Tusz jej się rozmazał. Pyta o radę? Mam nią pokierować?

– Chłopcy są głupi. – Wzruszam ramionami. – Dziewczyny też. Bez obrazy. Taka prawda. Mówią różnymi językami. Wiele spraw gubią w tłumaczeniu. Pewnie dlatego, że jedni i drudzy są niezbyt uważni. Jak ma na imię ten drań?

– Kevin. – Grad łez rzędzie.

– Ach tak. Chłopak z lasu. Idę o zakład, że Kevin tkwi w błogiej nieświadomości, że cię boleśnie zranił. Chwileczkę. – Zrywam się na równe nogi, ściągam spódnice, poprawiam spodenki i siadam na schodku. – Daruj. Ta kiecka mnie dobija. Na czym skończyłam?

– Powiedziałaś, że wszyscy jesteśmy ciemniakami. – Mruga powiekami. – Dziewczyny mego pokroju również.

Znowu kręcę głową. Nie mam smykałki do takich pogaduszek.

– Ujmę to inaczej. Pamiętasz Wodnika?

– Twojego kumpla?

Z zadowoleniem kiwam głową. Emma Elizabeth szybko pojęła, w czym rzecz. Mój kumpel. Dlaczego Brian tego nie rozumie?

– Właśnie! – przytakuję energiczniej, niżby wypadało. – Mniejsza z tym. Chodził z jedną panną... nie pamiętam, jak jej było... całe dwa lata. Był zakochany do szaleństwa. Istny koszmar. – Na samą myśl o tym flaki mi się wywracają. – Oszukiwała go. Notorycznie. Znienawidził ją

za to.

– Nie okłamywałam Kevina... – przerywa mi Emma.

Uciszam ją gestem.

– Daj mi dokończyć. Obiecuję, że zaraz wszystko się wyjaśni. Po kilku tygodniach panienska zaczęła chodzić z gościem, który nosił tylko skóry i seplenił. Domyślasz się, jak zareagował na to Wodnik.

Emma wyjmuje z torby różową chusteczkę.

– Wkurzył się.

Powinien się wkurzyć. Boże, wściekłam się na tamtą żołą za krzywdy wyrządzone memu porzadnemu Wodnikowi. Chwileczkę, on nie jest mój. Nikt go nie ma na własność. Mniejsza z tym. Najchętniej obilałabym twarz tamtej kretynce.

– Gorzej – kontynuuję. – Zmarkotniał. Można by pomyśleć, że wcześniej całkiem zapomniał, jaka jest wredna. Było, minęło, poszło w niepamięć. Przestał cierpieć z powodu jej podłości i kłamstw. Gdy zobaczył ją z innym kolesiem, z istnym zerem, dawne sentymenty powróciły i zdrowy rozsadek poszedł w odstawkę. Wodnik zapragnął odzyskać swoją byłą. Musieliśmy przemówić mu do rozsądku.

Emma wyciera nos chusteczką.

– Mam sprawić, aby Kevin zapomniał, że nie chce ze mną chodzić? Jak to się robi? Nie mam ochoty spotykać się z innym chłopakiem.

Zagryzam wargi. Trzeba skończyć tę rozmowę, zanim narobię poważnych szkód. Z drugiej strony jednak naprawdę chciałabym pomóc Emmie. Nie powinna być zdołowana przez jakiegoś gnojka.

– Wcale nie musisz – wyjaśniam po chwili. – Wystarczy, że Kevin tak pomyśli.

Szczerze mówiąc, nie mam doświadczenia w tego rodzaju gierkach, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Może sposób okaże się skuteczny.

Emma chowa zużytą chusteczkę do przedniej kieszeni plecaka w różową kratkę.

– Tego się nie da zrobić.

– Udawanie jest łatwe. Teraz codziennie to robię. – Przesadziłam ze szczerością, ale co się stało, to się nie odstanie. Niebieskie oczy Emmy patrzą na mnie współczująco. Mam do siebie pretensję, że do tej

pory nie próbowałam bardziej się z nią zaprzyjaźnić. Chyba należy to zmienić.

– Radzisz sobie lepiej niż ja w pierwszej klasie – mówi. – To była prawdziwa katastrofa.

Przyglądam się jej idealnej fryzurze, pazurkom, cerze. Jest zaryczana, ale do katastrofy jej daleko.

– Przestałaś się tak bardzo przejmować tym głupim Kevinem? – pytam, zmieniając temat. – Twój problem da się rozwiązać.

Już mi się wydawało, że pomogłam Emmie, aż tu nagle biedaczka znów wybucha płaczem.

Litości! Królestwo za dobrą radę.

– Daruj! – mówię. – Nie powinnam głądzić bez sensu. Nie wiem, co mówię, bo nie miałam nigdy chłopaka.

Jak mogłam przyznać się do tego innej dziewczynie?

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nie mam z kim udawać. – Wyciera tusz rozmazany na dolnej powiece.

– Wykorzystaj znajomych chłopaków – podpowiadam, ukradkiem oddychając z ulgą. – Zaproponuj gostkowi fajną łapówkę: zarełko albo coś w tym rodzaju.

Emma krzyżuje nogi w kostkach.

– Oprócz Kevina nie znam żadnych chłopaków.

W zadumie znowu obgryzam paznokieć kciuka i opieram się plecami o balustradę. Powinnam uciec, zanim Emma znów się rozryczy. Widzę, że jej wielkie niebieskie oczy napełniają się łzami.

– W takim razie powinnaś sobie pożyczyć jednego z moich kumpli – mówię, składając ryzykowną obietnicę, której spełnienie stoi pod znakiem zapytania.

Emma pociąga nosem. Obawiam się, że lada chwila znowu się rozryczy, ale zamiast szlochać, piszczy tak głośno, że szyby w oknach zaczynają drżeć. Ściska mnie i jednym susem zeskakuje z kamiennych schodów.

– DZIĘKI, TONIU VALENTINE! – krzyczy. – JESTEŚ MOJĄ NAJLEPSZĄ PRZYJACIÓŁKĄ!

Uśmiecham się, dostaję rumieńców i chwytam plecak wypełniony książkami. Po raz pierwszy, odkąd jestem w tej szkole, czuję, że

mogłabym się z kimś zakumplować.

– Moja matka byłaby przeszczęśliwa, gdyby mogła cię usłyszeć.  
Aha, mów mi Toni, dobra?





## Rozdział ósmy

Emma Elizabeth Swanson sprząta mój pokój. Jest przebrana za kota. Z tym przebraniem chyba trochę przesadziłam. Jediną oznaką, że podczas Halloween chce przypominać uroczą koteczkę, są czarne futrzane uszka na czubku głowy, a tak zwany kostium składa się z czarnej kiecki bez ramiączek, kabaretek i czarnych kozaków.

Kot Piłkarz ułożył się centralnie na moim łóżku i obserwuje ją z politowaniem. Sądzę, że czuje się urażony. Za nic w świecie nie włożyłby butów z cholewami.

Emma wrzuca do worka na śmieci ustawione w szyku bojowym puste puszki po coli, a potem celnymi kopniakami ogarnia brudne ciuchy zaścielające podłogę. Wkrótce spora kolekcja bluz spoczywa w kącie, zebrana w zgrabny stosik. Ukazuje się kompromitująco różowy dywan. Emma zjawiła się przed pięcioma minutami, a już osiągnęła więcej niż ja przez cały tydzień.

– Przepraszam – mówi zdyszana. Kocie uszka jej się przekrzywiły.  
– Nie miej mi za złe tego sprzątania. Uwielbiam wszystko porządkować.  
– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Każdy ma jakąś obsesję.

Uładzenie mojego pokoju jest dla mamy kolejnym powodem do wielbienia Emmy. Matula omal nie zemdląła ze szczęścia, gdy zapytałam, czy koleżanka z liceum, czyli prawdziwa dziewczyna, może nas odwiedzić, nim pójdziemy do Lansera na imprezę z okazji Halloween.

– Czas się przebrać – mówię, idąc do łazienki.

Gdy Lanser przysłał SMS z zaproszeniem na domówkę, sądziłam, że to żart. Nie organizował dotąd żadnych imprez. Nikt z ferajny nie miał takich ciągot, jeśli nie liczyć krótkich spotkań przed obławami. Moim zdaniem one się nie liczą.

Miło, że przynajmniej dziś cała ferajna zbierze się w jednym

miejscu. Teraz jedynie to się liczy.

Domówka Lansera jest też dla Emmy znakomitą sposobnością, żeby odzyskać byłego. Do roli rzekomego chłopaka wybrałam Wodnika, bo na nim można polegać. Od paru tygodni rzadko się widzimy, bo praca bardzo go absorbuje, więc cieszę się, że dzisiejszy wieczór spędzimy razem.

Przeglądam się w łazienkowym lustrze, zadowolona z tegorocznego kostiumu. Jest nie do pobicia. Chłopaki są bez szans. Klasyczna prostota. Wygoda oraz koloryt lokalny. Pędzę korytarzem i wpadam do swego pokoju z donośnym MUUUUUU!

Emma patrzy na mnie, trzymając w jednej ręce szminkę, w drugiej składane lustro. Zamyka je z trzaskiem, odkłada i przecina pokój. Obcasy kozaków zostawiają na dywanie wgłębienia podobne do śladów na śniegu.

– To ma być ten twój czadowy kostium? – pyta.

Obracam się, prezentując strój, a zardzewiały dzwonek u szyi wydaje głuchy dźwięk.

– Świetny, prawda?

– Jesteś krową.

– Doskonale! Bałam się, że nie zgadniesz. – Poprawiam zawieszony na brzuchu plastikowy wymiona. Kombinezon w biało-czarne łaty jest za luźny, ale nie dbam o to. Kapelusz z kosmatymi różowymi uszami oraz rogami pasuje idealnie, ale najbardziej cieszy mnie, że mogę wystąpić w trampkach. Dziś wieczorem będzie mi wygodnie.

– Nie widzę twojej figury – mówi Emma, przechylając głowę. – Równie dobrze mogłabyś wystąpić w jutowym worku.

– I co z tego? – Jutowy worek. Dobry pomysł na przyszłoroczne święto.

– Na imprezie będą chłopcy. – Emma bawi się srebrnymi kolczykami. – Mnóstwo przystojniaków. Rozumiesz?

– Trudno wyczuć, czy goście przyjdą. Lansera trudno uznać za gwiazdę miejscowego towarzystwa.

Lanser marnie wypada w rankingu mojej dawnej szkoły. Cała nasza ferajna ma z tym problem. Nie potrafię wyobrazić sobie Lansera

jako typowego imprezowicza. Przede wszystkim nie lubi tłoku. Zwierzył mi się raz, że najchętniej sam jeden szusuje na snowboardzie, bo nikt mu wtedy nie mówi, co ma robić. Dziwne, że w ogóle zdecydował się na zorganizowanie imprezy.

– Słyszałaś o podkreślaniu swoich atutów?

– Nie wiedziałam, że jakieś posiadam.

– Idiotyzm! Masz świetną figurę, Toni! Daruj, ale nie mogę pozwolić, żebyś ukrywała takie świetne nogi. – Rusza w moją stronę. Cofam się o krok.

– Mam nadzieję, że to nie jest sygnał do rozpoczęcia spektakularnej metamorfozy, co?

Emma się uśmiecha.



Po godzinie mój strój jest zmasakrowany. Biedna krówka. Nożyczki szaleją, skrawki tkaniny fruwią w powietrzu. Pędzle do makijażu muskają policzki. Szminka lśni w blasku lampy. Obserwuję pozostałości biało-czarnego kostiumu rozrzucone na dywanie i czuję się obnażona.

– Nadal jesteś krową, ale wystrzałową. Ha, ha! Ale mi się zrymowało – mówi Emma, wkładając czerwone szpilki. Nigdy nie rusza się z domu bez dwu rezerwowych zestawów.

Pożyczone od Emmy kozaki na wysokich obcasach ściskają mi palce, piją w pięty i przyprawiają o zawrót głowy. Nie jestem wysoka i o tym nie marzę. Oglądanie świata z takiej wysokości jest nienaturalne. Uda mnie swędzą pod kabaretkami, a szminka smakuje jak środki czystości z owocowym aromatem. Cycki wyłazą spod czarnej koszulki na ramiączkach. Emma namierzyła w mojej szafie stary ciuch z czasów podstawówki. Jej czarna mini jest na mnie dwa numery za mała.

Jestem wystawiona na widok publiczny. Na szczęście Emma pozwoliła mi zatrzymać dzwonek wiszący na szyi.

– Twój najdroższy zemdleje, gdy cię dziś zobaczy – obiecuje Emma, obserwując mnie niczym osobiste arcydzieło. Kończy masakrowanie kapelusza. Uszy sterczą teraz z wąskiej opaski.

Poprawiam majtki wpijające się w tyłek.

– Kto?

– Nie musisz ujawniać, kto to jest. – Emma pudruje mi nos. – Za mało się znamy na takie zwierzenia.

– Nie mam najdroższego. – Podciągam czarną koszulkę, a Emma szarpie ją w dół. Mam dość okazały dekolt. W ciągu godziny piersi mi urosły o dwa rozmiary? Czy wróżka Emma ma tajemniczą maść na powiększanie piersi?

– Serio? – Emma przechyla głowę. – Nikt ci nie wpadł w oko?

– Można się obyć bez miłosnych szaleństw – odpowiadam. – Jestem widowym dowodem, że tak jest. Uchowałam się i jakoś żyję.

Emma robi wielkie oczy.

– Jasne, ale co to za życie?

Nie kłamię. Teraz o nikim nie marzę, ale dawniej miałam swoje ideały. Tamci chłopcy mieszają się w moim umyśle; karuzela znajomych buziaków; ledwie pamiętam imiona. Udaję, że zapomniałam, jak przez nich serce mi kołatało, czerwieniły się policzki, jak widywałam ich w snach, choć żaden nie odwzajemnił moich uczuć. Wolę nie pamiętać o poczuciu odrzucenia; moi idole woleli dziewczęta w szpilkach, z utrefionymi włosami, które na wuefie podczas improwizowanych rozgrywek koszykówki stały z dala od boiska.

Chłopcy mogą poczekać, aż pójdę na studia.

– Nie masz pojęcia, że jesteś szczęściarą, bo znasz tylu chłopców – mówi Emma. – Poznałam Kevina przypadkiem. Zapukał do nas, roznosząc ulotki. Zarabia, kosząc trawniki. To było przeznaczenie.

Wyobraziłam sobie chłopaka dzwoniącego do drzwi Emmy Elizabeth Swanson, która rzuca mu się na szyję i zasypuje pocałunkami, bo spełniły się jej marzenia o facecie.

Emma odcina pasek tkaniny, jeszcze bardziej masakrując biedną krowę. Zawiązuje mi go na udzie.

– Co to ma być? – pytam.

– Seksowny akcencik. Wygląda jak podwiązka – wyjaśnia. – Chłopcy będą się gapili przez całą noc.

– Podwiązka? Co to jest?

Emma wybucha śmiechem. Myśli, że ją wkręcą. Przyklepuję włosy upięte w efektowny wysoki kok.

– Masz cudne ramiona – zachwyca się. – Szczupłe, ładne, klasyczne. Powinnaś zawsze się tak czesać.

Czerwienieją mi policzki. Często zaczesuję włosy do tyłu, niedbale wiążąc je w koński ogon, żeby nie opadały na twarz. Emma wyczarowała z nich istne чудо.

– Powtórzmy scenariusz – mówię.

Emma wskakuje na łóżko, siada po turecku i zamienia się w słuch.

– Jesteś pewna, że Kevin przyjdzie na imprezę?

Emma kiwa głową.

– Zaprosiłam go. Zgodził się. Chodzi do katolickiego liceum, więc sądzę, że chętnie pozna towarzystwo z luzackiej szkoły Lansera. Szczerze mówiąc, ja też.

– Świetnie. – Próbuję chodzić po pokoju, ale potykam się, bo nie przywykłam do wysokich obcasów. Próbuję utrzymać równowagę.

– Dobra, Kevin przychodzi. Ty zaczniesz tańczyć z Wodnikiem. Rozmawiacie, flirtujecie. Cokolwiek, byle się działo. Postaraj się, żeby Kevin na was patrzył. Ja wciągnę go do rozmowy i będę nawijała, że tworzycie uroczą parę. Te klimaty. Wrzucę dyskretnie kilka intrygujących pogłosek, a Kevin dostanie ataku zazdrości i będzie cię błagał o przebaczenie.

– A potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– Jasne. – Chwiejnym krokiem podchodzę do lustra, żeby się przejrzeć. Zawstydzona własnym odbiciem spoglądam na Emmę. Oparta na łokciach macha giczołami ze wzrokiem utkwionym w sufit. Sprawia wrażenie pełnej nadziei, pogrążona w myślach, marzeniach, uczuciach. Mam wrażenie, że się zaprzyjaźnimy.

Taka jestem zdenerwowana, że zaczyna mnie swędzić prawy pośladek.

Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie zawiodę Emmy.



## Rozdział dziewiąty

Piękny dom Lansera podobny do hacjendy otaczają zielone łąki i krzewy wielobarwnych róż. Żwirowa droga prowadzi do małej stajni za willą, gdzie matka Lansera trzyma swój skarb – kłacz imieniem Goldie. Za polami na tle ciemnego nieba widać granatowe sylwetki gór. Widok zapiera dech nawet weteranom turystycznych wycieczek. Chętnie pogapiłabym się dłużej na łąkę posrebrzoną światłem księżyca, ale nogi mi marzną.

– Przeziębnię się w tym przebraniu – mówię do Emmy, gdy wchodzimy po kamiennych schodach. Zza zielonych drzwi dobiega rytmiczna muzyka.

– Przestań marudzić. – Emma raz jeszcze maluje usta i chowa szminkę do czarnej torebeczki. – Dzisiaj bawimy się wewnątrz. Nie mamy w planach chodzenia po domach i straszenia ludzi.

Naciskam klamkę, ale Emma przystaje. Usta mam już sine z zimna, gdy chwyta mnie za ramiona i zmusza, żebym się wyprostowała.

– Najważniejsze jest efektowne wejście – tłumaczy. – Musisz wkroczyć do tego domu tak, jakby do ciebie należał. Nie garb się.

Szczękam zębami.

– Sutki mi sterczą?

– Przestań szukać dziury w całym. Z takim wyglądem wkrótce poderwiesz chłopaka.

Chcę tylko wejść do środka, ogrzać się i pobyć z ferajną. Nie mam dziś ochoty myśleć o przyszłości czy studiach. Nic mnie teraz nie obchodzi uniwersytet. Ignoruję gapiów wybałuszających gały na moje nogi lub cycki.

Wchodzimy do środka. Czuję przemożny odór strawionego piwa i ludzkich ciał. Emma wpycha mnie w tłum. Trudno uwierzyć, że przyszło tylu ludzi. Większość rozpoznaję mimo przebrania: gliniarza

w kącie, taksówkarza sączącego browar, tańczącą wróżkę w rudej peruce. Wróżką jest Katie Morris.

Nikt się ze mną nie wita. Nie zostałam rozpoznana? A może w dawnym liceum byłam nikim?

Emma bierze mnie pod rękę i ciągnie w głąb domu. Toruje sobie drogę wśród rozgrzanych ciał tak pewnie, jakby latami chodziła z tymi ludźmi do szkoły.

– A nie mówiłam? Masz atuty – szepce.

– Co?

– Ludzie się gapią – wyjaśnia.

Podnoszę wzrok. Zostałam przeniesiona do innego świata, w którym nie jestem kumpelą z ferajny. Stałam się dziewczęcą i zmysłową. Dziwne. Gdy idę z Emmą do salonu, ciekawskie spojrzenia błędzą po mojej szyi, omiatają biodra i podwiązkę na udzie, a potem wędrują z powrotem. Strasznie zakłopotana podciągam koszulkę, żeby przysłonić dekolt.

– Wyglądasz świetnie.

Emma lekko szczypie mnie w ramię.

W salonie dudni muzyka, goście tańczą. Słowa Emmy dodają mi otuchy. Stoję z podniesioną głową, czując przyływ pewności siebie. Pośrodku salonu kilka osób gra w ping-ponga puszką po piwie przed kominkiem, gdzie zimą ubiegłego roku opiekałam hot dogi z Wodnikiem, Lanserem i Kowbojem. Wokół stołu zbiera się grupka fanów kibicujących dwu wampirom oraz dwu wilkołakom i robiących zakłady.

Lanser trzyma w ręku kieliszek z brunatnym płynem i gra rolę samozwańczego sędziego. Ma na sobie luźną jasnozieloną kurtkę, czarne spodnie narciarskie i gogle zsunięte na tył głowy. Wolno sączy drinka. Opiera się na gładkiej czarnej desce.

Spogląda w moją stronę, więc macham jak szalona, bo nie widziałam go ponad miesiąc. Odmachuje, uśmiecha się i przepija do mnie. Obejmuje ramieniem wilkołaka i zagaduje żartobliwie. Wilkołak parska śmiechem. Mrużę oczy. Kto to jest? Nie rozpoznaję człowieka. Lanser ma chyba nowego kumpla.

Jak mogliśmy tak długo odwlekać spotkanie? Co mnie ominęło?

Obawiam się, że bez Jezioraka zaczniemy dryfować w różne strony. On nas jednoczył. Jeśli zwątpimy w niego, przestaniemy także wierzyć w ferajnę?

Rozszerza się pustka w moim sercu. Spuszczam wzrok, przez chwilę brak mi tchu.

– Gdzie mój chłoptaş? – pyta wesolutko Emma.

Dzięki Bogu, mam zadanie. Trzeba się tym zająć. Obserwuję ludzi, szukając Wodnika, ale go nie dostrzegam.

– Chodź ze mną – mówię, chwytając dłoń Emmy.

Idziemy korytarzem w głąb domu. Im bardziej oddalamy się od salonu, tym robi się ciszej. Stajemy przed zamkniętymi drzwiami gabinetu.

– Wodnik nie lubi tłoku – mówię. – Pewnie się schował.

Wewnątrz znajdujemy Kowboja rozpartego w wytartym skórzanym fotelu, otoczonego murem z książek. Siedzi wygodnie z podręcznikiem na kolanach. Nie ma na sobie kostiumu, bo od szóstej klasy się nie przebiera. Wtedy robił za kowboja i stąd przezwisko. Dzisiejszy wieczór nie jest wyjątkiem. Kowboj ubrał się w dzinsy i flanelową koszulę. Normalka.

– Cześć, stary. Zostałeś namierzony – mówię z uśmiechem. Podnosi głowę i też szczyrzy zęby.

– Cześć. Za co się przebrałaś?

Obracam się, nadal pewna siebie dzięki pochwałom Emmy.

– Za krowę.

– Atrakcyjna krowka – dodaje Emma.

Kowboj patrzy z uwagą.

– Znamy się?

Walę się w czoło.

– Gdzie moje krowie maniery?

Dokonuję wzajemnej prezentacji. Emma macha na dzień dobry. Kowboj kiwa jej głową i wraca do lektury. Rozpoznaję podręcznik do chemii.

– Kim dzisiaj jesteś? – pyta Emma. Jest przyjazna i wesoła; chciałabym taka być.

– Sobą – odpowiada Kowboj. – To wystarczająco trudne zadanie.



– Mamy tu imprezę, wiesz? Lekcje się skończyły – dowcipkuję.  
– Powinienem się dobrze przygotować do klasówki z chemii w połowie semestru – wyjaśnia Kowboj, podnosząc książkę leżącą na kolanach.

– Nie chowasz się przypadkiem przed rudowłosą wróżką? –  
Siadam na oparciu fotela.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Kowboj zaciska zęby.

Łagodnym ruchem zamykam podręcznik.

– Bo chemię masz w małym palcu.

Nikt nie zakuwa więcej od Kowboja, nawet ja, do tego jest wybitnie zdolny. Wodnik i Lanser zadowalali się przeciętnymi ocenami, natomiast Kowboj i ja mieliśmy większe ambicje. U mnie rozwinęły się dzięki tacie. Kiedy byłam w gimnazjum, za dobrą ocenę dostawałam od niego nalepkę przedstawiającą kanarka z kreskówki. Wklejałam je do albumiku, który trzymałam pod materacem. Fajnie mi się zasypiało, kiedy myślałam, że drobne fanty od tatusia leżą tam, bezpiecznie schowane.

– Sama widziałaś. – Kowboj prostuje się, mocno roztrzęsiony. –  
Wygląda ślicznie.

– Błagam, porozmawiaj z nią – nalegam. – Od razu poczujesz się lepiej.

Kowboj przegarnia włosy dłonią.

– Równie dobrze mogłabyś poprosić, żebym pofrunął. Obie czynności mnie przerastają.

– O kim mówicie? – pyta Emma.

– O Katie Morris – tłumaczę. – Jest naprawdę miła. I piekielnie inteligentna. Nasza klasowa prymuska. – Zakłopotana kręć głową. – Mam na myśli moją dawną klasę. Kowboj jest drugi. Moim zdaniem potajemnie ze sobą rywalizują.

Policzki Kowboja czerwienieją.

– I ani słowa na ten temat, niestety.

– Chodź. – Wstaję i chwytam go za rękę. – Wpadnij na nią przypadkiem.

– Może za godzinę. – Cofa dłoń. – Najpierw skończę rozdział. Czytanie mnie odpręża. – Zapada się w fotel i otwiera podręcznik do

chemii. Najwyraźniej tracę czas.

Wzdycham, odgarniając niesforny kosmyk włosów, i odwracam się do Emmy.

– Poszukajmy twojej pary.

Wracamy do salonu, gdzie wśród głośniejszej muzyki i ciekawskich spojrzeń robi się miło i przewidywalnie. Puls mi przyspiesza. Ciągnę Emmę do kuchni. Wodnik opiera się nonszalancko o framugę drzwi. W rękę trzyma czerwony papierowy kubek i przygląda się mojemu przebraniu.

– Jestem krową! – wołam. – Widzisz? Tu jest dzwonek i cała reszta!

Wodnik milczy. Popija browarek. Spodobałby mu się mój oryginalny kostium. Zawstydzona skubię idiotyczną podwiązkę ściskającą udo. Głupio się czuję w tym stroju. Jak mogłam pozwolić, żeby Emma namówiła mnie na tę przeróbkę?

Emma chrząka.

– Za kogo się przebrałeś? – pyta.

– Za studenta pierwszego roku – odpowiada, wskazując firmową koszulkę stanowego uniwersytetu i znoszone dżinsy.

– Leniuszek! – Emma wybucha śmiechem.

Piwo wylewa się na trampki Wodnika, te same, w których jeździ nad jezioro wypatrywać naszego monstrum. Jestem zdumiona, że mój kumpel nie sięga po papierowy ręcznik. Spił się czy co? Nie, ale wydaje się zmęczony. Chyba zbyt długo pracuje.

– Nie do wiary, prawda? – mówię. – Do czego to doszło? Lanser robi imprezę?

– Wiem, wiem. Nasz koleżka rozkwita – żartuje Wodnik i nieco się ożywia.

– Przeprowadził się do ogromnej willi i od razu zmienił się w rasowego imprezowicza – wtrącam. Do niedawna Lanser mieszkał na Newbury Lane jak reszta ferajny, ale przed rokiem jego rodzice odziedziczyli sporo kasy po tajemniczym kuzynie.

Ktoś podchodzi i obejmuje mnie śliskim pulchnym ramieniem. Odwracam się i widzę Lansera. Błyszczą w uśmiechu drobne proste zęby, oddech cuchnie whisky.

Klepie mnie po plecach i mówi:

– Buła! Dzięki, że przyszedłeś! Kim jest twoja śliczna przyjaciółka? Emma poprawia kocie uszka i przedstawia się, przekrzykując głośną muzykę.

– Robisz za demona nartostrad?

Uśmiechnięty Lanser chwieje się i rękoma ściska brzuch. Powieki ma przymknięte. Przyglądam mu się z uwagą. Pijany Lanser to dla mnie zaskoczenie. Nie znam człowieka.

– Dobrze się czujesz? – wrzeszczę, bo muzyka dudni na potęgę.

– Fantastycznie, jak nigdy! – Śmieje się chrapliwie. Nie wierzę mu. Ten rechot jest sztuczny i wymuszony. Lanser dostaje czkawki i macha tłumowi. – Ludzie byli ciekawi, jak teraz mieszkam. Strasznie chcieli zobaczyć mój nowy dom, więc... proszę bardzo.

– Aha. – Cofam się, bo śmierdzi wódą. – No i pięknie.

– Pamiętasz, jak wypięliśmy się na dyra Rogersa? – Kładzie mi rękę na ramieniu. Podchodzi bliżej i podnosi głos, dźgając mnie paluchem. – Tamten głupi wybryk zrujnował mi życie – nawija. – Starzy myślą, że jestem nieodpowiedzialny. Żegnajcie, marzenia o snowboardzie! Dzięki, Buła!

Kiwa się, kiwa, kiwa. Trudno. Po pijaku człowiek mówi, co naprawdę myśli. Ściska mnie w dołku, serce mi się kraje i nie wiem, co odpowiedzieć. Tamten głupi wybryk też mi wszystko rozwalil. Wodnik patrzy współczująco. Zaczynam podejrzewać, że Lanser nie po raz pierwszy wini mnie za swoje niepowodzenia.

Lanser odchodzi niepewnym krokiem, machając do kogoś w głębi salonu. Przez moment stoję bez ruchu, dręczona poczuciem krzywdy i winy zrazem. Lanser naprawdę mnie unikał. Kłamał, mnożąc wymówki, żeby nie pojechać na obławę. Działał z premedytacją. Do tej pory byłam zbyt rozkojarzona, żeby to zrozumieć.

– Hej! – Wodnik łagodnym ruchem dotyka mojego biodra. – Nie słuchaj go, dobra? Ma problem ze starymi, ale tu nie chodzi o ciebie.

– Nieważne. – Zaciskam zęby i obserwuję Lansera, który rechoce z gromadką wampirów podpierających ścianę w salonie. Serce mi się ściska. – Mam to gdzieś.

– Potrzyмай. – Wodnik podaje mi kubek z plastiku napełniony

piwem i pochyła się, żeby zawiązać sznurowadło.

Spieniony browar chlupie w kubku. Lanser rozmawia teraz z Kowbojem, który wydaje się nerwowy i zde gustowany. Z kryształowej szklanki popija ciecz, która wygląda jak whisky. Lanser wskazuje Katie Morris, która tańczy odwrócona do nich plecami, aż podskakują loki rudej peruki.

Robi mi się gorąco, bebechy mi się wywracają. Mam łzy w oczach. Tyle zmian, a ja nie mam pojęcia, jak je powstrzymać.

Wypijam do dna browar Wodnika i bekam potężnie. Wodnik wstaje i patrzy na mnie z uznaniem.

– Imponujące – mówi.

Ocieram usta ręką i oddaję mu pusty kubek.

Podchodzi bliżej i znów dotyka mego biodra.

– Dobrze się czujesz? – szepce. – Wiadomo, że Lanser wygaduje głupoty...

– Dobra, dobra – przerywam. – Rusz się. Mamy robotę.

Emma pochyła się ku Wodnikowi i znów poprawia przekrzywione kocie uszy.

– Serdeczne dzięki, że zgodziłeś się pomóc, Mike. Nie wiem, ile Toni powiedziała ci o tej sprawie, ale dla mnie to bardzo ważne.

Wodnik patrzy tak, jakby chciał ze mną poważnie porozmawiać, lecz po chwili pyta:

– Gdzie jest twój chłopak?

Emma rozgląda się wokół. Zaciska uszminkowane usteczka.

– Jesteś pewna, że przyjdzie? – wypytuję. Piwo chlupie mi w brzuchu. Nie należy pić na pusty żołądek.

– Kevin chętnie udaje, że ma ważniejsze rzeczy na głowie niż punktualność – tłumaczy Emma. – Teraz pewnie siedzi w domu, gapi się na zegar i po raz tysięczny poprawia fryzurę. Boże, on mieszka pięć minut stąd. – Maluje usta błyszczkiem. – Spoko. Za nic w świecie nie odpuściłby sobie imprezy u ludzi z prywatnej szkoły. Trzeba poczekać. Wkrótce tu będzie.

Emma przeczesuje wzrokiem tłum potworów, wrózek, wampirów, szukając ukochanego. Wodnik znów szepce mi do ucha:

– Nie muszę jej całować, prawda? Ślady szminki nie pasowałyby

do mojego przebrania.

Kręcę głową.

– Żadnych buziaków.

– To prośba czy rozkaz? – Wodnik unosi brwi.

Chcę odpowiedzieć, ale mam pustkę w głowie. Unikam jego spojrzenia. Nie mogę się przyznać, że mdli mnie na myśl, że miałyby całować się z Emmą. Gdybym o tym wspomniała, przeinterpretowałby odpowiedź. Wodnik jest moim kumplem, ale czuję, że zbliża się jakiś przełom. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale na samą myśl o pocałunku Wodnika i Emmy dostaję mdłości. Żołądek mam wrażliwy, dlatego rzadko piję.

Emma wbija mi paznokcie w ramię.

– Przyszedł – mówi. – Jest tutaj. O Boże. Ślicznie wygląda. Po prostu cudnie.

Skup się, Toni. Próbuję zgadnąć, który z chłopaków to Kevin. Szkielet przy baryłce z piwem? Robot drepcący sztywno przy stole do ping-ponga? Drzewiec żłowiący piwo?

Emma znika mi z oczu. Wodnik chrząka i odsuwa się. Skryła się za jego plecami.

– Pięknie wygląda, po prostu ślicznie – powtarza, dygocąc. – Nie wiem, czy zdołam nad sobą zapanować. Najchętniej rzuciłabym mu się na szyję.

Wodnik pociera nos, żeby skryć uśmiech.

– Który to? – Dotykam łokcia Emmy. Dam radę. Potrafię być lojalna wobec przyjaciółki. Na pewno postępuję właściwie.

– Tarzan – mówi Emma. – Na szóstej.

Nie rozumiem, o co chodzi z tą szóstą, ale widzę faceta w kostiumie Tarzana. Pompuje z baryłki w kącie spieniony browar, który leje się na przepaskę biodrową w lamparce cętki i plami dywan. Tarzan, czyli Kevin, wzrusza ramionami i odchodzi, nie racząc spojrzeć na piwną kałużę. Cały jest pomarańczowy. Pewnie wypacykował się tanim samoopalaczem. Zmierzwił włosy ociekającą brylantyną.

Trochę zbyt długo obserwuję Tarzana, którego zdobi jedynie przepaska biodrowa, ale trudno mi sobie wyobrazić Emmę Elizabeth Swanson z tym facetem. Pasuje mi do niej James Bond albo inny tego

rodzaju osobnik: uprzejmy, opanowany i te pe. Z drugiej strony każdy ma swoje powody sprawiające, że zakochuje się w konkretnej osobie.

Klaszczę w ręce, ogarniam się i wołam:

– Dobra! Zaczynamy przedstawienie.



Kilka minut później Tarzan, czyli Kevin, cuchnący piwskim i korzennym balsamem do ciała, gapi się na mój dekolt, co oznacza, że nie obserwuje Emmy i Wodnika. Znów podciągam koszulkę, ale to go nie zniechęca. Sączę kolejny browarek, czując, że zaraz kichnę.

– Co myślisz o potworach z jezior? – pytam.

– Co? – wrzeszczy, przekrzykując głośną muzykę, nadal wpatrzony w mój biust.

– Jest tu chłopak, który ma bzika na ich punkcie – odpowiadam podniesionym głosem. – Ten przebrany za studenta pierwszego roku, tańczy z kotką. Widzisz go? Piękna para, co?

Ogarnia mnie zazdrość. Rzeczywiście wyglądają, jakby byli dla siebie stworzeni. Mam bardzo złe przeczucia. Szkoda, że nie namówiłam Lansera albo Kowboja na tę fałszywą randkę.

Kevin dopija browar i ponownie napełnia kubek. Odkąd przyszedł, tkwi przy baryłce jak przyklejony. Nie wiem, jak długo jeszcze potrafię znosić jego towarzystwo. Mam wrażenie, jakbym gadała do ściany.

Co ta Emma w nim widzi? Powinnam jej chyba powiedzieć, że nie odrywał wzroku od mojego biustu. Wtedy dziewczyna przejrzy na oczy. Albo znienawidzi mnie za te słowa.

Sączę browar, a Emma robi piruecik i uśmiecha się do Wodnika. Muzyka dudni. Emma kręci biodrami, odgarnia włosy i fantastycznie udaje, że nie czuje się obserwowana. Wodnik tańczy obok niej. Bez przekonania wyciąga ręce ku współniczce i cofa je, jakby nie był pewny, czy może jej dotknąć.

Kevin spogląda w stronę parkietu i nareszcie dostrzega Emmę.

– Znam tę kotkę – mówi głosem, który nie zdradza żadnych uczuć.

– Naprawdę? – wołam z udawanym zdziwieniem. – Mam nadzieję, że tylko się kumplujecie, bo studencik naprawdę idealnie do niej pasuje.

Kiedy to mówię, Wodnik obejmuje Emmę ramieniem, przyciąga

do siebie i szepce do ucha. Jego niepewność znika. Robi mi się zimno.

Jego usta niemal muskają policzek Emmy. Palce wplata w jej włosy. Patrzą sobie w oczy. Drobna dziewczyna pasuje do niego jak brakujący element układanki.

– Znasz tamtego gościa? – pyta Kevin, drapiąc się po przepasce.

– Chyba tak. – Muzyka gra zbyt głośno. To męczące. Boli mnie głowa.

– Chodziłem z tą laską – wyznaje Kevin. – Powiem krótko.

Straszna przylepa. Warto ostrzec faceta. – Kevin dopija browar i rzuca pusty kubek na podłogę. – Muszę wyjść na świeże powietrze. Idziesz ze mną?

Odwracam się twarzą do ściany. Nie mogę na to patrzeć. Trudno wyczuć, o co mi chodzi, skoro oni tylko udają. Na dodatek razem to zaplanowaliśmy. Sama wymyśliłam tę akcję. Nawet gdyby rzeczywiście mieli się ku sobie, nie warto tak panikować. Wodnik nie jest moim chłopakiem. To kumpel. Wodnik z ferajny.

Mimo wszystko nie chcę, żeby udawali tak przekonująco.

Adrenalina (albo alkohol) buzuje w mojej głowie. Muszę coś zrobić. Za wszelką cenę należy rozdzielić tę parę. Muszę działać! Wskakuję na puste krzesło, które chwieje się pod moim ciężarem. Wysokie obcasy utrudniają zachowanie równowagi. Trzeba się pospieszyć. Zaledwie kilka osób patrzy w moją stronę, ale każdy słyszy, gdy wrzeszczę, unosząc papierowy kubek:

– Wszyscy piją! MOOOO!

O dziwo, w całym domu ludzie zaczynają muczeć. Jedni cicho. Inni głośno. Niektórzy pijacko. Ludzie pokrzykują radośnie. Moja akcja robi wrażenie. Muzyka grzmi.

W tłumie dostrzegam Lansera. Opiera się o ścianę, oczy ma przymknięte, jakby zasypiał. Dlaczego chce jechać na obóz dla snowboardzistów? Czemu postanowił nas opuścić podczas ostatnich wakacji przed studiami majaczącymi na horyzoncie? Nieważne. Jest zdołowany. Trzeba go wesprzeć i wyciągnąć z tego doła. Unoszę kubek w jego stronę. Przeze mnie starzy na niego naskoczyli. Muszę pomóc biedakowi. Coś wymyślę.

W kącie widzę Kowboja i Katie, która nawija, uśmiecha się, zadaje

pytania. Kowboj kiwa głową, wzrusza ramionami, znów kiwa głową, wzrusza ramionami. Twarz ma czerwoną jak burak. Katie jest znudzona. Macha na pożegnanie i rusza w głąb salonu, poszukując rozmówcy, który raczy się do niej odezwać. Przepijam do Kowboja i też przyrzekam go wesprzeć. Nie wiem, jak to zrobić i czy to w ogóle możliwe, ale spróbuję.

Może w tym roku Jeziorak nie będzie najważniejszy. Co w zamian? Na przykład wzajemna pomoc. Wspólne dorastanie. Mniejsza o konkrety, bylebyśmy trzymali się razem. Nie chcę stracić chłopaków z ferajny.

Dopijam browar, a potem czuję, jak spadam, spadam, spadam. Krzesło usuwa mi się spod nóg obutych w kozaki na wysokich obcasach.

Obracam się w locie, aż łagodne dłonie z wyczuciem obejmują mnie w talii i stawiają na nogi. Pachną wanilią.

Przytulam policzek do szerokiej piersi. Widzę tylko napis na koszulce. Opuszkami palców muskam pokryty zarostem policzek i blade piegi na lewym uchu.

– Kurde, Toni, już się spiłaś? – Wodnik obejmuje mnie silnym ramieniem.

– Zobaczył nas? Zobaczył? – wypytuje Emma. Kocie uszka znów się przekrzywiają, gdy w tłumie imprezowiczów szuka wzrokiem Kevina.

– Wszystko widział – zapewniam, obejmując Wodnika w pasie. – Powiedział, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Wiesz, w czym rzecz...

– To działa! – Emma podskakuje, kocie uszka spadają. – Chce do mnie wrócić. Było mu przykro!

– Zapewne chciał się przewietrzyć – wtrąca rzeczowo Wodnik. – Trochę tu śmierdzi.

Emma cmoka mnie w policzek, chwyta za rękę, wrywa z bezpiecznych objęć Wodnika. Nie chcę odchodzić. Jeszcze nie teraz.

– Muszę zobaczyć jego minę. Taką ma cudną buźkę.

Niechętnie idę za nią przez tłum. Włosy mi śmierdzą petami. Ohyda. Na zewnątrz chłodne powiewy raz po raz nadchodzą z nadwórnia. Zgraja wampirów zebrała się na trawniku przed domem; palą i rechocą.



Pijana elfka w zieleni udaje, że frunie nad łąką. Zirytowana marchewka obserwuje ją z daleka, spoglądając na zegarek.

– Nie widzę go – rozpacza Emma.

Pojawia się Wodnik. Uwielbiam jego powściągliwość. Wręcza mi butelkę wody.

– Pij – mówi. – Wyglądasz na spragnioną.

Przytulam głowę do jego ramienia i się nawadniam. Czemu jestem taka zmęczona? Wodnik znów obejmuje mnie ramieniem. Zamykam oczy i odpływam. Jakiś dźwięk sprawia, że wracam do rzeczywistości. Po mojej prawej ktoś rzyga na dorodny krzak białej róży. Gdy winowajca pokazuje się wreszcie w całej krasie oraz przepasce biodrowej, z lśniących ustek Emmy wrywa się westchnienie.

– Emma – bełkoce Kevin. – Heja...

Akcja nagle przyspiesza. Emma chwyta Wodnika za twarz i przyciska usta do jego warg. Podświadomie oczekuję, że mój kumpel się cofnie, tłumacząc, że ją lubi, ale nie do tego stopnia. Kevin wrzeszczy. W tle słyhać śmiech. Słyszę ogłuszający szum, gdy pochylam się, a żołądek podchodzi mi do gardła.

Rzygam. Moja kolej.



## Rozdział dziesiąty

N azajutrz wracam do codziennego wizerunku: kucyk nisko nad karkiem, twarz wymyta do czysta, zero tapety, jeśli nie liczyć ochronnej pomadki do ust. Zachowałam jeden element spektakularnej metamorfozy dokonanej przez Emmę. Używam lakieru do włosów, który mi podarowała... tylko dlatego, że podoba mi się cytrusowy zapach. Moja twarz pozostaje strefą wolną od szminki. Wczoraj wieczorem udawałam kogoś innego; dziś w moim żeńskim liceum wszystko wraca do normy. Tak mi się przynajmniej wydaje.

W poniedziałek wysiadam z samochodu, podciągając piłkarskie spodenki. Natychmiast podchodzi do mnie Lemon i mówi:

– Żądam lipnej randki z Mike'em!

Zaskoczona wpadam na drzwiczki auta.

– Co? – Szkolna terapia grupowa nie usprawniła moich zdolności komunikacyjnych.

Z rozwianym włosiem podbiega do mnie Emma otulona śnieżnobiałym płaszczem. Dzień jest zimny i wietrzny.

– Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła – mówi. –

Opowiedziałam Lemon, jak mi pomogłaś w sobotę. Po imprezie Kevin wykonał dwanaście telefonów. Cały tuzin.

Lemon bierze się pod boki.

– Chcę Mike'a. I to już.

– Proszę, proszę. – Naciągam rękawy kurtki na dłonie. – Nie zamierzam kupczyć przyjaciółmi. Mike wyświadczył mi przysługę i tyle. Nie wynajmuję go na godziny.

Lemon robi kwaśną minę, jakby wypić szklanekę soku z cytryny.

– Ohyda. Mnie chłopak jest potrzebny w charakterze zasłony dymnej. Nie interesuje mnie jako superciacho.

Spoglądam na Emmę.

– Rodzice Lemon nie akceptują jej orientacji seksualnej.  
– Starzy są koszmarni – dodaje Lemon. – Zapowiedzieli, że nie mogę spotykać się z moją dziewczyną. Dali mi szlaban, ale gdybym miała chłopaka i umawiała się z nim na randki, pewnie by odpuścili. Byliby przeschczęśliwi. Myśleliby, że jestem z chłopakiem, więc mogłabym wychodzić na całą noc.

Idziemy w stronę gmachu szkoły. Wysokie obcasy Lemon stukają o chodnik. W głowie się nie mieści, że kolejna uczennica renomowanego liceum raczyła się do mnie odezwać. Przerzucam ciężki plecak wypełniony podręcznikami na drugie ramię.

– Sprawdzę, czy mój kumpel jest wolny.

– Gotowa jestem zapłacić górę kasy – zapewnia Lemon.

Górę kasy? A konkretnie? Nie pytam. To jest totalny odlot. Nie przehandluję Wodnika za mamonę. Nie wiem nawet, czy wczorajsza akcja zakończyła się sukcesem. Narobiliśmy tylko bałaganu.

W dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Dobrze wiedzieć – mówię, kiwając głową.

Ciemne włosy ostrzyżone na pazia falują i lśnią, gdy Lemon podchodzi do mnie, chwyta za rękę i wbija w skórę różowe pazury.

– Błagam. Nie masz pojęcia, jak bardzo potrzebuję pomocy. Muszę pokazać jakiegoś chłopaka. Emma twierdzi, że znasz mnóstwo facetów, a twoi znajomi nie są typowymi dupkami. Potrzebuję pomocy. Byłaś kiedykolwiek zakochana?

Zbita z tropu jej pytaniem czuję się, jakbym stała pod tablicą, wyrwana do odpowiedzi, a nie uważałam, więc nie wiem, o co chodzi.

– Proszę? – odpowiadam niebyt rezolutnie. Normalka.

– Byłaś zakochana? – powtarza Lemon.

– Co to ma do rzeczy? – Miłość. Na samą myśl o niej czuję się zakłopotana. Wszyscy są teraz nazbyt zapracowani i zestresowani, żeby się zakochiwać, prawda?

Emma i Lemon wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Nigdy nikogo nie kochała – odpowiada za mnie Emma.

Wchodzimy do szkolnego korytarza i torujemy sobie drogę w tłumie uczennic. Mój plecak obija się o cudze ramiona, więc przepraszam raz po raz, mocno zirytowana. Jasne, że nie byłam dotąd

zakochana. Kto ma na to czas? Obawiam się, że wpadnę do klasy spóźniona, więc przyspieszam kroku, choć nie wykluczam, że chcę tylko przerwać tę rozmowę.

– Do rzeczy. Kasa – ciągnie Lemon. – Nie każdy wie, czym jest miłość, ale wszyscy potrzebują pieniędzy. Wyznacz cenę, Toniu.

– Mam na imię Toni – poprawiam.

Emma zostaje w tyle. Nagle stała się bardzo dyskretna; zdumiewające.

– Potrzebuję chłopaka w piątek wieczorem – tłumaczy Lemon. – Osobnik ma być na tyle dojrzały, żeby szanował moje uczucia, co oznacza, że wykluczam całusy oraz inne głupoty. Aha, powinien dysponować autem, wypowiadać się pełnymi zdaniami i mieć dobre maniery, bo muszę go przedstawić rodzicom.

Gdy otwieram szafkę i rzucam plecak na podłogę, Lemon wsuwa coś w moją dłoń. Gruby plik banknotów. Szczeka mi opada. Przyglądam się namolnej czarnulce. Ma rozpacz w oczach i to mnie zbija z tropu.

– Nic się nie da zrobić. – Chcę jej oddać kasę, ale chowa ręce za plecami i kręci głową. W głębi korytarza pojawia się Shauna Hamilton, która patrzy na mnie spode łba, jakby wietrzyła podstęp. Chowam się za drzwiami szafki. Mam nadzieję, że nikt nie widział pliku banknotów. Tego by tylko brakowało, żeby mi przypięto łatkę dilerki narkotyków. Albo stręczycielki.

– Teraz musisz znaleźć mi przyzwoitego chłopaka na piątek – mówi Lemon. Otwieram usta, by zaprotestować, ale przerywa drżącym głosem, który sprawia, że tracę rezon. – Błagam, Toni.

Tulę do piersi podręcznik ekonomii. Rozważam sprawę, ale nie wiem, czy będę w stanie ją załatwić. Wodnik zapewne pracuje w piątkowy wieczór. Może Lanser lub Kowboj... chyba mają wolne. Wolałabym nie uświadamiać Lemon oraz innym dziewczynom, że coraz mniej rozumiem chłopaków. Podejrzewam, że odstrasza ich teraz moja kraciasta spódnica.

Zamiast się tłumaczyć, obiecuję, że spróbuję pomóc. To jej wystarczy. Ściska mnie i biegnie korytarzem, śpiewając piosenkę o miłości, której nie znam. Ciemna czuprynka znika mi z oczu w rzednącym tłumie.

Znów poprawiam spodenki. W co ja się wpackowałam?

Emma próbuje przemknąć obok niepostrzeżenie, ale chwytam ją za pasek plecaka, zmuszając, żeby się zatrzymała.

– Momencik – zagaduję. – Nie wiedziałam, że świadczę tu jakieś usługi.

– W tej szkole nie mnie jednej przydałby się jako słup wiarygodny osobnik płci przeciwnej – mówi Emma, zbierając włosy w koński ogon.

– Dla wielu z nas niezobowiązująca relacja z godnym zaufania chłopakiem byłaby naprawdę użyteczna. Co byłaby ze mnie za koleżanka, gdybym zataiła przed Lemon, jak mi pomogłaś.

Puszczam Emmę, zamykam szafkę, opieram się plecami o chłodny metal i wzdycham.

– Miło, że odzyskałaś Kevina. Wyglądasz na szczęśliwą. – Emma naprawdę promienieje. Blask sączy się obficie porami starannie oczyszczanej skóry.

– Nie wróciłam do Kevina. – Przygląda związane włosy.

– Wkręcasz mnie. – Krzywię twarz. – W takim razie jak ci pomogłam?

– Dzięki tobie zrozumiał, że popełnił błąd – tłumaczy Emma, oglądając paznokcie. – Zamierzam go potrzymać w niepewności. Taka prawda. Niech trochę pocierpi.

Koński ogon chwieje się i podskakuje w rytm kroków, nim Emma znika za rogiem. Patrzę na banknoty w swojej dłoni. Nadal nie wiem, co robić. Po kilku sekundach dzwonek zaczyna jazgotać. Wsuwam kasę między kartki podręcznika i pędzę do klasy.



Po obiedzie zamykam się w kiblu. Czuję w dłoni ciężar pliku banknotów. Liczę je. Dwukrotnie. Lemon odżałowała dwieście dolców, żeby wynająć w piątkowy wieczór mego najlepszego kumpla. Ma po nią przyjechać, pogadać ze starymi, poczekać kilka godzin i odwieźć ją potem do domu. Prosta piłka. Gość robiłby po prostu za szofera.

Dwieście dolców.

Dźwięczą mi w uszach słowa Emmy. W tej szkole wielu dziewczynom przydałaby się taka pomoc. Ile panien z żeńskiego liceum

potrzebuje rzekomego dobiegacza? Ile gotowe są zapłacić za dostarczenie wiarygodnego osobnika płci przeciwnej?

W szkole jest trzysta czterdzieści pięć uczennic. Podczas roku szkolnego mamy około trzydziestu piątkowych wieczorów, co oznacza roczny dochód wynoszący dziesięć tysięcy trzysta czterdzieści pięć dolarów. Jeśli dysponuję dwoma albo trzema chłopakami, zysk się podwaja i potraja. Jakaś młoda dama może potrzebować miłego chłopczyzny, który da jej alibi na przykład we wtorek pod pretekstem wspólnej nauki lub innych neutralnych zajęć.

Bum! Znów wpadają dwie stówki.

Semestr nauki na uniwersytecie stanowym kosztuje około dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów, wliczając akademik i pełne wyżywienie. Sprawdziłam, gdy Wodnik powiedział mi o swojej sytuacji. Mógłby przyoszczędzić, mieszkając z rodzicami przez cały rok, ale wolałby jednak przenieść się na kampus. Ja to wiem. Gdyby tak podnieść stawkę... Jeśli popyt wzrasta, a podaż usług pozostaje na dotychczasowym poziomie, ceny rosną.

Popyt jest.

Mam też gotowy produkt, który go zaspokoi.

Znam trzech godnych zaufania dżentelmenów zdatnych do tej roboty. Przyznaję, mają pewne braki, ale zdołam ich podszkolić, żeby stali się młodzieńcami spełniającymi różnorodne oczekiwania klienteli.

Bzykanie wykluczone. Muszę postawić sprawę jasno. Przyjacielska przysługa za pieniądze. Komu to szkodzi?

Wyglądam banknoty, zwijam je i chowam do portfela.

Uśmiecham się, wyciągam telefon i wysyłam chłopakom SMS-y. Jeśli kasa nas nie zjednoczy, porzucę wszelką nadzieję.



## Rozdział jedenasty

Tydzień później spotykam się z chłopakami. Nareszcie! Ferajna w komplecie! Jest poniedziałkowy wieczór, oglądamy transmisję meczu w piwnicy Garrych. Proponowałam obławę, ale Lanser i Kowboj woleli obejrzeć mecz. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Patrioci z Nowej Anglii (Patałachy! Patałachy!) grają dziś przeciwko Koltom z Indianapolis (Brawo! Brawo! Tak, tak, tak!). Samotnie kibicuję Koltom. Tata był ich wielkim fanem. W dzieciństwie długo mieszkał w Indianapolis. Wiele moich najdawniejszych wspomnień dotyczących taty łączy się z futbolem oraz michami nachosów. Półkę nad kominkiem w salonie zdobi fotka przedstawiająca mnie siedzącą na ramionach taty z rękoma w górze; oboje nosimy koszulki i akcesoria Koltów. Ramkę pokrywa warstwa kurzu, bo podczas sprzątania mama omija to miejsce. Moim zdaniem boi się, że gdyby uważniej spojrzała na tamto zdjęcie, wróciłaby do przeszłości i zapomniałaby o nowym życiu z Brianem.

Po pierwszej połowie meczu decyduję się przedstawić chłopakom mój biznesplan. Kolci zwyciężają, co rozumie się samo przez się, więc kibice drużyny przeciwnej są markotni, lecz mam nadzieję, że wkrótce humor im się poprawi.

– Panowie, ściągnęłam was tu dzisiaj z ważnego powodu – zagajam, stojąc na odwróconym wiaderku. W piwnicy słychać przyciszone głosy i sporadyczne bekanie.

Wodnik wierci się na kanapie zasypanej okruchami.

– Nareszcie! – woła. – Mów o pieniądzach, tak jak obiecałaś. Nie zmuszaj mnie do obejrzenia drugiej połowy meczu.

Zgarbiony Kowboj siedzi w brązowym fotelu przysuniętym do ściany i radośnie kartkuje podręcznik do historii w oczekiwaniu na koniec przerwy. Lanser rozparł się na kanapie obok Wodnika i sący

colę. Patrzy w telewizor, a napój spływa mu po brodzie. Nie patrzy na mnie i co kilka minut zerka na zegarek. Rozumiem, o co mu chodzi. Wciąż jest na mnie zły. Mój pomysł wszystko naprawi. Znow będzie dobrze.

Potrzebuję wszystkich chłopaków, nie tylko Wodnika. Jeśli zachęcę trzech, zarobimy więcej pieniędzy. Poza tym będziemy działać razem. Ferajna w komplecie jak za dawnych dobrych czasów. Przerzucimy most nad otchłanią.

– W sprawę zaangażowane są też młode damy – dodają. Wszystkie oczy kierują się na mnie. Uśmiecham się, próbując zachować równowagę na chybotliwym wiaderku, które ugina się pod moim ciężarem. – Panowie, jesteście mi niezbędni. Potrzebują was dziewczęta z prywatnego liceum.

– Znowu? Wspomniałaś przecież o pieniądzach – niecierpliwi się Wodnik.

– Emma nie jest jedyną koleżanką z mojej szkoły zainteresowaną pseudorandką – opowiadam. – Szkoła jest żeńska, więc panny niewiele mają męskich znajomych. Podrywają chłopaków, ale są dość nieufne, bo ich zdaniem wielu ma złe zamiary. Moim koleżankom nie było dane doświadczyć zwykłego koleżeństwa z osobnikami płci odmiernej ani pożytków wynikających z takich znajomości.

Lanser podnosi rękę.

– Mam kosmate myśli. Na maksa.

Celuję w niego palcem i odpowiadam:

– Szukasz miłości, Lanser. Dowodzi tego stos filmowych komedii romantycznych pod twoim wyrem.

– Jakie są te panny z twojego liceum? – pyta Kowboj.

– Spisałeś na straty Katie Morris? – Lanser sięga po torbę z chipsami i zanurza w niej twarz.

Kowboj czerwienieje. Normalka.

– Znudziłem ją na twojej imprezie, człowieku. Odetchnęła z ulgą, gdy pomachała mi na pożegnanie.

– Można to naprawić – pocieszam. – Znow się tobą zainteresuje.

Kowboj wzrusza ramionami i wbija wzrok w podręcznik leżący na kolanach. Biedaczek. Jest zbyt nieśmiały. Gdyby się otworzył, Katie



dałaby mu szansę. Wiele ich łączy. Muszę znaleźć sposób, żeby nabrał pewności siebie.

– Moje koleżanki są wyjątkowo bystre – mówię. – I ambitne. – Na domiar złego onieśmielające, straszne, przerażające. – Potrzebują facetów – ciągnę, zachowując powyższe epitety dla siebie. – Chcą ich platonicznie wykorzystać do swoich celów.

– Wykorzystać? – pyta Wodnik. – Ciekawe jak?

– Żeby wzbudzić zazdrość u swoich chłopaków, ugłaskać rodziców i te pe. Dostarczycie dziewczynom alibi – tłumaczę. – Rozsnujecie zasłonę dymną. Zaoferuję im trzech młodzieńców godnych zaufania. Honorariumi za randki będziemy się dzielić po połowie, więc dostaniecie zapłatę za poświęcony czas.

Wodnik marszczy brwi i pociera zarost.

– To mi zalatuje agencją towarzyską.

– Nic z tych rzeczy – zapewniam, splatając ręce. – Żadne czułości nie wchodzi w grę. Usługa jest czysto platoniczna i nie stwarza zagrożenia dla zdrowia. Porównam ją do wypożyczenia auta lub smokingu.

Wodnik podnosi rękę.

– Bzykałem się raz w samochodzie. Miałem na sobie smoking.

– Musisz nam codziennie o tym przypominać? – jęczy Kowboj.

– Jestem niemal pewny, że wspominam o tym po raz pierwszy. –

Wodnik wzrusza ramionami.

Ledwie przypomnieliśmy sobie, że Wodnik jako jedyny z ferajny stracił cnotę, wiadro się przewraca i padam na pysk. Z wielkim hałasem zaliczam głębę, lądując na łokciach.

– Cholera – mamrocę, a Lanser wybucha śmiechem. Wstaje, bijąc brawo.

– Bosko! Co za wdzięk!

Dupek. Ktoś dotyka moich pleców. Wodnik pomaga mi wstać i sprawdza, czy nie otarłam sobie łokci o szorstki dywan. Mam wrażenie, że chce mnie o coś zapytać, ale słyszę tylko denerwujący chichot Lansera. Wymierzam kopniaka kubłowi na śmieci, który z łoskotem uderza o ścianę. Lanser przestaje się śmiać.

– To wcale nie jest zabawne! – Palą mnie policzki. – Nie przyszło

ci do głowy, że mogłam sobie coś złamać?

Lanser odcina się podniesionym głosem, przekrzykując włączony telewizor.

– A pomyślałaś choć raz, że przez ciebie nie pojechałem na obóz snowboardowy do Kolorado?

W piwnicy zapada milczenie. Martwa cisza. Oddycham z trudem i cała się trzęsę. Nie dostałam przebaczenia. To oczywiste. Mówię powoli i dobitnie:

– Bardzo mi przykro, Lanser, że musisz sam zapłacić za swój obóz. Paskudna sytuacja. Nasz wybryk okazał się idiotyczny, ale wątpię, żeby to był jedyny powód twoich kłopotów ze starymi.

– Buła chce nam pomóc. Dzięki niej możemy zarobić trochę kasy – mówi Wodnik, kładąc mu rękę na ramieniu. Lanser cofa się i przygląda mi się wrogo. – Potrzebujesz pieniędzy, żeby pojechać na obóz. Czy ty jej w ogóle słuchałeś, kiedy opowiadała o swoim pomysłe?

– A ty? Z góry wiadomo, że to się źle skończy – marudzi Lanser. – Jak zwykle jej bronisz.

Wodnik zaciska zęby. Lanser odwraca wzrok, sączy napój, pochmurnieje. Problem musi być poważniejszy niż rozczarowanie z powodu utraconej szansy wyjazdu na obóz dla snowboardzistów. Coś mi umyka? Dlaczego Lanser jest taki rozżalony, że utknął w domu na całe lato? Ferajna również tutaj będzie. To się liczy.

– Zaczyna się druga połowa – oznajmia Kowboj. Siedzi skulony i lekko zakłopotany.

– Idę do domu – mówi Lanser, dotykając ucha. – Przypomniałem sobie, że muszę pomóc Jasonowi.

Zrywa się z kanapy, ale zastępuję mu drogę i prostuję się, żeby wyglądać na wyższą albo bardziej zołzowatą, albo mniej irytującą dla tego głupka. Zachowuje się tak, jakbyśmy mu zawadzali; jakbyśmy się nie liczyli. To zaczyna mnie wkurzać. Dźgam go palcem w brzuch.

– Uznaj ten mój plan za wyzwanie.

– Jesteś beznadziejna – drwi Lanser, machając mi ręką przed oczyma. – Zatrzymałaś się na poziomie ostatniej klasy podstawówki. – Mija mnie i rusza ku schodom.

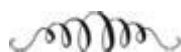
– Cykor – rzucam teatralnym szeptem.

Lanser patrzy na mnie spode łba, nozdrza mu drgają. Trafiony, zatopiony! Marzy mu się wielka zmiana, dorosłość, kretyński obóz sportowy na jakimś zadupiu, ale pod jednym względem nic się nie zmieniło: wyzwanie zawsze działa. Lanser musi je podjąć. Od szóstej klasy ten typ tak ma.

– Wyluzujcie, dobra? – mówi Kowboj, stając między Lanserem i mną.

– Możemy wrócić do rozmowy o interesach? Kasa...

– Dobra – przerywa Lanser, patrząc mi prosto w oczy. – Buła, przyjmuję wyzwanie.



Kilka minut później mecz piłkarski idzie w odstawkę. Ferajna przeniosła się na podjazd domu Wodnika. Robię uniki, kozłując piłkę wokół siebie. Przenika mnie radość i lęk. Wieczorny chłód szczypie gołe kolana. Wodnik i Kowboj oparci o drzwi garażu patrzą z jawną zgrozą.

Wygrałam rzut monetą.

Moja piłka.

Lanser stoi pod koszem, z wymuszonym ziewaniem patrząc, jak kozłuję i rzucam.

Pudło. Trafiam w obręcz.

Lanser znów ziewa, piłka odbija się od chodnika, a ja pochylam się, gotowa zablokować jego atak.

– Nie wygrasz ze mną – mówi. – Wolałbym nie dołować dziewczyny.

– Jaka tam ze mnie dziewczyna! – Idiotyczna odzywka. Nie powinnam gadać takich bzdur.

Lanser rzuca i trafia. Punkt dla niego, tryumfuje. Mam ochotę obić mu pysk. Przypominam sobie, jak przed tygodniem szorował brzuchem po szybie kawiarni i żartował, udając, że jesteśmy kumplami. Teraz mnie zbywa.

Nieważne.

Muszę go pokonać.

Rzucam jedną ręką, ale Lanser skacze wysoko i odbija piłkę. Z paszczy zalatuje mu chipsami; ser i cebulka. Rzucam się do piłki.

Kozłując, odbiegam od kosza.

– Nie trafisz, Buła – szydzi Lanser. – Celny rzut to nie twoja specjalność.

Staję pewnie, wrzeszczę i rzucam z daleka. Piłka leci do celu i uderza w tablicę. Przetacza się po obręczy, ale z niej spada.

– A nie mówiłem? – cieszy się Lanser.

Roześmiany kozłuje piłkę. Ogarnia mnie wściekłość. Znow jestem do niczego, tak?

Pochylona rzucam się na Lansera, oboje tracimy równowagę i padamy na podjazd. Szoruję brodą po betonie, ale mam to gdzieś, choć czuję smak krwi. Zapomniana piłka toczy się po trawie. Lanser podnosi się niezdarnie.

– Kretynka! – wrzeszczy. – Tonia, kiedy ty wreszcie dorośniesz?

Jaka Tonia? Kurde! Nawet mama w złości tak mnie nie nazywa. Zdyszany Lanser ogląda otarcia na dłoni. Dotykam brody, ręce mi się trzęsą. Najchętniej przywalilibym komuś z piąchy. Wodnik i Kowboj gapią się z niedowierzaniem, ale wszystko mi jedno, co sobie myślą. Kopniakiem posyłam piłkę do koszykówki na drugi koniec podwórka i biegnę przez trawnik do swojego domu, gdzie mogę doświadczać samotności bez wrednych niespodzianek.



Późnym wieczorem siedzę na podjeździe z pudłem kolorowej kredy pod ręką. Cała się trzęsę. Z głową okrytą kapturem rysuję na betonie monstrum z Jeziora. Długa szyja, mała głowa, obły korpus, czarny ogon na tle błękitu wody. Gapię się uporczywie na ten ogon, aż wygląda jak tunel wydrążony w mroku.

Zapach kredy przypomina mi o tacie. Powinien siedzieć tutaj ze mną po drugiej stronie pojazdu i uzupełniać malowidło, czyniąc je piękniejszym i oryginalniejszym. Był prawdziwym artystą. Nieruchomieję, wstrzymując oddech, i na chwilę zaciskam powieki.

Otwieram oczy i widzę niebieską torebkę z kostkami lodu. Wodnik siada obok mnie, potrząsając nią jak przynętą. Sięgam po lód i przykładam do piekącej brody. Dorysowuję deszczowe chmury wiszące nad monstrum z jeziora.

– Wchodzimy w to – mówi. – Wszyscy trzej.

– No? – mamrocę. Gdybym się tak odezwała w nowym liceum, wyszłabym na totalną debilkę, ale Wodnikowi nie przeszkadza, że jestem mało wymowna.

– Chodzi o twój biznesplan – dodaje, podciągając rękawy bluzy. – Ludzie wciąż nawzajem się wykorzystują. Skoro możemy na tym zarobić, na przykład biorąc kasę za lipne randki, nie ma sprawy.

Rzucam krede.

– Skąd pewność, że Lanser wszystkiego nie schrzani? Te dziewczyny są moimi koleżankami.

– Nie chce się do tego przyznać, ale potrzebuje kasy – mówi Wodnik. – Kowboj też. Ma nadzieję, że poderwie Katie Morris, jeśli zaprosi ją na bal maturalny z mnóstwem bajecznych atrakcji, a to kosztuje majątek.

Waham się, bo mam wątpliwości. Sądziłam, że chłopaków zachwyci mój pomysł na biznes, ale tymczasem Lanser urządził przedstawienie, sugerując, że jest inaczej. Za dużo pretensji, więc chyba nie popracujemy razem. Przykro mi, że omówili tę sprawę beze mnie. To był autorski pomysł. Dlaczego zostałam pominięta?

– Sama nie wiem – mówię i przygryzam usta. – Może lepiej o tym zapomnieć.

Wodnik przysuwa się bliżej i pyta:

– Czego się boisz, Toni?

Istnieją uzasadnione obawy, że kumple odwrócą się ode mnie. Jako dziewczyna pójdę odstawkę. Coraz bardziej się różnimy. Bez nich samej sobie stanę się obca. Głośno, rzecz jasna, ani myślę się do tego przyznać.

– Lanser chce coś zmienić – tłumaczy Wodnik. – Radzę nie brać tego do siebie.

– Co mu nie pasuje? Długoletnia przyjaźń? – Podnoszę głos. Gardło mam ściśnięte. – Kto chciałby z tego zrezygnować?

– Racja. Też się nad tym zastanawiam. – Wodnik skubie sznurowadła. Maluję deszczowe chmury na niebiesko i staram się powstrzymać łzy. Wodnik sięga po żółtą krede i dorysowuje słońce nad portretem Jezioraka. Siedzimy w kucki, mażąc kolorową kredą po betonie, aż cierpną mi palce.

Ciszę przerywa głos Briana.

– Toni? Co tam robisz? Już późno. – Stoi na werandzie w blasku lampy. Daszek baseballówki rzuca cień na jego twarz.

– Zaraz przyjdę. – Macham ręką.

Brian się ociąga. Obserwuje. Wyłamuje paluchy, trzaskają stawy. Przypominam sobie, że nazwał Wodnika moim chłopakiem. Zirytowana ponownie macham ręką. Wraca do mieszkania.

Oboje z Wodnikiem podnosimy się, nad głowami mamy ciemne niebo. Mój oddech materializuje się jako biały obłok pary między nami. Żdźbła na trawniku są żółtawe i kruche, pokryte szadzią.

– To jak? Ubijemy interes? – pyta z nadzieją Wodnik.

W wieczornym mroku jego rysy łagodnieją. Pociągła twarz staje się labiryntem linii i zagłębień. Wodnik znów pociera brodę. Uświadamiam sobie, że mama trafiła w sedno. Wodnik ma twarz gwiazdora filmowego. Wygląda jak zblazowany dżentelmen, który przyszedł zabrać mnie na bal lub na inną imprezkę. Cofam się rozdygotana; nie jestem pewna, czy tylko nocny chłód jest temu winien. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że bez nowego spoiwa ferajna się rozproszy. Nie mogę stracić moich chłopaków. To byłoby nie do przyjęcia.

– Zakładamy firmę – mówię, uśmiechając się nerwowo.



## Rozdział dwunasty

O kazuje się, że tego wieczoru, gdy Lemon potrzebuje eskorty, Wodnik jest w pracy. Ani myśli rezygnować z posady w sklepie firmowym wytwórni pluszowych misiów. Nie mam o to do niego pretensji. Kowboj zaplanował jakąś akcję wspólnie z tatą. Dobry pomysł, bo przynajmniej na kilka godzin przestanie ślęczeć nad książkami. Z tego wniosek, że firmę rozkręcą z Lanserem. Po prostu fantastycznie.

W moim liceum wciąż jestem nowa, a większość koleżanek ma mnie za pariasa, więc potrzebuję zaufanej przedstawicielki, żeby organizować randki, zwłaszcza lipne. Fundamentem mego biznesplanu jest fałsz. Któż mógłby reprezentować mnie lepiej niż Emma Elizabeth Swanson?

W czasie przerwy obiadowej tłumaczę jej co i jak. Deklaruje pomoc, skacząc z radości, i do końca tygodnia mnie nie odstępuje. Dawniej taka namolna przylepa mocno by mnie złościła, ale muszę przyznać, że zaczynam powoli doceniać przyjaźń z dziewczyną. To dla mnie zupełna nowość.

Mama nieomal mdleje na widok Emmy, która w piątek po lekcjach przychodzi ze mną do domu, obładowana śmieciowym żarciem. Oczy jej błyszczą.

– Emma! Miło cię znów widzieć!

– Dzień dobry, pani Richards – wita się grzecznie Emma i rzuca na stół górę chipsów ziemniaczanych, miętowych cukierków oraz puszek z napojami. Przez kilka minut gawędzi z mamą o wartości odżywczej napojów gazowanych. Obie są zgodne, że trzeba je traktować jako żywność. Przerywam ożywioną dyskusję i Emma obładowana żarełkiem drepce do mego pokoju. Robota czeka.

Na schodach mijamy Briana.

– Ratunku! – woła, podnosząc ręce w geście poddania. – Uwaga! Nastolatki na swobodzie.

Nie lubię tych jego odzywek. Można by pomyśleć, że jako nastoletnia panna automatycznie muszę być uważana za groźną, nieprzewidywalną wariatkę. Emma wita się grzecznie, a ja omijam Briana i ciągnę ją do swojego pokoju. Dopiero gdy zamykam drzwi i przekręcam klucz, mogę spokojnie beknąć. Rzucam się na wyrko. Głowa mi pęka, gdy myślę, ile mam zadane po kolejnym tygodniu w żeńskim liceum. Emma patrzy na mnie i beka tak głośno, że szyby drżą.

Jestem w szoku.

– Co tak patrzysz? Nie daj się zwieść lakierowanym pazurkom – mówi. – Bywam obrzydliwa i kocham to.

Wybucham śmiechem.

– Szacun. Dałaś czadu.

Prostuje się z dumą i otwiera puszkę coli.

– Serdeczne dzięki. Dobra. – Wskakuje na moje łóżko. – Jaki mamy plan działania?

Przedstawiam zarys projektu; brak mu finezji, ale moim zdaniem na początku prostota zdecydowanie popłaca.

Lansera trzeba będzie podszkolić. Nie jestem pewna, czy wie, jak powinien zachowywać się prawdziwy dżentelmen. Musimy go odwiedzić przed wielkim wyjściem i sprawdzić, czy potrafi skompletować strój, który spodoba się zachowawczym rodzicom Lemon. Dopiero wtedy wyprawimy go z domu. Jeśli Lemon zaakceptuje dostarczony produkt, kwota dwustu dolców zostanie podzielona między zatrudnionych. W tym wypadku to Lanser, Emma i ja. Wolałabym oddać swoją działkę Wodnikowi, ale wiem, że przyjmie tylko wynagrodzenie za wykonaną robotę. Trzeba dopilnować, żeby wszystko szło gładko, uczciwie i bez zbędnych komplikacji.

– Myślisz, że jestem kretynką, bo w to wchodzę? – Pakuję do ust garść miętowych cukierków.

– Całkiem możliwe. Choć niekoniecznie. – Emma rozpuszcza włosy spięte w koński ogon. – Aha, serdeczne dzięki.

– Za co? – Nic przecież nie zdziałałam. To ja powinnam być



wdzięczna. Mina matuli na widok Emmy wchodzącej za mną do domu była naprawdę bezcenna.

– Za to, że wybrałaś mnie na współpracowniczkę. – Emma wzrusza ramionami.

Jestem zdumiona. Ma przecież w liceum mnóstwo koleżanek, prawda?

– Gdyby nie ty, klientela raczej by się nie pojawiła – mówię z pozorną nonszalancją, starając się ukryć uśmiech. Przyjacielskie ciepełko to nie moje klimaty. – Serdeczne dzięki.

To w naszej znajomości ważna chwila. Tak mi się zdaje. Sama nie wiem. Trudno wyczuć.

Pora znowu beknąć głośno.

– Och! – wzdycha nagle Emma. – Powinniśmy mieć stronę internetową. Niech będzie różowa!

– Dobry pomysł. – Otwieram puszkę. – Tylko kolorek mi się nie podoba.

– Co masz przeciwko różowemu? – Krzywi się i poprawia oprawiony plakat reklamowy filmu „To nie jest kraj dla starych ludzi”, oparty o moje łóżko.

– Różowy jest zbyt dziewczynski – odpowiadam.

Ładnutki buziaczek kurczy się, gdy Emma marszczy brwi.

– W twoich ustach przymiotnik „dziewczyński” brzmi jak obelga.

W moim świecie dziewczynskość to choroba albo kataklizm.

Kolor, film, książka nazbyt dziewczynska. Przestań być taka dziewczynska. Filmy albo powieści dla dziewcząt na pewno są kiepskie.

Emma ściąga kraciastą spódnicę i wskakuje w dżinsy.

– Uwaga! Cytat: „Zaczynamy wychowywać córki podobnie jak synów, lecz mało kto ma odwagę chować synów tak samo jak córki”. Gloria Steinem. Zastanów się nad tym.

– Dlaczego?

– Dziewczęcość nie jest ułomnością, Toni – wyjaśnia Emma. – Masz prawo ją podkreślać, jeśli chcesz.

Zastanawiam się nad tym, związując włosy w kitkę nisko nad karkiem. Emma dobrze mówi. Dlaczego dziewczynskość uchodzi za coś gorszego?

– Podkreślanie dziewczęcości. – Kiwam głową. – To dla mnie kolejne wyzwanie.



Emma i ja przyjeżdżamy do Lansera godzinę przed umówionym spotkaniem z Lemon. Gdy moja współpracownica naciska dzwonek, patrzę na różane krzewy rosnące przed domem, wspominam pocałunek Emmy i Wodnika. Flaki się we mnie przewracają. Zjadłam chyba za dużo śmieciowego żarcia.

Sukces firmy zależy od dzisiejszego wieczoru. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby Lanser tego nie spała. Otwiera nam ubrany w spodnie od piżamy i czarny T-shirt. Kędzierzawe włosy sterczą mu na wszystkie strony. Drapie się po wielkich uszach, oczy ma zaspane. W kąciку ust coś bieleje; zapewne resztkę pasty do zębów.

Dobrze, że przyjechałyśmy. Trzeba działać.

Gdy maszerujemy do jego pokoju, mamroce drwiąco o wzajemnej radości z miłego spotkania. Półgębkiem wita się z Emmą. Prowadzi nas korytarzem. Jego mama wesoło macha do nas z kuchni, gdzie otoczona papierzyskami pochyliła się nad klawiaturą komputera. Skończyła prawo, jej specjalność to rozwody. Jest zavalona robotą.

Pokój Lansera jest zagracony i jasny. Na ścianach w kolorze neonowej zieleni wiszą deski zjazdowe, łóżko jest zavalone brudnymi ciuchami. Lanser chomikuje wszystko: bilety na mecze baseballowe sprzed lat, maskotki upstrzone dziwnymi plamami, pudła wypełnione starymi zeszytami, szkolnymi notatkami i pracami domowymi z podstawówki.

Marzy mu się zmiana, choć ma problem z wyrzuceniem szpargałów, ale nie zamierzam o tym rozmawiać. Żadnych sprzeczek. Dziś gadamy wyłącznie o interesach.

Emma snuje się po pokoju i ogląda te rupiecie niczym muzealne eksponaty: opakowania po chipsach spiętrzone na dębowym biurku, zmiętą niebieską narzutę, wielki kłęb gumek recepturek walający się po podłodze.

– Co włożysz, Lanser? – pytam.

Obraca się, demonstrując domowy przyodziewek.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłem z elegancją.

Emma zaczyna myszkować w jego szafie. Czubek języka pojawia się w kąciu jej ust, gdy ogląda ciuchy.

– Jezu! Ile koszulek!

– Nie możesz wyglądać jak menel – tłumaczę. – Od ciebie zależy reputacja firmy „Wypożyczalnia dżentelmenów”. Liczy się pierwsze wrażenie.

– Proszę? Jakiej firmy? – Lanser nadstawia uszu.

– Każda działalność wymaga chwytliwej nazwy – tłumaczę, zarumieniona. Mnie się podoba, ale sceptycyzm Lansera sprawia, że czuję się głupio. Okropność.

– Moim zdaniem nazwa jest chwytliwa – podsumowuje Emma. Wyciąga z szafy granatowy sweter i krawat w tym samym kolorze. – Grunt to klasyka. – Rzuca ciuchy Lanserowi, który łapie je w locie.

– Dlaczego nie mogę być sobą? – Przygląda się swetrowi, jakby to był całun.

– Nie za to ci płacą – odpowiadam. – Kasę dostanie młody człowiek o doskonałych manierach i republikańskich poglądach, który za nic w świecie nie przylepiłby gumy do żucia pod biurkiem.

Lanser skubie ucho. Zaciekawiona Emma maca spód blatu. Lśniące włosy opadają, kiedy się pochyla. Wkrótce prostuje się z uśmiechem.

– Masz tam niezły zbiór.

– Szkoda mi czasu na sprzątanie. – Lanser odwraca się, nerwowo drapiąc szyję. – Róbnmy, co trzeba, i dawajcie kasę, jasne?

Emma znów podchodzi do szafy i wybiera białą koszulę oraz spodnie w kolorze khaki.

– Idealne – mówi. – Przebierz się.

Lanser bierze ciuchy i mamrocąc pod nosem, znika w łazience. Gdy drzwi zamykają się za nim, wymieniamy z Emmą znaczące spojrzenia i kręcimy głowami.

– Zawsze tak się ciska? – szepce moja współpracownica.

– Ostatnio dużo się u niego zmieniło. – A poza tym nienawidzi mnie teraz.

Z roztargnieniem spoglądam na zegarek. Lanser powinien zjawić się u Lemon za trzy kwadransy, gotowy oczarować fajną gadką jej

rodziców. Jazda przez miasto zajmie dwadzieścia minut.

Walę pięścią w drzwi.

– Szybciej! Tracimy czas!

– Zamknij dziób! – dobiega zza drzwi stłumiony głos. Emma otwiera szufladę biurka i grzebie w rupieciach.

– Co ty wyprawiasz? – szeptę.

– Węszę. – Nucąc cicho, otwiera kolejną szufladę.

– Dlaczego? – Przypominam sobie, że została sama w moim pokoju, gdy przed imprezą u Lansera przebierałam się w łazience. Czy u mnie też zrobiła przeszukanie?

– Jestem ciekawska. – Emma bierze miękką piłeczkę, podrzuca ją i odkłada do szuflady. – Musimy znać sekrety naszych pracowników, nie sądzisz?

– Lanser to dobry chłopak – mówię. – Zazwyczaj.

Emma wysuwa dolną szufladę i robi wielkie oczy.

– Mamy cię! – szeptem, kołysząc trzymany w palcach czarny notes, którego dotąd nie widziałam na oczy.

– Co to jest? – pytam i podchodzę bliżej.

Emma kartkuje notes.

– Zapiski Lansera. Bierzemy.

Drzwi łazienki uchylają się, więc błyskawicznie zamyka notes, kopie szufladę, prostuje się, chowa notes za plecami i wciska za pasek dżinsów. Lanser dostanie szału, jeśli odkryje, że myszkowała w jego rzeczach. Chwileczkę! Lanser pisze pamiętnik?

Chłopczyna wychodzi z łazienki i rozkłada ramiona.

– Wyglądam jak głupek – mówi z kwaśną miną.

Szczerze mówiąc, prezentuje się całkiem nieźle. Poły koszuli są u dołu trochę pogniecione, ale wystarczy wcisnąć je w spodnie i nikt się nie zorientuje. Krawat jest przekrzywiony, a kudły wyglądają jak zmierzwione runo czarnej owcy. W kąciку ust nadal bieleje odrobina pasty do zębów. Emma zabiera się do pracy i robi z tym porządek. Zaczyna od krawata.

– Zawiązany jak należy – mówi Lanser. – Nie jestem idiotą.

– Pozwól mi działać. – Emma stoi krok od niego.

Lanser odwraca wzrok, policzki mu czerwieńszą. Teraz bardziej

niż podczas niedawnej imprezy przypomina mojego kumpla.

W towarzystwie dziewczyn czuje się nieswojo. Gdy Emma rozpina guziki jego spodni w kolorze khaki, odskakuje zaskoczony.

– Co ty wyprawiasz? – mówi rwącym się głosem. Emma chichoce.

– Włóż koszulę w spodnie, dobra?

Lanser wzdycha i wciska koszulę za pasek. Emma obchodzi go w kółko. Wygląda sweter na ramionach, skubie wystającą nitkę, stara się przyglądać sterczące kudły.

– Kasa płatna z góry – mówi Lanser.

– Dostaniesz swoją działkę po randce – warczę, tracąc cierpliwość.

– Jeśli Lemon nie będzie zadowolona z twojego występu, zażąda zwrotu honorarium. Nikt jeszcze nie dostał zapłaty. Działamy zespołowo.

Lanser chce rozluźnić krawat, ale Emma wali go po łapie i poprawia węzeł.

– A jeśli laska zakocha się we mnie? – Lanser zerka na Emmę, która uśmiecha się chytrze.

– Nie jesteś w jej typie.

Emma wchodzi do łazienki, wraca z chusteczką i wyciera białe smugi na twarzy Lansera.

– Nie jestem dzidziusiem! – jęczy mój kumpel.

– Na pewno? Zachowujesz się jak małe bobo – odpowiada z uśmiechem Emma. Lansera zamurowuje. Gapi się na nią w milczeniu. I bardzo dobrze. Wreszcie ktoś go przegadał.

Klaszczę w ręce i mówię:

– Już czas! Zaczynamy. „Wypożyczalnia dżentelmenów” rozpoczyna działalność!

– Robię to wyłącznie dla pieniędzy, bo chcę jechać do Kolorado. Dobrze wiesz, że chcę stąd zniknąć.

Lanser ciężkim krokiem opuszcza pokój. Stoję zirytowana, a Emma szepce, machając czarnym notesem:

– Chcesz wiedzieć, co się dzieje w jego głowie?

– Odłóż pamiętnik na miejsce – odpowiadam półgłosem. –

Zauważy jego brak.

– W tym bałaganie? Nie sądzę. Zresztą to starość. Wszystkie kartki są już zapisane. – Znów upycha notes z tyłu, za paskiem dżinsów,

i opuszcza pokój. Obserwujemy czerwonego volkswagena garbusa  
ruszającego spod domu i wymieniamy pełne obaw spojrzenia.

Musimy czekać.



## Rozdział trzynasty

K ilka godzin później brzuch mnie boli od śmiechu, moje pazurki lśnią pomalowane różowym lakierem, a włosy misternymi falami spływają na koszulkę z napisem Mario Brothers. Takie są uboczne skutki przebywania z Emmą Elizabeth Swanson. Należałoby jej przyczepić znak ostrzegawczy.

Z podwiniętymi nogami siedzę w moim pokoju na podłodze, oparta o krzesło. Nerwowo przerzucam telefon z ręki do ręki. Do podniebienia przykleiła mi się zżuta guma o smaku miętowym.

– Według mnie to dobry znak – tłumaczy Emma, spoglądając na zegarek. – Dochodzi północ. Żadnych złych nowin. Przynajmniej na razie. – Leży w poprzek na zasłanym łóżku i rozgląda się po pokoju. Włosami zamiata podłogę, szyja znika pod kołnierzykiem seledynowej bawełnianej piżamy, który zachodzi na policzki.

Pożegnałyśmy Lansera niczym mamuśki wyprawiające dziecię na bal maturalny i od tamtej pory nie mamy od niego wiadomości. Czekam pełna obaw i wyobrażam sobie, że wrzeszczy na mnie: „Tonia, kiedy wreszcie dorośniesz?”

Podciągam kolana pod brodę i pocieram je podbródkiem.

– Musimy opracować regulamin kontaktu – mówię, odsuwając na bok urazę do Lansera. Chwilowo. – Powinniśmy śłać SMS-y lub jakoś inaczej informować się, czy lipna randka przebiega, jak należy. A jeśli został uprowadzony albo coś w tym rodzaju? Może Lemon go porwała?

– Wyluzuj. Mieszkamy w Vermoncie. – Emma rzuca wysoko miętową pastylkę i chwytą ją ustami.

Cud boski, że się nie udławiła.

– Zakładam, że Lanser potrafi o siebie zadbać. Może nie ma czasu na wysyłanie SMS-ów. Musi być czujny i gotowy na wszystko. Lemon jest pewnie nazbyt zakręcona, żeby zadzwonić. Aha, jak Lanser ma na

imię?

– Luke. – Znowu przypominają mi się nasze imiona wyryte na drewnianym moło. Podnoszę wzrok. – Lanser to ksywka. Każde z nas ją ma.

– Z nas? – Emma przetacza się na brzuch.

– Kumple z ferajny. Moja paczka. – Czy nadal mogę ich tak nazywać? – Lanser, Kowboj, Wodnik i Buła. Dzieciaki z Newbury Lane. Tak było przez wiele lat.

Emma znowu kładzie się na plecach, a jej zaróżowiona buzia powoli blednie.

– Też chcę dostać ksywkę. Nigdy jej nie miałam.

– Nawet w dzieciństwie? – Wsuwam palce stóp w puchaty dywan.

Emma kręci głową.

– Niestety.

– Jakieś sugestie? – Przechylam głowę na bok.

– Nie mogę sama wymyślić sobie przezwiska. – Emma wzdycha rozpaczliwie. – Ktoś inny musi je nadać, inaczej to bez sensu.

Chodzi mi po głowie Cudo albo Lalka... Aż tu nagle drzwi się uchylają i serce mi kołacze. Wodnik zapowiedział, że wpadnie po pracy. Jego zmiana skończyła się przed godziną.

Rzecz jasna, nie zamierzam go kontrolować ani domagać się wyjaśnień.

Cztery czarne łapy wparowują do mojego pokoju. Kot Piłkarz kroczy hardo z podniesioną głową, wdzięcznie kołysząc uniesionym ogonem. Przystaje, zerka na mnie, wskakuje na łóżku i zwija się w kłębek obok Emmy.

– Cześć, śliczny kotku. – Emma gładzi Piłkarza po grzbiecie. Kot patrzy na mnie zmrużonymi ślepiami i mruczy. Wtula łepki w dłoń Emmy i ociera się mocno, dając do zrozumienia, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

– Zgrane sztuczki zaborczego cwaniaka – dobiega mnie od drzwi znajomy głos.

Wodnik stoi na progu w białej koszuli, ze skrzyżowanymi ramionami. Uśmiecha się, zdejmując buty, chwytając torbę chipsów i siada obok mnie na podłodze. Strasznie się cieszę, że przyszedł. Omal nie



uściskałam go z radości. Podsuwa mi torbę. Zapycham się garścią chipsów. Dłonie mam mokre od potu. Ciekawe dlaczego? Przez Wodnika? To bez sensu. Znamy się jak łyse konie i rozumiemy doskonale. Nie powinien działać mi na nerwy.

Emma siada, przerywając odpoczynek Piłkarzowi, który zwija się w kłębek na mojej poduszce. Fantastycznie. Znow będę miała twarz oblepioną kocimi kłakami. Emma przeczesuje palcami włosy, obciąga piżamę, zeskakuje z łóżka i z głuchym łomotem ląduje na różowym dywanie. Unosi paluszek i oznajmia:

– Muszę do łazienki. Zaraz wracam. – Nie dając nam czasu na odpowiedź, wybiega z pokoju i pędzi w głąb korytarza.

– Przerwałem jakieś dziewczynskie gusła? – Wodnik zerka wymownie na moje pomalowane pazury.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Gadamy o interesach. – Chowam łapska pod tyłek, jakbym chciała ukryć dowód rzeczowy.

Wodnik sadowi się wygodniej i przyciska bark do mojego ramienia. Ani drgnę. Nie zamierzam się ruszyć. Powietrze robi się ciepłutkie jak wino grzane na kuchence. Wodnik rusza palcami nóg. Jedną skarpetkę ma czarną, drugą białą.

– Jak lipna randka Lansera? – pyta.

– Nadal trwa. – Krzesło chwieje się za moimi plecami, gdy przestawiam stopę. Mrowią mnie pięty, jakby miały zaraz ścierpnąć. Wodnik łapie krzesło, chroniąc je przed upadkiem.

Zamierzam mu podziękować, ale do pokoju wkracza Emma – równie nagle jak zniknęła – przebrana w dżinsy i czarną bluzkę. Idealna fryzura. Błyszczczyk na ustach.

– Możemy odtrąbić megasukces, Mike – oświadcza, dumnym krokiem maszerując przez pokój. – „Wypożyczalnia dżentelmenów” Toni Valentine zaczęła działalność z przytupem.

– Niezła nazwa. – Wodnik gapi się na nią stanowczo za długo. – Nie musiałaś się dla mnie przebierać.

Próbuje ją wysądować?

Nie.

Tak.

Trudno wyczuć.

– Szkoda zachodu, Emmo. To przecież Wodnik – mówię z udawaną nonszalancją, choć obrzydliwie pocą mi się łapska.

Wodnik daje mi kuksańca. Podkradam mu torbę z chipsami, ale mi ją odbiera. Próbuję uderzyć go w ramię. Omal nie złamałam sobie ręki, jakbym walnęła w ceglany mur. Wodnik uśmiecha się tryumfalnie. Robię obrażoną minę i daję sobie spokój z tą przepychanką. Patrzy na mnie, jakby pytał, co mi się stało.

Emma wskakuje na łóżko. Kot Piłkarz znów się irytuje i otwiera ślepie. Jeszcze jedna przerwa w drzemce i pójdzie sobie stąd.

– Wypadało przynajmniej włożyć stanik – odpowiada Emma.

Niewiele brakowało, żeby Wodnik zadławił się chipsem. Robi się czerwony. Wykorzystuję sposobność i zawodzę śpiewnie:

– Stanik, stanik, stanik, stanik, stanik...

– Przestań! – Wodnik zasłania sobie uszy.

– Dałam plamę? – pyta zakłopotana Emma. Wybucham śmiechem i wyjaśniam:

– Niektóre słowa zbijają go z tropu: stanik, tampon, pianino.

– Pianino? – Emma przetacza się na bok, chichocze i nawija na palec kosmyk miodowych włosów.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. – Wodnik kręci głową i wyciera tłuste łapska o dzinsy. – Gdy słyszę niektóre słowa, tracę rezon. Dla mnie to zagadka. Nieważne. Sądziłem, że odbywacie tu biznesowe spotkanie. Lanser. Randka. Kasa. Pamiętacie? Co z tą kasą?

– Brak wiadomości to dobra wiadomość. – Emma wzrusza ramionami.

– Kto wie? – Odwracam się do Wodnika. – Lanser się nie odezwał. Lemon też milczy. Zero kontaktu.

– Myślisz, że zostali uprowadzeni? – pyta Wodnik.

– W tej dzielnicy porywa się ludzi? – Emma siada na łóżku. – Macie z tym problem?

Coś wibruje. Sprawdzam komórkę. Nikt do mnie nie dzwoni. Wodnik spokojnie żuje chipsy, bo rzadko używa komórki. Najchętniej pozostałby na wieki wieków poza zasięgiem, jak chce matka natura. Powiedział mi kiedyś, że włącza telefon jedynie po to, żeby mi wysłać SMS. Wycieram spocone dłonie o dywan.

Emma wierci się na łóżku, sięga po komórkę leżącą na podłodze i podnosi klapkę. Zmienia jej się wyraz twarzy, rozbawienie ustępuje miejsca niepokojowi. Emma patrzy na mnie.

– To on.

– Lanser? – Prostuję się, pełna obaw. Na dwoje babka wróżyła: firma rozkwitnie albo padnie.

Emma kręci głową.

– To Kevin. Ja... zaraz wracam.

Wybiega do korytarza i zamyka za sobą drzwi. Wodnik opiera się o moje biurko i pociera kark.

– Kevin... jej chłopak.

– Były chłopak – poprawiam, oblizując paluchy tłuste od chipsów.

– I bardzo dobrze. – Wodnik kiwa głową.

Co go obchodzi były facet Emmy?

– Czemu?

– To dupek – odpowiada, wzruszając ramionami. – Emma zasługuje na kogoś lepszego.

Nagle przypomina mi się ich całus podczas imprezy u Lansera. Mogę przysiąc, że to wspomnienie staje się coraz bardziej wyraziste. Jej usta. Jego wargi. Złączone. Odpycham od siebie ten obrazek i skubię sznurek podtrzymujący dresowe spodnie.

Powinnam wyluzować. Taka zmiana może mi wyjść na dobre; wcale nie oznacza utraty najlepszego przyjaciela na rzecz nowej przyjaciółki z idealną fryzurą.

Zza drzwi dobiega stłumiony głos Emmy. Brzmi spokojnie i stanowczo, jakby karciała rozbrykanego pięciolatka.

Zamiast dręczyć się wątpliwościami, postanawiam wprost zadać pytanie. Wyobrażenia są gorsze od rzeczywistości. Słowa kapią wolno jak krople miodu, ale smak mają gorzki. Zero słodczy.

– Chcesz z nią chodzić, czy co? – Wyciągam nogi i poruszam palcami.

Wodnik grzebie w torebce, szukając całych chipsów, omija moje ulubione okruchy. Chrupie w milczeniu. Machinalnie ruszam paluchami. Wodnik żuje metodycznie.

– Powinienem skreślić w końcu sama-wiesz-kogo – odpowiada,

mając na myśli swoją byłą. – A Emma jest śliczna.

To określenie zagnieżdża się w mojej głowie. Zamiast cichnąć, przybiera na sile. Chcę, żeby Wodnik przestał wreszcie myśleć o swojej byłej, ale czy Emma to najlepszy wybór? Jest urocza, ale dość namolna. Wodnikowi potrzeba dziewczyny godnej zaufania, spokojnej i uczciwej, która nie wciągnie go w żadne gierki.

– Odradzam pośpiech – rzucam, mając nadzieję, że nie zacznie teraz o nią wypytywać. Ulubiony kolor? Jakie kwiaty preferuje? Co robi podczas weekendu? Mogę planować lipne randki. Prawdziwe to nie moja specjalność. Lipne są w miarę przewidywalne. Potrafię nad nimi zapanować.

– Posłuchaj. – Wodnik kładzie na moim biurku torebkę po chipsach. – Muszę ci podziękować. Uwaga: serdeczne dzięki.

Bawię się telefonem, zadowolona ze zmiany tematu.

– Za co?

– Nie marudzisz, że wciąż haruję. – Wodnik marszczy brwi. – Chłopaki mają do mnie pretensje. Myślę, że ich to wkurza.

Trudno mi skomentować jego wyznanie. Najwyraźniej nie ja jedna czuję się wyautowana, bo sytuacja wymyka się spod kontroli.

Emma wraca i odgarnia jasne włosy opadające na twarz.

– Mam wiadomości – oznajmia zdyszana.

– Pogodziłaś się z Kevinem? – pytam. Oby to była prawda! Życie stałoby się prostsze i bardziej przewidywalne, gdyby Wodnik z nią nie chodził.

– Kevin się nie liczy. – Emma macha ręką. – Lemon przysłała wiadomość.

Serce podchodzi mi do gardła. Niechcący zaczepiam o łokieć Wodnika, który stopniowo osuwa się na podłogę; lada chwila jego głowa spocznie na moim ramieniu.

Lanser pokpił sprawę? Podpadł starym Lemon? Przez niego na wieki zostanę napiętnowana jako ta nowa, która ma kiepskich znajomych z podrzędnego liceum. Czy z powodu feralnego incydentu będę prześladowana w nowej szkole, stracę twarz i zrujnuję sobie życie?

Na lśniących od blizszyku usteczkach Emmy pojawia się jej słynny uśmiech.

– Lemon chce go sobie zarezerwować do końca roku – mówi. –  
Nasza firma działa, Toni Valentine.

Przez chwilę podejrzewam, że mnie nabiera, ale gdy zaczyna  
pisać i skakać po pokoju, ochoczo przyłączam się do niej, zdumiona  
poziomem własnej ekscytacji. Lanser nie zawiodł! Hura! Zblazowany  
Wodnik leży na podłodze i klaszcze jak prawdziwy dżentelmen.  
Okrażam pokój, rzucam się na łóżko i biorę się w garść, przypominając  
sobie, kim jestem.

Ja nie piszę, nie chichocę, nie skaczę z radości jak szalona.

Kot Piłkarz zeskakuje z poduszki, robi obrażoną minę i opuszcza  
pokój, więc ogarniam się i też klaszczę wytwornie jak arystokrata.



## Rozdział czternasty

Jak zamierzasz spędzić Boże Narodzenie, Toniu? – zagaduje pani Kemper.

To ostatni krąg zwierzeń przed feriami zimowymi. Słucham jednym uchem, zastanawiając się, którego z chłopaków przydzielę Carrie Sanders, mojej najnowszej klientce, z którą siedzę w stołówce przy jednym stole. Postanowiła udowodnić starszej siostrze, że naprawdę ma chłopaka i wcale go sobie nie wymyśliła. W sylwestra Wodnik jest zajęty. Pozostaje Kowboj albo Lanser. Chyba rzucę monetą.

– Święta? Z rodziną. Przy stole. Typowo – odpowiadam, głębiej zapadając się w fotel. Pamiętam, że nogi mają być skrzyżowane w kostkach. Ogień huczy w kominku. Każda z nas dostała kubek z grzańcem. Wyjątkowy poczęstunek szczodrej pani Kemper. Nie przyznam się, że nienawidzę Bożego Narodzenia, bo nie ma już taty. Na myśl o świętach dostaję dreszczy, ale się do tego nie przyznam, bo nie potrzebuję litości.

Dzięki entuzjastycznej recenzji Lemon firma rozkwitła przez tych kilka tygodni. Marketing szeptany to potęga. Około Święta Dziękczynienia „Wypożyczalnia dżentelmenów” Toni Valentine solidnie okrzepła na licealnym rynku. Dotychczas zatrudniałyśmy Wodnika, Lansera i Kowboja, ale myślimy perspektywicznie i chcemy wciągnąć do współpracy innych chłopaków.

Uwaga do Lansera: żadnych drzemek w samochodzie. Musimy wiedzieć, co się dzieje, bo w przeciwnym razie zaczynamy podejrzewać, że doszło do porwania. Poza tym chłopak się sprawdził. Rodzicom Lemon powiedział wszystko, co chcieli usłyszeć: że chce studiować w Yale, wielbi Lemon i odwiezie ją do domu o stosownej porze. Wystarczyło pięć minut rozmowy z uroczym młodzieńcem i starzy Lemon zaufali mu całkowicie oraz warunkowo znieśli szlaban, pod

warunkiem że dziecina co godzinę zamelduje się telefonicznie. Brian nie dałby się wziąć pod włos nowo poznanemu małolatowi. Nawet Wodnika ustawicznie sprawdza.

– Ryan nienawidzi świąt – mówi Shauna.

– Nadzwyczajne. – Pani Kemper pociera skronie, a Shauna tokuje o miłości swojego życia.

Intuicja podpowiada mi, że szkolnej władzy nie spodobałaby się „Wypożyczalnia dżentelmenów”. Dla dyrektorki to bez znaczenia, że nasza firma wspomaga młode damy w potrzebie, dając im możliwość spełniania ukrytych pragnień. Niezły tekst. Dobry slogan reklamowy.

Emma punkt po punkcie realizuje biznesplan. Stworzyła piękną i prostą stronę internetową. Jest na niej zdjęcie faceta, ale widać jedynie tułów w smokingu, dłonie poprawiające krawat gestem Jamesa Bonda, a nad nimi kwadratową szczękę z dwudniowym zarostem.

Nawiasem mówiąc, muszę przyznać, że podczas sesji zdjęciowej Wodnik ubrany w wieczorowy strój prezentował się znakomicie.

Pod zdjęciem widnieje tekst ozdobną kursywą, udającą dziewczynski charakter pisma: *Wypożyczalnia dżentelmenów. Wybór należy do Ciebie.*

I tyle. Bez maila i adresu. Żadnych nazwisk. Siła prostoty. Pogoda dla bogaczy. Siła i moc Emmy Elizabeth Swanson. Link do stronki wysłała mailem wszystkim koleżankom z klasy. Jeśli wiadomość je zainteresuje i zechcą poznać szczegóły, muszą pogadać z Emmą.

Lanser zarobił trochę kasy, więc przestał się na mnie wkurzać, lecz nadal rozmawiamy wyłącznie o interesach. Mam nadzieję, że wkrótce mi przebaczy. Kowboj nie był jeszcze na lipnej randce, więc zamierzam podesłać go Carrie. Przedstawiłam mu wcześniej kilka ofert, lecz za każdym razem zbywał mnie pod byle pretekstem: dużo nauki, odsypianie, męskie pogaduchy z tatą w sobotni wieczór.

W tygodniu odwiedziłam go w domu i zapytałam wprost, czy wchodzi do gry, czy rezygnuje.

– Tak. – Wsparty ramieniem o framugę, zagryzł dolną wargę. – Jestem za. Naprawdę.

Problem w tym, że unika mojego wzroku. Uświadamiam sobie, że młode damy z żeńskiego liceum przerażają go tak samo jak mnie, ale nie

drażę sprawy.

– Chciałabym uspokoić te uczennice, które nie dostały jeszcze odpowiedzi z wybranych uczelni – mówi pani Kemper, gdy romantyczna opowieść Shauny dobiegła wreszcie końca.

Podczas rozmowy pani Kemper chętnie kieruje naszą uwagę ku przyszłości. Po kilku miesiącach uświadomiłam sobie, że moje nowe koleżanki zachęca się ustawicznie, żeby patrzyły w przód bez oglądania się za siebie, chyba że analiza przeszłości gwarantuje świetlaną przyszłość.

W tej grupie ja jedna nie widzę jasno, jaką drogą mam pójść. Emma po maturze wybiera się na prawo na Harvardzie, a potem będzie się specjalizowała w ustawach dotyczących wykorzystania komórek macierzystych. Zawczasu upatrzyła sobie rynkową niszę. Shauna chce studiować w Stanford, a potem jako rządowa ekspertka od edukacji naprawi nasz system szkolny. Lemon postanowiła stworzyć nową formułę kremu dla przyszczatych, emulsji przeciw zmarszczkom lub inną równie dochodową recepturę.

Tylko ja nie mam pojęcia, kim chcę być. Mogłabym studiować tutaj, w Vermoncie, i podczas weekendów oraz wieczorami oglądać horrory z Wodnikiem. Inny wariant to studia na Uniwersytecie Purdue i budowanie własnego świata od podstaw. Trudna decyzja. Nie przyszło mi wcześniej do głowy, że powinnam być zdruzgotana z powodu tej niepewności.

Przyszłość oznacza stopniowe oddalanie się od przeszłości i wszystkiego, co w niej trwa.

Spinam się, gotowa na pytanie o studia, ale pani Kemper kończy spotkanie, mówiąc:

– Życzę wam zdrowych, radosnych świąt oraz udanych ferii!

Idę z Emmą na parking i staram się zapomnieć o pracy domowej, przyszłości i nieznanym drodze życia otwierającej się przede mną. Obecność tej dziewczyny jest osobliwie kojąca niczym rozciągnięta domowa skarpetka, notorycznie zrolowana koło paluchów umęczonych dreptaniem na obcasach. Przyznaję, że stała się dla mnie nie tylko biznesową partnerką, lecz także przyjaciółką.

Emma przewija wiadomości w telefonie, próbując dotrzymać mi



kroku.

– Muszę zadać pytanie niezwiązane z firmą – mówi.

– Wal. – Mijamy auto Emmy, która ani myśli się zatrzymać. Zniża głos niemal do szeptu.

– Wściekła byś się, gdybym poszła na randkę z Mike’em?

Zatrzymuję się i stajemy twarzą w twarz. Wiatr rozwiewa mi włosy pachnące cytrusami; parę kosmyków mam w ustach. Wypluwam je i mamrocę:

– Proszę?

Emma unosi ręce do góry.

– Nieważne. Dlatego pytam. Ma się te zasady.

Na niespełna dwie sekundy mózg mi się wyłącza. Już mam go spisać na straty i przeobrazić się w zwłoki, ale rozumek ożywa i odzyskuje sprawność.

– Wodnika i mnie nic szczególnego nie łączy – odpowiadam niepewnie. – Po prostu się przyjaźnimy.

Emma machinalnie wiąże i rozwiązuje biały szal.

– Na pewno?

Stuprocentowo. Gdyby było inaczej, chyba bym o tym wiedziała, tak? Romantyczna miłość przypomina spotkanie z Jeziorakiem. Jasna sprawa. Trudno nie zauważyć.

– Toni?

– Co?

– Jesteś pewna? – Emma patrzy na mnie z ukosa.

Kręcę głową, nieco oszołomiona.

– Tak. Przecież mówiłam. – Stajemy przy moim aucie. Próbuję oprzeć się o maskę, ale słabo kombinuję i padam na tyłek.

– O Boże! – krzyczy Emma. – Nic ci nie jest?

Zrywam się na równe nogi, strzepując żwir ze spódnicy.

– Chcesz chodzić z Wodnikiem? – pytam zarumieniona. –

A Kevin? Co z nim?

Emma przygryza dolną wargę.

– Już go nie chcę.

– Tak po prostu? – Szybka jest. A tak się starała go odzyskać.

– Dużo myślałam o naszym rozstaniu. – Emma krzyżuje ramiona. –

Niedawno przysłał mi kwiaty. Czerwone róże.

– Drań. – Mrugam powiekami.

– Jako łobuz bardziej mnie kręcił. Dziwne, co? – Emma zaciska biały szal wokół szyi. – Nic nie mów. Wiem, że to osobliwość. Mam swoje dziwactwa.

– Wodnik z pewnością nie jest łobuzem – mówię. Wręcz przeciwnie.

– Wiem. – Kręci głową. – Zapomnijmy o tej rozmowie, dobra?

Mam wrażenie, że chce coś dodać, ale żegna się i wraca do swego auta, szarpana porywistym zimowym wiatrem. Rzucam torbę na siedzenie pasażera mojego nissana, gdzie leży zmięte pismo Uniwersytetu Purdue w odległym stanie Indiana z informacją o przyjęciu na studia. Włączam ogrzewanie i zacieram ręce, czekając, aż w samochodzie zrobi się ciepło. Daremne nadzieje. Grzebię w stosie ciuchów na tylnym siedzeniu i wyciągam zapasowe rękawiczki. Wkładam je, wyjeżdżam z parkingu i ruszam w stronę domu.

Mknę autostradą i uporczywie myślę o pytaniu Emmy. Mózg mi się lasuje. Emma. Wodnik. Jako para. Trzymają się za rączki. Polegają razem pod kocym. Piją gorącą czekoladę z jednego kubeczka. Śmieją się. Całują...

Mija mnie niebieska furgonetka. Już mam pokazać kierowcy środkowy palec, gdy uświadamiam sobie, że wlokę się z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a powinnam jechać co najmniej osiemdziesiątką. Naciskam gaz i klnę paskudnie. Mózg mi wymięka od tych wszystkich klasówek.

Im dłużej myślę o całusie Emmy i Wodnika podczas imprezy u Lansera, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to był incydent, z którego nie wyniknie trwalszy związek. Emma wprawdzie całowała go z języczkiem, co samo w sobie było dziwaczne, ale działała z zaskoczenia. Nie zaiskrzyło między nimi po tamtym buziaku, zabrakło chemii, ziemia nie drgnęła.

Może jednak coś mi umknęło. Byłam wtedy lekko wstawiona. Zresztą, co ja wiem o pocałunkach? Całowałam się z dwoma chłopakami. Zawstydzająco niski wynik. Za każdym razem to była porażka.

Pierwszy całusny chłopaczyna, kolega z letniego obozu w szóstej klasie, skradł mi buziaka, bo się założył. Rany, mocno to przeżyłam... zwłaszcza że po wszystkim otarł usta wierzchem dłoni, prychnął jak kot i uciekł do swojego domku. Drugi całus, znacznie bardziej obiecujący, nastąpił za stojakiem z przekąskami podczas imprezy przy basenie w wakacje poprzedzające pierwszą licealną. Potem facet udawał, że mnie nie zna, co było trudne, ponieważ byliśmy w jednej klasie.

Nie mam wielu romantycznych doświadczeń, ale podejrzewam, że prawdziwe uczucie nie polega na tym, aby całować się za obrzyganym krzakiem róży pod koniec lipnej randki, zorganizowanej po to, żeby odzyskać byłego chłopaka.

Podkręcam ogrzewanie w nadziei, że samochód jednak się ogrzeje. Deska rozdzielcza drży w rytm muzyki country płynącej z radia. Jeśli Emma i Wodnik chcą chodzić ze sobą, nie mam tu nic do gadania. Może Wodnikowi potrzebna jest taka dziewczyna? Albo jej potrzebny jest Wodnik?

Jest przeciwieństwem Kevina. Mówi zawsze to, co myśli. Nie będzie igrał z jej uczuciami. Z drugiej strony nie sędzę, żeby z ich znajomości wynikło coś poważnego. W ostatniej klasie trzeba się skupić na myśleniu o studiach. Mniej uprzywilejowani muszą ciężko pracować i zarabiać pieniądze.

A związki? To bez sensu. Emma myśli o Harvardzie. Wodnik chce studiować w Vermoncie.

Nic z tego nie będzie.

Śpiewam hit nadawany w radiu, żeby rozjaśnić umysł. Nagle biały dym zasnuwa przednią szybę. Naciskam hamulec, łudząc się, że tajemnicze białe opary znikną. Nic z tego. Obłok gęstnieje. Silnik zaczyna pokasływać. Smętny dźwięk zagłusza muzykę. Auto zwalnia, chociaż puściłam hamulec.

Zjeżdżam na pobocze i wyłączam silnik. Muszę odczekać chwilę. Biorę kilka głębokich oddechów w nadziei, że bóstwa motoryzacji dadzą się przebłagać i zaraz ruszę w dalszą drogę. Przekręcam kluczyk w stacyjce; silnik kaszle, potem wyje piskliwie i gaśnie.

Utknęłam w połowie drogi ze szkoły do domu.



## Rozdział piętnasty

Najpierw klnę, a wiatr porywa plugawe słowa. Potem dzwonię do mamy. Tłumaczę, że utknęłam jakieś pół godziny drogi od Shelburn. Mama odpowiada bez chwili wahania:

– Już wyjeżdżam. Postaram się tam dotrzeć najszybciej jak można. Trzymaj się ciepło.

Przerywam połączenie i ogarnia mnie smutek. Będę tęsknić za mamą, gdy w przyszłym roku wyjadę na studia. Nawet bardzo. Nie zamierzam być płaksą, gdy zamieszkałam w akademiku, lecz pewnie wyleję sporo łez niezależnie od tego, gdzie wyląduję. Spoglądam na wystające spod sterty książek pismo z Uniwersytetu Purdue, który chce mnie przyjąć. Ciekawe, czy tata byłby ze mnie dumny.

Słyszę klakson.

Odwracam się i widzę, że znajoma niebieska furgonetka staje na poboczu. Nagle ogarniają mnie wątpliwości; to chyba jakieś inne auto. Z szoferki wyskakuje jednak Kowboj, zapina skórzaną kurtkę i podchodzi bliżej. Opuszczam szybę. Opiera się łokciami o karoserię i zagląda do środka. Policzki ma czerwone od mrozu.

– Tak mi się zdawało, że to ty.

Klepię sfatygowaną kierownicę i mówię:

– Padła w końcu.

– Kiepsko. Przez ciebie wiszę Lanserowi dwadzieścia dolców. – Wichrzy krótkie włosy. Kiedy się uśmiecha, powstaje mnóstwo drobnych zmarszczek, a oczy niemal w nich giną. – Założyłem się z nim, że twoja bryka przetrwa do matury.

– Ja też. Mamy ten sam problem. – Wybucham śmiechem. – Potrafisz to naprawić?

Chucha na gołe łapska i zaciera je energicznie.

– Mógłbym poprosić, żebyś otworzyła maskę, i udawać, że znam

się na mechanice, jak przystało na superfaceta, ale oszczędźmy sobie fatygi. Mało wiem o samochodach, ale nie pozwolę, żebyś tu zamarzała. Mogę cię odwieźć do domu.

Kiwam głową, dziękuję mu i dzwonię do mamy, by przekazać wiadomość, że nie musi pędzić mi na ratunek.

Wsiadam do furgonetki Kowboja i przykładam dłonie w rękawiczkach do otworów nawiewu gorącego powietrza. Na podłodze u moich nóg leży kilka zaczytanych książek w miękkich okładkach. Staram się po nich nie deptać, bo to ukochane skarby.

Kowboj sadowi się za kierownicą, upija łyk bezcukrowej coli i włącza się do ruchu. We wstecznym lusterku widzę moją biedną maximę. Została na poboczu zepsuta, samiutka, opuszczona.

Ściska mnie w gardle.

– Skąd się wzięłaś na tej drodze? – pytam.

– Musiałem zabrać kilka książek. Zostawiłem je u taty, gdy pojechałem do niego na weekend – odpowiada Kowboj, podkreślając ogrzewanie.

Stosuje metodę, którą wypracowałam w poprzedniej klasie: zgłasza się na ochotnika i zalicza wszystko w pierwszym terminie, więc ma wolne popołudnia. Gdyby nie wielka zmiana, u mnie też byłby luzik. Milczymy przez kilka minut. Mocny strumień gorącego powietrza szumi głośno. Kowboj potrafi godzinami siedzieć bez słowa, zatopiony w myślach, ale mnie po kilku chwilach milczenie doprowadza do szału. Cisza mi pasuje tylko podczas wypraw nad jezioro.

– Jesteś zajęty w piątkowy wieczór? – pytam.

– Nie wiem. – Broda mu drży.

– Mam dla ciebie robotę. Szykuje się lipna randka. Carrie, moja koleżanka z klasy, potrzebuje chłopaka na niby. To zaledwie parę godzin.

Mijamy skupisko bezlistnych drzew po prawej stronie drogi. Wyglądają jak mała wyspa otoczona morzem brązowych pól. Niebo nad nimi ciemnieje, jakby miało padać.

– Podjąłem decyzję. – Kowboj oddycha głęboko i umieszcza puszkę coli w uchwycie. – Zaproszę Katie Morris na bal maturalny. Przestanę się jej bać. Jest taka piękna, więc pokonam lęk. Zaplanuję

wspaniały wieczór i chcę... mam nadzieję, że spędzi go ze mną.

– Wiem. – Opieram się o zagłówek i szczerzę zęby w uśmiechu.

Kowboj patrzy na mnie, zbity z tropu.

– Wodnik ci powiedział, co planuję, tak?

– To była tajemnica? – Chyba nie powinnam tyle gadać. Usiłuję podkręcić ogrzewanie, ale jest ustawione na maksa.

– Wodnik mówi ci wszystko. – Kowboj marszczy brwi. Można by pomyśleć, że ma jakieś pretensje do kumpla i do mnie.

– Czy to źle?

Kowboj wzrusza ramionami. Mija kilka chwil. Wbijam wzrok w podłogę, gdzie leży mój „Moby Dick” z pociętą okładką.

– Opowiedz mi o tej dziewczynie... Carrie – mówi Kowboj, zmieniając temat.

– Carrie? – Podnoszę wzrok. Przy drodze pojawiają się starannie utrzymane podmiejskie domy. – Rozmawiałam z nią zaledwie parę razy. Miła, bezpośrednia dziewczyna. Często się uśmiecha. To dobry znak. Emma za nią ręczy.

– Bezpośrednia dziewczyna. – Kowboj wzdycha. – Ten zwrot jest wewnętrznie sprzeczny.

– Kowboj, jestem dziewczyną, a potrafisz ze mną gadać. – Wzruszam ramionami.

Pochyla się, zaciska dłonie na kierownicy i mówi:

– Nie w tym rzecz. Różnisz się od reszty dziewczyn. Jesteś inna. – Kowboj milknie. – Pograżam się, co?

Wybucham śmiechem, choć nie jestem pewna, co ma na myśli. Może chodzi o to, że dziewczyna taka jak ja nie peszy chłopaków. Taka wersja mi pasuje.

– Posłuchaj. Wiem, o co chodzi – odpowiadam. – Dziewczyny z mojego liceum naprawdę są inne. Prawie wszystkie od kołyski są wychowywane tak, by dążyły do ideału.

– Nie one jedne. – Kowboj czerwieni się i skubie kołnierz skórzanej kurtki. – Jak mam się zachować? W jaki sposób zagadać? Co zrobić z rękami? Nie dam rady.

Siadam wygodnie i przyglądam się Kowbojowi. Błada twarz mu czerwienieje. Normalka. Dlatego unikał współpracy z naszą firmą.

Wcale nie chodziło o mnie. Naprawdę spanikował.

Kowboj dotąd nie randkował. Zapewne czeka wiernie na Katie Morris. Poza tym zawsze chciał mieć dobre stopnie, zdobyć stypendium i studiować bez kłopotu. Randki nie były jego priorytetem. Zaczynam kojarzyć fakty. Kowboj chce dołączyć do firmy, bo chodzi mu nie tylko o pieniądze. Chce potrenować, żeby zagadać do Katie.

– Nie mam pojęcia, jak udawać dżentelmena – ciągnie Kowboj.  
Zjechaliśmy już z autostrady i podskakujemy na nierównościach bocznej drogi. Mijamy cukiernię. – Trudno mi być czarusem.

Macham rękami.

– Ale jesteś czarujący.

– Jasne – mruczy.

Zacieram ręce. Wreszcie odzyskałam w nich czucie.

– Musisz nabrać pewności siebie. To podstawa. Bądź sobą.

– Nienawidzę takiej gadki – wzdycha Kowboj. – Łatwo powiedzieć, gdy ma się ciekawą osobowość.

– Pamiętasz, jak w czwartej klasie wepchnąłeś sobie do nosa trzy frytki? To był ciekawy eksperyment. Oto kwintesencja osobowości. – Przychodzi mi nagle do głowy, że w podstawówce i gimnazjum był śmielszy. Dopiero gdy poszedł do liceum, zamknął się w skorupie.

Kowboj parska śmiechem.

– Dobra. Opowiem o tym Katie, gdy zaproszę ją na randkę. Będzie zachwycona.

Przesuwam stopy, uważając na książki.

– Wieziesz mnie do domu. Zatrzymałeś się, widząc mnie na poboczu, i zaproponowałeś pomoc. Jesteś prawdziwym dżentelmenem.

Kowboj wpatruje się w jezdnię. Milczymy do końca podróży. Zimowe niebo przejaśnia się i teraz przecinają je złociste pasy. Kowboj parkuje na naszym podjeździe. Nie wyłącza silnika, skubie suwak kurtki.

– Pójdę na lipną randkę z Carrie – mówi ochoczo jak rekrut wysyłany na wojnę. Kilkakrotnie mruga powiekami.

– Jesteś pewny? – pytam ostrożnie.

– Jeśli będę splukany, nie zorganizuję dla Katie Morris idealnego wieczoru – odpowiada drżącym głosem.

– Kowboj, jesteś fantastyczny – mówię z dłonią na klamce.

– Korepetycje mile widziane!  
– Jakie korepetycje? – Nieruchomieję z nogą wystawioną z auta.  
– Naprawdę powinienem się nauczyć, jak być dżentelmenem i rozmawiać z dziewczynami – tłumaczy.  
– Wcale nie potrzebujesz...  
– Proszę. – Zaciska powieki. – W przyszłym roku idę na studia. Nie mogę być taki wycofany. – Otwiera oczy i patrzy na mnie błagalnie. Nie mogę odmówić. Chcę, żeby powrócił Kowboj z moich dziecięcych lat: odważny chłopak, który śmiało wpychał sobie frytki do nosa. Kiwam głową.

– Spotkamy się tu wcześniej i dokładnie wszystko obgadamy. Uśmiecha się, lecz tym razem zabawne zmarszczki się nie pojawiają.

– Dzięki, Buła.

Gdy wyskakuję z pickupa, odzywa się znowu. Kowboj podaje mi zaczytany egzemplarz „Moby Dicka”.

– Dzięki za pożyczenie lektury – dodaje. – Przepraszam, że tak długo ją trzymałem.

– Do zobaczyska, Kowboj. – Wciskam książkę do plecaka.

Patrzę na niebieskiego pickupa, jadącego w głąb ulicy. Na samym końcu stoi ceglany, trochę rustykalny dom Kowboja. Oddycham z ulgą. Randka Carrie została przyklepana. Cieszę się także przez wzgląd na Kowboja. Przetrwą tę próbę. Poradzi sobie.

– Odzyskałaś w końcu swoją książkę? – rozlega się znajomy głos. Wodnik stoi na podjeździe z piłką do koszykówki w ręku. Kozłuje ją od niechcienia. Na policzkach ma ciemny zarost. Zimą broda grzeje. Podchodzę bliżej, uradowana spotkaniem. Plecak ląduje na ziemi, Wodnik podaje do mnie. Łatwo zdobywam punkt i z radości podnoszę wysoko ręce.

Gramy przez chwilę, podając sobie piłkę i rzucając na zmianę. Opowiadam o zepsutej maximie i pomocy udzielonej przez Kowboja. Słucham historyjki o dziecku, które porzygało się w sklepie z pluszowymi misiami, i o planowanej wyprawie i poszukiwaniu Jezioraka. Nareszcie. Mamy ochotnika, będzie obława. Jestem za. Całym sercem.



– Tym razem mam przeczucie, że się pokaże – mówi Wodnik. – Kiedy jest ciepiej, ciągnie go na powierzchnię. Ma dość kryjówek. Ja to wiem.

Powinnam wspomnieć o pytaniu Emmy, która chciałaby z nim chodzić. Faceci chętnym uchem słuchają takich wiadomości, nawet jeśli nie są zainteresowani. Emma jest sympatyczna, zabawna, urocza. Wodnika taka opcja pewnie zaciekawia i mile połączce.

Śmiało, Toni. Powiedz mu o EMMIE. NO JUŻ!

Podaję do niego i wygładzam spódnice. Zmarzły mi kolana. Słońce się schowało.

– Mama z pewnością dostaje szału. Pa, Wodnik.

Chwyta piłkę, robi krok w moją stronę i przystaje. Uśmiecha się lekko.

– Do zobaczenia, Toni.



## Rozdział szesnasty

S obotnia noc. Debiut Kowboja na lipnej randce. Gdy rozlega się dzwonek, gram na komputerze z Emmą, właśnie rozwala mnie kompletnie. Wyglądam przez okno od frontu. Na werandzie stoi Kowboj i ociera pot z czoła, choć jest chłodno. Pod skórzaną kurtką ma niebieską koszulę, wąski ciemny krawat, a także czarne spodnie i eleganckie buty wyczyszczone do blasku. Włosy barwy piasku zostały starannie przyczesane, blada twarz upstrzona jest czerwonymi plamami.

Za nim stoi Lanser z rękoma wciśniętymi w kieszenie zielonej puchówki. Kędzierzawe włosy są potargane, dzinsy czarne i obcisłe, trampki wściekle niebieskie. Wszystkie ciuchy ma nowiutkie jak spod igły. Wcześniej go w nich nie widziałam.

Gdy otwieram drzwi, kiwa głową i mówi:

– Cześć, Buła.

Wpuszczam ich do środka. Kiedy Kowboj przechodzi obok mnie, czuję silny zapach wody kolońskiej. Marszczę nos i powstrzymuję kichnięcie.

– Fajnie wyglądasz, Kowboj – mówi Emma. Siedzi na ostatnim schodku z puszką coli. Zerka na Lansera, ale potem znów przygląda się Kowbojowi.

– Przesadziłem z tym krawatem, co? – pyta Kowboj.

– Jest idealnie. Wyglądasz jak prawdziwy dżentelmen. – Emma wstaje. – Lanser wiele mógłby się od ciebie nauczyć.

– Hej, dałem sobie radę, prawda? – Lanser wzrusza ramionami i starannie wyciera buty. Patrzy na Emmę, która prowadzi całą naszą gromadkę do salonu.

Mama na górze składa pranie. Uwielbia to. Serio. Nie podzielam jej upodobania. Gdy wchodzimy do salonu, Brian zamyka biografię Beniamina Franklina, którą właśnie czyta. Emma i ja zastopowałyśmy

gierkę na telewizorze.

– Witam, witam! – mówi Brian trochę za głośno. – Co gromada odstawionych nastolatków planuje na dzisiejszy wieczór? Mam nadzieję, że nie wpakujecie się w kłopoty.

– Kowboj ma randkę – odpowiadam. Taka półprawda. – Pomagamy mu się przygotować.

– Randka? Ach tak! Trochę się na tym znam. – Brian wyłamuje palce. – Kim jest szczęśliwa wybranka?

– Ma na imię Carrie – mówi Kowboj. – Często się uśmiecha.

– Koleżanka Toni ze szkoły – dodaje Lanser, zdejmując puchówkę. Ma na sobie fioletową koszulę. Patrząc z bliska, widzę, że jednak się uczesał. Ubrał się chyba staranniej niż zwykle, chociaż nie dostał dziś żadnego zlecenia.

O mojej szkole mówi takim tonem, jakby chciał dać do zrozumienia, że Carrie jest pewnie upierdliwa. Mrużę oczy.

Brian wstaje i kiwa głową.

– Aha. W tej kwestii Toni może być pomocna. Świetnie zna te panny.

Moim zdaniem jego opinia jest mocno przesadzona.

– Jasne. Postaram się wesprzeć kumpla – mówię. – A zatem...

Czekam, aż Brian wyjdzie. Tym razem szybko chwyta aluzję. Ponownie nas przestrzega, żebyśmy nie łądowali się w kłopoty, bo młodzież ma do tego pewną skłonność i potrafi zdrowo narozrabiać. Potem zmywa się i człapie na górę.

– Twój ojczym jest przemiły – mówi Emma.

– Zapewne. – Krzywię się wymownie. Brian jest milutki, czasami przesadnie. Sama nie wiem, jak traktować jego przymilność. Niekiedy czuję się zbita z tropu. Pewnie sama jestem sobie winna.

Lanser patrzy na ekran telewizora.

– Jeju! Macie tu Mario Kart! Chwila. Kto gra Peach? Ona jest koszmarna.

– Przesadzasz.

Robię się czerwona. Zdumiony Lanser wytyka mnie paluchem.

– Sama ją sobie wybrałaś?

– Świetnie! – woła Emma, obchodząc Kowboja. Ostro wzięła się

do roboty. – Moim zdaniem jest dobrze, Toni.

– Daj spokój – wpada jej w słowo Lanser. Najwyraźniej odpuścił sobie kpinki z naszej gry. – Na pewno można coś poprawić. Nikt nie jest doskonały.

– Masz rację. – Emma zdejmuje nitkę z koszuli Kowboja i chichoce. – Proszę bardzo. Teraz jest idealnie, Luke – mówi do Lansera, który kręci głową, ale się uśmiecha. Emma chodzi po salonie, jasne włosy kołyszą się w rytm kroków. Lanser wodzi za nią spojrzeniem, oparty o ścianę przy kominku.

– A jeśli w tym całym ambarasie zapomnę języka w gębie? Idę o zakład, że mam na to sto procent szans – marudzi Kowboj.

Biorę go za łokieć i ciągnę NA KANAPĘ. SIADAMY OBOK SIEBIE.

– ODDYCHAJ GŁĘBOKO. TO PODSTAWA – MÓWIĘ SPOKOJNIE.

– Prześlę ci SMS-em spis tematów na wypadek, gdyby rozmowa się nie kleiła – wtrąca pospiesznie Emma. – Nie waż się tylko sprawdzać wiadomości przy siostrze albo rodzicach Carry, bo to nie wypada. Udaj, że musisz iść do toalety, i napisz SMS, gdyby zrobiło się sennie. Gdy wrócisz do stołu, zacznij rozmowę odzywką, którą ci podrzucę.

– Inicjowanie rozmowy to nie jest moja specjalność. – Kowboj skubie krawat.

– Cały urok sytuacji polega na tym, że nie musisz być sobą, stary. – Klepię go po ramieniu. – Jesteś George, od pół roku chłopak Carrie Sanders. On będzie nawijał. Przejrzałeś informacje o George’u, które przesałałam ci mailem?

Kowboj pociera kark i kiwa głową.

– Carrie starannie dopracowała postać.

Emma nagle przystaje.

– Ulubione żarełko George’a?

– Masło orzechowe – odpowiada Kowboj.

– Ukochany film?

– „Titanic”.

– Mnie ten film doprowadza do szału – mówi Emma, kręcąc głową.

– Najlepszy jest „Wykidajło”. Moim zdaniem klasyka.

– Może być – przyznaje Lanser – ale Patrick Swayze w „Uwierz w ducha” to prawdziwe mistrzostwo.

Emma patrzy na Lansera, jakby nagle urósł o głowę na jej oczach. Po chwili uśmiecha się promiennie.

– Racja. Całkiem zapomniałam.

– Co wy gadacie? To nie jest odpowiedni moment na rozmowę o filmowych starociach! – Kowboj macha rękami. – Nadal mam złe przeczucia!

– Wszystko będzie dobrze. – Kładę mu ręce na ramionach i spoglądam prosto w oczy.

Kowboj wzdycha. Zalatuje od niego miętą.

– Nie dam rady. Nie potrafię...

– Katie Morris – podpowiada Lanser. – Chcesz jej ofiarować wspaniały wieczór, tak? Pamiętaj, że dla niej jesteś gotowy na wszystko.

Kowboj wcale nie potrzebuje kasy, żeby zorganizować Katie Morris boską randkę. Jeśli zaczniesz lepiej komunikować się z ludźmi, zdobędzie ją fajną gadką. Bywa uroczy. Wystarczy, że zaczniesz nawijać.

Kowboj wstaje, dotyka kolan i wyciera łapy o spodnie. Lanser podchodzi i klepie go po ramieniu.

– Dostajesz kasę za randkę ze ślicznotką – tłumaczy. – Potem nie musisz do niej dzwonić.

Emma prychnie i wygładza ulubioną białą kurteczkę.

– Powiedział, co wiedział.

– *Moi?* – Lanser z chępliwym uśmiechem dźga się palcem pod żebro. – Do mnie mówisz?

– Widzisz tu innego kretyna? – Emma unosi brwi. – Ty zadzwoniłbyś do panny pięć sekund po zakończeniu randki. Nie waż się protestować.

– Skąd wiesz, co bym zrobił, a czego nie? – pyta Lanser. Kąciki jego ust drżą lekko, jakby krył uśmiech. Czyżby flirtowali?

Emma ogląda paznokcie i zerka na mnie, lekko spłoszona. Taką minę widuję u niej tylko na klasówce.

– Która godzina? Prawdziwy dżentelmen zawsze jest punktualny.

– Pora ruszać. Jesteś gotowy? Kowboju, do dzieła!

Kowboj osuwa się na kanapę. Siedzi z głową między kolanami,

próbując złapać oddech. Kiedy patrzę, jak się męczy, najchętniej odwołałabym lipną randkę. Biedak panikuje bardziej, niż sądziłam; nie chcę przysparzać mu cierpień.

Gdy podnosi głowę, minę ma stanowczą.

– Wszystko gra. Bierzmy się do roboty.



Minęła północ. Emma i ja marzniemy na podjeździe przed domem Kowboja, czekając na jego powrót. Lampa świecąca nad garażem rzuca na nas snop światła. Ocolica jest cicha. Panuje niesamowity spokój. Naciągam na uszy czarną czapkę i podskakuję, żeby się rozgrzać. Emma wysyła SMS, uśmiechając się tajemniczo. Czyżby znów gawędziła z Kevinem? Nie pytam.

Przed dwudziestoma minutami Kowboj wysłał krótką wiadomość: KONIEC. WRACAM. Nie wiem, jak to rozumieć. Informacja jest lakoniczna, bo Kowboj chce osobiście przekazać nam dobre nowiny... albo odwlec przekazanie hiobowych wieści. Mam nadzieję, że lipna randka się udała – bardziej ze względu na Kowboja niż dla dobra firmy.

Zza zakrętu widać blask reflektorów, potem słyszymy głośny warkot silnika starego pikapa, którym jeździ Kowboj. Zarumieniona Emma chowa telefon do kieszeni płaszcza. Gdy auto skręca na podjazd, Emma rzuca się ku drzwiom od strony kierowcy i otwiera je, nie czekając na wyłączenie silnika.

– Mogę zaparkować? – pyta opryskliwie Kowboj.

Emma odskakuje, nie zatrzymując drzwiczek.

– Jasne, jasne – rzuca bez tchu. – Rób swoje.

Kowboj mamroce, wrzuca na luz i wyłącza silnik. Ociąga się z wysiadaniem. Jego oddech zmienia się w biały obłok. W półmroku trudno rozpoznać minę.

– Witaj w domu! – wrzeszczy Emma.

– Cicho – szepce Kowboj, przechodząc obok nas. – Pobudzisz sąsiadów.

Emma rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie. Lepiej sama z nim pogadam. Biorę głęboki oddech i ruszam za Kowbojem do frontowych drzwi. Emma zostaje w tyle.

Wchodzimy na werandę. Kowboj wyciąga klucz.  
– I co? Jak było? – pytam cicho.  
Uśmiecha się niechętnie.  
– Świetnie mi poszło – odpowiada zduszonym głosem. – Wszyscy dali się nabrać. Przez cały wieczór udawałem George’a.  
– Naprawdę? – Chwytam go za łokieć. – Jeśli coś nie wyszło...  
– Było lepiej, niż planowaliśmy. – Kowboj patrzy na klucz, którym gmera w zamku. – Po prostu idealnie.  
– Śmielej myślisz o Katie Morris? – Daremnie próbuję go rozszyfrować. Może wściekł się z innego powodu? Albo mnie okłamuje.  
– Miałeś sposobność poćwiczyć...  
– Buła, naprawdę jestem wykończony – przerywa mi znowu. – Udawanie kogoś innego jest wyczerpujące. Nie martw się. Pełny sukces. Twoja firma nie ucierpi.  
Otwiera drzwi, żegna się ze mną i znika. Gaśnie światło na werandzie. Przez kilka chwil stoję w ciemnościach. Słyszę stukot obcasów podchodzącej Emmy.  
– I co? Firma przetrwa? – szepce współniczka.  
– Chyba tak – odpowiadam niepewnie. Powinna zapukać i zmusić Kowboja do zwierzeń, ale Emma klepie mnie po plecach i chichoce z radości. Nie chcę jej popsuć humoru. Wracamy razem do mojego domu, żeby napychać się pysznościami i malować pazurki.  
Mam nadzieję, że Kowboj jest po prostu zmęczony.



W poniedziałek rano koleżanki z liceum witają się ze mną i pytają, co słyhać. Dostaję zaproszenia na kilka imprez. Przestałam być nową z romantycznym nazwiskiem. Jestem teraz świetnie prosperującą bizneswoman. Mam siatkę znajomych.

Postanowiłam dać Kowbojowi chwilę oddechu. Nadal nie wiem, co się wydarzyło podczas lipnej randki. Carrie nie daje znaku życia, więc zakładam, że wszystko się udało. Jestem dziś spóźniona, więc gdy docieram do swojej szafki, korytarz pustoszeje. Słyszę dzwonek, więc klnę i przyspieszam kroku. Nagle otwierają się drzwi łazienki. Zaskoczona upuszczam podręczniki.

Gdy sięgam po książkę do francuskiego, czarny obcas wbija się w okładkę. Zaskoczona podnoszę wzrok i widzę Carrie Sanders, która patrzy na mnie z góry. Jedwabiste ciemne włosy opadają jej na twarz. Ze zdziwieniem stwierdzam, że się nie uśmiecha.

– Możemy pogadać? – Nie cofa nogi i nadal przyszpila do podłogi mój podręcznik.

– Co jest? – Wstaję pełna obaw. Serce mi wali.

– Oddaj kasę – syczy, ściskając w objęciach kilka książek. Złość wykrzywia jej twarz.

– Kowboj powiedział, że randka się udała. – Zaskoczona mrugam powiekami.

– Ten twój dziwak całkiem mnie pogrążył. – Carrie przewraca oczyma. – Siostra zatruje mi życie.

– Po pierwsze, Kowboj wcale nie jest dziwakiem – odpowiadam, próbując zachować spokój. – Po drugie, co się stało?

– Pamiętasz? Moje wymagania nie były wygórowane. – Carrie wkręca obcas w okładkę. – Prosiłam o chłopaka, który nie przeklina, umie odpowiedzieć na proste pytania i jest w stanie udawać George'a, czyli chłopaka, który gładko nawija. Twój kolega przez cały wieczór wypowiedział jedenaście słów. Policzyłam! Jednym z nich był wyraz „kurde”.

– Aha. – Jęczę głucho, nie wiem, co jej odpowiedzieć.

Przeczuwałam, że Kowboj zawalił sprawę, ale wołałam dać mu spokój.

– A... pozostałe słowa?

– Właściwie. Nie. Nazywam. Się. George. Mam. Na. Imię. Justin.

Przepraszam.

Cofam się jak pod naporem wścieklej wichury.

– Ach tak.

– Właśnie – syczy Carrie.

– Przepraszam – mamrocę. – Rzecz jasna, oddam ci kasę.

Ze wstydu palą mnie policzki, gdy podchodzę do szafki. Carrie depce mi po piętach. Otwieram drzwi i grzebię w torbie, szukając portfela. Kowboj był chyba totalnie porażony i dlatego nie pchnął SMS-a z prośbą o pomoc ani do Emmy, ani do mnie. W głowie mu to



nie powstało. Byłam głupia, biorąc milczenie za dobry omen. Sądziłam, że chłopak panuje nad sytuacją. Po co ja go posłałam na tę głupią randkę?

Carrie chowa odzyskaną kasę do kieszeni.

– Masz nas pewnie za debilki, które można doić bez skrępow, co?

Odchodzi, nie czekając na odpowiedź. Czarne szpilki stukają o podłogę. Przez kilka chwil stoję nieruchomo i cała drzę. Przedwcześnie uznałam, że koleżanki uznały mnie za swoją. Sama jestem żałosna.



Po lekcjach wstępuję do Kowboja. Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw. Jego mama wpuszcza mnie do środka. Oczy ma podkrążone, otula się niebieskim szlafrokiem. Według Kowboja po rozwodzie wpadła w depresję. Prawie się do mnie nie odzywa.

Kowboj i Lanser siedzą w piwnicy oświetlonej słabo blaskiem telewizyjnego ekranu. Grają w *Mario Kart*. Nie ma tu żadnych mebli, więc siedzą na dywanie, który wciąż pachnie nowością. Tata Kowboja chciał urządzić w piwnicy megabawialnię, ale nie zdążył, bo się wyprowadził. Udało się tylko odnowić piwnicę, położyć nowy dywan i zainstalować stary telewizor.

Zatrzymuję się na ostatnim schodku i obserwuję kumpli, urażona, że zabawiają się po lekcjach bez Wodnika i beze mnie. Lanser w końcu dostrzega, że przylazłam.

– Cześć, Buła.

– Heja. – Macham ręką na rozżalenie i siadam obok niego. Kowboj unika mojego wzroku. Uporczywie wpatruje się w telewizor.

– Chyba wiesz, po co przyszłam – mówię.

– Przepraszam! – wrzeszczy Kowboj, odkładając dżojstik. – Nie potrafię udawać jej chłopaka i tyle!

– Trzeba było mnie wynająć – rzuca Lanser, nie przerywając gry.

– Co poszło nie tak? – Wyczekująco patrzę na Kowboja.

– Powinienem od razu odmówić. – Kowboj kręci głową. Znowu się czerwieni. – Przepraszam. Myślałem, że dam radę. Wydawało mi się, że to będzie dobre ćwiczenie, swoista rozgrzewka. – Milknie na chwilę i marszczy brwi. – Myliłem się.

– Koleżanki myślą, że chcę je oskubać – mówię drżącym głosem. – Podejrzewają, że się z nich nabijam i tak dalej.

– Chodzi ci przecież o kasę, tak? – Lanser stopuje grę i wpycha do ust garść chipsów.

Nie do wiary! Skąd ten pomysł? Ani mi to w głowie.

– Mam firmę. Zaspokajam cudze potrzeby.

– Dlaczego martwisz się, co te panny myślą na twój temat? –

Lanser cmoka. – Za parę miesięcy znikniesz stamtąd i zaczniesz studia. Nic cię z nimi nie łączy.

– Martwię się i koniec, jasne? – Wzdycham, gapiąc się na błękitny dywan.

– Wspaniała odpowiedź – mówi Lanser i klepie Kowboja po ramieniu. – Ocknij się, stary. Zwycięstwo mnie nie kręci, jeśli się nie starasz.

Kowboj sięga po dżojstik. Wracają do gry, jakby mnie nie było. Z roztargnieniem obserwuję ich przez kilka minut. Myślami jestem gdzie indziej. Od początku czułam, że nie pasuję do renomowanego liceum dla dziewcząt z dobrych domów. Przeczynałam, że ta zmiana jest pomyłką. Zostałam tam wrzucona z powodu kretyńskiego wybryku. Nie dam rady doskoczyć do poziomu tamtych panien. Nie będę nigdy jedną z nich. Daremnie staram się poznać dziewczynską stronę swojej natury. Gdyby mi się udało, jeszcze bardziej oddaliłabym się od chłopaków. Obserwując Lansera grającego z Kowbojem, uświadamiam sobie, że nic na to nie poradzę. Tak jest i tyle.

Stoję i patrzę na nich zmrużonymi oczyma. Nic sobie nie robią z dyskretnych oznak dziewczęcej złości. Dlatego wychodzę.



## Rozdział siedemnasty

K owoj zrezygnował. Lanser i Wodnik mają zbyt mało czasu, żeby we dwóch zaspokoić popyt na nasze usługi. Potrzebujemy więcej chłopaków. W najbliższej przyszłości Emma i ja planujemy zatrudnienie kilku nowych pracowników. Pierwszym będzie Jason, starszy brat Lansera, który ostatnio postanowił zrobić sobie przerwę w studiach. Ma sporo wolnego czasu i wydaje się wiarygodny. Drugim kandydatem jest Henry Gardner z mojej dawnej szkoły, który w ubiegłym roku przeniósł się tu z Alabamy. Przez moment sądziłam nawet, że Henry dołączy do naszej ferajny, ale spiknął się w końcu z inną paczką. Jest przemiły i ma cudny akcent południowca. Duży plus.

W Wigilię Bożego Narodzenia siedzę na podłodze w swoim pokoju, dopracowując najnowszy pomysł reklamowy: folder z profilami młodych dżentelmenów. Panny z żeńskiego liceum zainteresowane naszymi usługami otrzymają wkrótce indywidualne charakterystyki potencjalnych randkowiczów, podobne do folderów uczelni werbujących studentów. Każda zawiera fotkę chłopaka, jego terminarz, wyjątkowe atuty zgodne z oczekiwaniami klienteli. To nam pomoże uniknąć problemów z harmonogramem; ponadto satysfakcja gwarantowana. Dotychczas musiałyśmy z Emmą dopasowywać chłopaków do oczekiwań klientek; teraz same będą wybierały odpowiedniego kandydata.

Ukośne promienie słońka, zimą rzadko oglądane, sączą się szparami w roletach, oświetlając fotki chłopaków ułożone wokół mnie. Przyglądam się zdjęciu Wodnika, bawiąc się tasiemkami workowatych czarnych dresów. Do twarzy mu w smokingu. Wygląda rewelacyjnie. Totalny odlot.

Dla niepoznaki wkładam foldery do kopert z adresami renomowanych uczelni. Każdemu z chłopaków przypisałam miejsce

symbolizujące atuty, jakich klientka może oczekiwać na randce.

Lanser – Yale.

Wodnik – Uniwersytet Purdue.

Jason – uniwersytet stanowy w Vermoncie.

Henry – uniwersytet stanowy Missisipi.

Podnoszę wzrok znad fotki Wodnika i wkładam jego folder do koperty z adresem Uniwersytetu Purdue. Mnóstwo ulotek leży na podłodze. Wodnik jest wszędzie. Patrzy na mnie, lekko uśmiechnięty. Słyszę pukanie do drzwi. Wpycham papierzyska pod łóżko i pospiesznie otwieram laptop. Mama wchodzi do pokoju, szurając po dywanie puchatymi kapciami.

– Wesołych świąt! – woła.

– Święta są jutro – mówię. Serce mi wali. Omal mnie nie przyłapała. – Sprawdź w kalendarzu.

Mama bawi się troczkami dresów. Tak samo jak ja.

– Zejdź na dół – piszczy. – Twój prezent dostarczono przed czasem, moja studentko.

– Trochę się zagalopowałaś. Najpierw muszę skończyć liceum.

– Wyluzuj. Masz indeks w kieszeni – odpowiada mama. Wyciąga rękę i gładzi mnie po włosach. – Ale to nie oznacza, że do końca roku szkolnego możesz się objąć.

Wybucham śmiechem.

– Oj, matulu! Zaraz pęknę ze śmiechu. W mojej szkole nie da się spocząć na laurach, i nic tego nie zmieni. – To mi przypomina, że mam do odrobienia pracę domową z angielskiego.

Mama chwyta mnie za rękę. Nie może usiedzieć spokojnie.

– Muszę ci coś pokazać! Zejdź na dół, bardzo proszę. Ustąp starej matce.

Wstaję z ciężkim westchnieniem, podciągam suwak polaru i patrzę na nią wymownie.

– Przesadziłaś ze słodkimi napojami i teraz cię nosi, co?

Stoję teraz zziębnięta na werandzie. Śnieg wpadł mi do kapci. Gapię się na srebrzystego forda focusa; jego maskę zdobi ogromna czerwona kokarda. Stojąca z tyłu mama kładzie mi ręce na ramionach. Czuję, że z radości drży.

Brian potrząsa mi przed nosem kluczykami. Chwytam je, zbita z tropu i czuję chłód metalu.

– Wesołych świąt. – Brian uśmiecha się i poprawia baseballówkę ulubionej drużyny.

– Co to ma być? – pytam, spoglądając na samochód za jego plecami.

– Twoje nowe auto, jak sądzę – odpowiada mama, zacierając ręce, żeby się rozgrzać.

Gapię się na kluczyki. Obserwuję auto. Znow przyglądam się kluczykom. Najwyraźniej jestem w szoku. Stoję jak słup soli. Mowę mi odjęło.

– Powiedz coś – mama szepce mi do ucha. – Wykrztuś przynajmniej „dziękuję”.

– Zajrzyj do środka – mówi Brian i otwiera drzwi od strony kierowcy. – Pachnie nowością. To bezcenne.

– Nie rozumiem – udaje mi się wykrztusić. – Gdzie maxima?

– Dostałaś w prezencie samochód – śmieje się mama. – Nówka sztuka. Lśniący i śliczny.

– Myślałam, że maxima jest w warsztacie. – Mam gulę w gardle. Maxima należała do taty, potem ja ją dostałam. Była częścią mnie. Na tylnym siedzeniu woziłam brudne ciuchy. Po podłodze walały się opakowania po śmieciowym jedzonku.

Mama podchodzi do Briana i obejmuje go w pasie. Mdli mnie, kiedy się tak kleją.

– Brian doszedł do wniosku, że potrzebujesz nowego samochodu – tłumaczy – a ja przyznałam mu rację.

– Należy ci się niezawodna maszyna – dodaje Brian, zacierając ręce. – Nowe auto jest najlepszym rozwiązaniem, skoro w przyszłym roku zaczynasz studia. Nie możemy pozwolić, żebyś opuściła stan przechodzonym gruchotem.

Wiem, jak powinnam zareagować – tak samo jak po usłyszeniu nowiny, że będę chodziła do renomowanego żeńskiego liceum. Należy okazać wdzięczność, krzyczeć z radości pod niebiosa i zapytać przymilnie, czy mogę natychmiast wskoczyć za kółko i zaliczyć jazdę próbną. Należy uściskać Briana, podziękować mu stokrotnie i zasypać

komplementami.

Nie czuję takiej potrzeby. Nic z tych rzeczy.

Kluczyki padają na ścieżkę. Mama coś mówi, ale nie słucham. Wiatr porywa jej słowa. Brian próbuje załagodzić sytuację, ale nie zważając na jego wołanie, gnam przez trawnik, kłapiąc papuciami o zmarzniętą ziemię.

– Toni Valentine! – Mama odzyskuje werwę i krzyczy wkurzona: – Wracaj natychmiast!

Okrażam sąsiedni dom i wślizguję się przez okno do piwnicy. Łzy płyną mi strumieniami.



Opieram się o zapleczek żółtej kanapy i podciągam kolana pod brodę. Trudno wyczuć, dlaczego mama nie zaciągnęła mnie jeszcze do domu. Wie, gdzie jestem. Przygnałam tu po usłyszeniu nowiny, że przenoszę się do nowej szkoły. W piwnicy Garrych zaszyłam się na wieść o wypadku taty, który wpadł w poślizg na autostradzie. Przygniótł go motocykl.

Nowe auto jest najlepszym rozwiązaniem. Tak powiedział Brian. Niezawodna maszyna. Przeciwieństwo motocykla czy starego grata. Nie liczy się dawne życie i tata-nieboszczyk. Słyszę kroki. W pierwszej chwili ogarnia mnie strach, że rozwalam Amy kolejne spotkanko z nowymi koleżankami. Na szczęście zjawia się Wodnik, siada obok i podtyka mi pudełko lodów. Drugie stawia na swoim kolanie. Gmeram łyżeczką w słodkiej brei, ale nie mam apetytu. Wodnik milczy, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że wie, co się stało.

– Kto by się nie cieszył z nowego samochodu? – pytam, kręcąc głową. – Jestem do niczego.

– Nieprawda. – Wodnik skubie sznurowadła. – Twój wybuch nie dotyczył auta. Nie wprost.

Lody w moim pudełku ogrzewają się i topnieją.

– Proszę mnie oświecić, panie doktorze.

– Alergia na zmiany. – Wodnik podjada mi lody. – Brian nie zastąpi ci taty. Wątpię, żeby próbował.

– Wiem. – Mama wciąż mi to powtarza. Brian nie zastąpi mego

taty. Ani jako ojciec, ani jako mąż. Jej związek z Brianem jest inny. Nowe otwarcie.

– Lubiłam stare autko – tłumaczę. – Znam je jak zły szeląg. Przywykłam, że cuchnie potem i brudnymi skarpetkami. Nienawidzę zapachu nowego samochodu. Zalatuje sztucznością. Jest bezosobowy. Moja staruszka pachniała codziennością. Poszło właśnie o samochód, Wodnik, nie o duchowe rany spowodowane śmiercią ojca i zmianami w życiu matki, do których sama najwyraźniej jestem niezdolna.

– Nie mam smykałki do terapii. Studiowanie psychologii odpada.

– Co ja plotę? – Odstawiam pudełko z lodami. Wodnik je przejmuje i zaczyna pałaszować. – Marudzę z powodu nowego samochodu, choć ty zaharowujesz się, żeby zarobić na studia. Jestem beznadziejna. Jak ty ze mną wytrzymujesz?

Wodnik drapie zarośnięty policzek i odwraca wzrok. Szyja mu czerwienieje.

– Mam swoje powody.

– Mogę sprzedać nową furę – rzucam śmiało. – Kasy starczyłoby na chesne za pierwszy rok nauki, książki i akademik.

– Przede wszystkim powinnaś przeprosić mamę. – Wodnik uśmiecha się szeroko, z sympatią, bez politowania. – Briana też. Przejrzałem cię. Sama o tym myślisz.

Wzdycham. Ma rację. Rękaw granatowego swetra ma ubabrany lodami, ale tego nie dostrzega.

– Wiedziałam, że to powiesz – mówię, kciukiem ścierając kroplę lodów z dzianiny.

– To lepsze niż napięta atmosfera w twoim domu. – Wodnik dojada lody i przysuwa się bliżej. Zerkam na nasze złączone ramiona i robi mi się gorąco.

– Mogę cię prosić o przysługę? – mamrocę, podnosząc wzrok. Korci mnie, żeby pogłaskać jego zarost.

– Dla ciebie wszystko. – Pochyla głowę. Lśniące ciemne oczy patrzą czule.

– Podwieszysz mnie?

Po jego twarzy przemyka wyraz zawodu. Gdy odsuwa się, macam rozgrzane ramię. Wodnik zabiera pudełka po lodach. Rozczarowanie

ustępuje miejsca uśmiechowi.

– Oczywiście – mówi.



Kłęczę na zmarzniętej ziemi i przesuвам palcami po lśniącej płycie nagrobnej. Wodnik otula się starą puchową kurtką i naciąga znoszoną czapkę. Nucę hit Johnny'ego Casha, a wiatr porywa dźwięki. Próbuję sobie przypomnieć postać taty: ciemne włosy sięgające policzków i przewiązane bandaną, gładko ogolona, pociągła twarz. Był wysoki, zabawny, szalony. Miał szare oczy podobne do moich.

Co miesiąc mama przynosi na grób świeże kwiaty. Teraz zdobi go czerwona róża. Od czasu do czasu pojawia się nowa bandana. Dziś jest niebieska. Nie mam pojęcia, kto je przynosi.

– Tajemniczy gość znowu się pojawił – mówię, wstając. Chętnie wzięłabym Wodnika za rękę, ale obawiam się, że zrozumiałby to opacznie. Na domiar złego jestem bliska płaczu. Ale obciach.

Daremnie próbuję powstrzymać łzy. Odwracam się do Wodnika plecami i rękawiczkami ocieram policzki. Zwierzam się tablicy grobowej ojca.

– Nie chodziło o samochód. – Głos mi drży, więc szybko kończę wyznanie. – Każda kolejna zmiana: nowa szkoła, nowa znajomość, nowy samochód i tak dalej sprawia, że tata coraz bardziej mi się wymyka. Jego obraz jest rozmyty. Boję się, Wodnik, że o nim zapominam, jakby wspomnienia unosił szybki nurt, za którym nie nadążam.

Wodnik ściska moje ramię. Jego dotknięcie sprawia, że dreszcz przechodzi mi po plecach.

– Ja tu jestem, Toni.

Czasami mam wrażenie, że Wodnik też się oddala. Może dlatego tak mnie wzburzył buziak wymuszony przez Emmę. Coś się zmieniło, kiedy ją całował. Ta zmiana jeszcze bardziej oddaliła mnie od taty, dla którego nie byłam uczennicą żeńskiego liceum, młodą damą akceptującą swą dziewczyność i uczącą się wyrażać uczucia. Znał mnie jako Toni, małą chłopczycę z kościstymi kolankami.

– Obiecuj, że między nami nic się nie zmieni. – Staję z Wodnikiem twarzą w twarz i wycieram rękawem zasmarkany nos. Ohyda. –



Niezależnie od tego, co się stanie w przyszłym roku.

– Co się wtedy może stać? – mówi, przekrzywiając głowę na bok. W jego głosie pobrzmiewa niepokój. – Mamy plan, dobrze mówię? Ty, ja i nasz uniwersytet stanowy.

Nie wiem, czemu nie powiedziałam mu o liście z uczelni w Indianie. Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji, więc unikam tego tematu.

– Po prostu obiecaj, że nic się nie zmieni – powtarzam, robiąc krok w jego stronę. – Zgoda?

Wodnik patrzy na swoje trampki i kopie grudkę ziemi. Potwór wyrysowany na płótnie zaczyna blednąć. Wodnik długo milczy.

– Tak. Obiecuję – mówi w końcu.



## Rozdział osiemnasty

Po powrocie do domu bez entuzjazmu przepraszam mamę i Briana. Mówię szczerze. Na szczęście nie pozbyli się od razu nowego auta. Naprawdę jestem im bardzo wdzięczna za taki prezent. Brian nie powinien cierpieć z powodu moich osobistych problemów. Stara się chyba nawiązać kontakt. Próbuję uniknąć banalnego konfliktu z ojczymem, choć facet działa mi na nerwy. Może z czasem zobojętnieję. Albo nie.

Nowy rok witam z mamą i Wodnikiem, który dziś wyjątkowo zrobił sobie wolne i zrezygnował z lipnej randki. Zasłużył na odpoczynek. Oglądamy świąteczne filmy, bez których mama i ja nie wyobrażamy sobie Gwiazdki oraz sylwestra. Wodnik pogodził się z naszym wyborem, ale wzdycha od czasu do czasu na znak, że wolałby obejrzeć porządny horror.

Śnieg prószy za oknem. Zwijam się w kłębek na kanapie z miską popcornu i obserwuję siedzącego naprzeciwko Wodnika. Rozparł się w fotelu z dala od nas. Zaczynam podejrzewać, że zapuszcza brodę, bo zarost ma ciemniejszy niż dotąd. Kiedy na mnie patrzy, odwracam wzrok.

Ferie, ferie i po feriach. Gdy zaczyna się szkoła, czuje się u nas powiew świeżości i nowego ducha. Najmodniejsze buty stukają o parkiet, a lampy pod sufitem oświetlają mnóstwo świeżutkich balejaży. Idę korytarzem, bębniąc po książkach palcami o granatowych paznokciach, które zawdzięczam Emmie. Włosy mam rozpuszczone, gładkie i proste. Z nowym rokiem zmieniłam wizerunek. Co mi szkodzi? Jestem chyba ciut bliżej rozpoznania nieznanych stron mojej natury, czyli własnej kobiecości. Bzdura. Zmieniłam tylko fryzurę.

Wśród dziewczyn czuje się radosne ożywienie, bo zaczynamy kolejny etap naszego życia. Stało się. Ostatni semestr. Nerwy zżerają te

dziewczyny, które czekają na informacje z wybranych uczelni. Emma nie dostała jeszcze odpowiedzi.

– Jeśli nie dostanę się na Harvard, moje życiowe plany legną w gruzach – zwierza się, gdy wchodzimy do budynku. Zwykle oczekuje mnie na parkingu, z komórką w rękę, gotowa zająć się sprawami firmy „Wypożyczalnia dżentelmenów”. Dziś nie ma do tego głowy.

– W razie czego zmienisz życiowe plany – odpowiadam.

– Nic nie rozumiesz, Toni. – Emma przystaje, żeby nie wpaść na przykucniętą dziewczynę, która wiąże sznurowadło. Szybko mnie dogania i podejmuje wątek. – Harvard to jedyna opcja.

– Jesteś świetna. – Bagatelizuję jej obawy. Mijamy Carrie Sanders zmierzającą w przeciwnym kierunku. Na mój widok jej uśmiech znika. – Pójdiesz do Princeton. Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś w przyszłości zdobyła władzę nad światem. – Mówię szczerze. Emma ma w sobie moc.

– Tylko ukończenie Harvardu gwarantuje taką hegemonię. – Emma zasłania usta i beka dyskretnie, prawie niedosłyszalnie. Wybucham śmiechem. Emma mi wtóruje. – Dziękuję Opatrzności i wszelkim potęgom strzegącym rodzaju ludzkiego, że dzięki naszej firmie nie muszę ciągle myśleć o potencjalnym krachu moich planów – dodaje. – Co mi przypomina, że wczoraj dostałam SMS od potencjalnej klientki.

Cieszę się, że Emma zmieniła temat. Nie powinna tak się zamartwiać od samego rana. Zostanie przyjęta na Harvard, zajdzie na sam szczyt, a jej życie będzie pasmem sukcesów. Będzie super. Albo i lepiej. Chciałabym, żeby w to uwierzyła.

Inni mogą utknąć na Newbury Lane, niezdolni do podjęcia decyzji. Mam na myśli siebie. Nie potrafię wybrać uczelni: Purdue, UVM, Purdue, UVM; Indiana, Vermont, Indiana, Vermont. W obu stanach zimy są surowe. Proces decyzyjny to dołujące kłębowisko wątpliwości, choć przedtem sprawa wydawała się jasna. Czasami budzę się w środku nocy bez tchu, zlana potem, ponieważ lękam się, że dokonam złego wyboru lub rozczaruję kogoś – na przykład siebie.

– Nowa klientka – mówię, odsuwając na bok własne problemy. Otwieram szafkę. Emma opiera się o sąsiednią. – Zamieniam się w słuch.

– Będziesz w szoku. – Emma mruży oczy. – Wstrząsająca nowina.

– Mnie już nic nie zaskoczy – odpowiadam. – Widziałam Lansera w wieczorowym stroju, pamiętasz? Jestem uodporniona na niespodzianki.

– Lanser, czyli Luke. Tak, pamiętam. – Emma się rumieni. Muska palcami usta, a wzrok ma utkwiony w podłódze, jakby się miło rozmarzyła.

Żartobliwie pukam ją w czółko.

– Halo? Ziemia do Emmy.

Podnosi wzrok i kręci głową.

– Wybacz. Pogadajmy o interesach.

Wybrałam potrzebne książki, więc zamykam szafkę. Gwar w korytarzu cichnie. Dech mi zapiera, gdy Emma wyjawia dane potencjalnej klientki. Chyba się przesłyszałam.

– Shauna Hamilton – powtarza, ścisząc głos.

Coś mi tu nie pasuje.

– Podobno ma chłopaka, tego elegancika z Connecticut.

– Zgadza się – szepce Emma, jakby to był wstydlivy sekret.

– W takim razie co jej po nas? Prowadzi idealne życie – odpowiadam, tuląc podręczniki do piersi. – Na spotkaniach szkolnej grupy wsparcia Shauna Hamilton chełpi się ciągle swym cudnym życiem.

– To kolejna zagadka – krzywi się Emma. – Nie wyjaśniła, dlaczego chce wynająć chłopaka. Wysłała mi tylko SMS z pytaniem, czy prawdą jest sugestia Lemon, że wynajmujemy przystojniaków dziewczynom w potrzebie, że się tak wyrażę. Potwierdziłam i zadałam parę konkretnych pytań, ale nie odpowiedziała.

W korytarzu pozostało zaledwie kilka uczennic. Powinnyśmy natychmiast biec do klasy.

– Może chce wzbudzić zazdrość Ryana albo coś w tym rodzaju? – rzucam na chybił trafił. Trudno wyczuć, o co chodzi Shaunie.

– Całkiem prawdopodobne. Jest nadziana i skryta, ale tego nie możemy jej odmówić. – Emma unosi komórkę. – Wciągnęłam ją na listę klientek. Ma ksywę Pachnidło.

Wybucham śmiechem.

– Ciekawe, jak to się skończy. Sądzę, że będzie okropnie kaprysiła.

Gdy idziemy korytarzem, próbuję odgadnąć, czemu dziewczyna taka jak Shauna Hamilton potrzebuje zasłony dymnej. Emma ma rację. Nie możemy jej odmówić. Na szczęście nasza firma nie upadła po wpadce z Carrie Sanders. Jason i Henry dobrze sobie radzą. Obaj zaliczyli kilka lipnych randek. Gdybyśmy odrzuciły Shaunę, cała nasza praca mogłaby pójść na marne.

Żegnam się z Emmą, która niefrasobliwie posyła mi w powietrzu całusa. Szkoda, że nie jestem taka jak ona: wytworność młodej damy, łagodna słodycz. Mniejsza o skrzyżowane kostki. Byłam, jestem i będę niezdarą. To u nas rodzinne. Mama też tak ma. Wolę takie podobieństwo od jej obsesji na punkcie prania.

Zdumiewające, że tak łatwo wpadłam po feriach w szkolną rutynę. Dawniej bardzo mi ciążyła, a teraz lekcje mijają bezboleśnie; zero paniki. Dzionek wydaje się przyjemny... aż do chwili, gdy Emma po obiedzie przyzywa mnie skinieniem do łazienki na pierwszym piętrze.

– Co się dzieje? – Czuję mocną woń cytryny bijącą od lśniącej kafelkowej podłogi.

– Za dwie sekundy Shauna Hamilton wejdzie tymi drzwiami – szepce Emma.

– Robisz za wróżkę? – rzucam kpiąco. – Mam nadzieję, że wspomniałaś o tym w dokumentach posłanych do Harvardu. Jestem pod wrażeniem.

– W SMS-ie od niej było napisane, że mamy się tu spotkać, bo inaczej... Myślisz, że powie dyrekcji o naszej firmie? – pyta Emma piskliwym głosem.

Mało wiem o Shaunie i jej rzeczywistych pobudkach. Do dziś była w moim życiu postacią drugoplanową, gadułą ze szkolnej grupy wsparcia. Po pierwsze, nie miałam ochoty słuchać w kółko rewelacji o pachnącym elegancie Ryanie; po drugie, patrzyła na mnie jak na szkolne popychadło niewarte uwagi.

Co zyskałaby, wydając nas dyrekcji? Jaka spadłaby na nas kara? Czy rozkręcenie firmy organizującej lipne randki jest niezgodne z prawem? Zamkną mnie w więzieniu? Emma straci przeze mnie szansę studiowania na Harvardzie? Zmarnuję swoją przyszłość? Wodnik będzie miał kłopoty? Trzeba będzie zwrócić zarobione pieniądze?

Przez chwilę mam wrażenie, że wszystko się wali.

Moja nowa przyjaźń z Emmą.

Moja długoletnia przyjaźń z Wodnikiem.

Moja sztama z chłopakami.

Moje życie.

Otwierają się drzwi łazienki. Emma zaciska usta na widok wchodzącej Shauny, która w prawej dłoni trzyma zwiniętą kopertę.

– Dzień dobry – mówi z fałszywym uśmiechem przyklepionym do twarzy. Nie spostrzegłam wcześniej, że nosi przezroczysty aparat na dolnych zębach.

– To nie tak – zbieram się na odwagę. – Nie możesz po prostu...

Shauna rzuca kopertę na lśniący czystością blat i mówi:

– Chcę tego chłopaka.

Rzut oka na kopertę. Uniwersytet Purdue. Wodnik. Chce Wodnika. Ogarnia mnie wściekłość. Nie dostanie go. Ani na niby, ani w realu.

– Dobra uczelnia. – Zaciskam zęby. – Mają znakomite studia inżynierskie.

– Wiem o waszej firmie. – Shauna krzyżuje ramiona na piersi. – Wszyscy wiedzą. Nie kombinuj.

– Kto tu kombinuje?

Shauna rzuca mi przeszywające spojrzenie, jakby chciała telepatycznie wstrzymać u mnie akcję serca. Wzdycham i zaglądam do kabin, sprawdzając, czy nie jesteśmy podsłuchiwane. Emma na wszelki wypadek dodatkowo kopie w drzwi pantofelkiem na szpilce, a potem staje przy wejściu na straży, nerwowo zerkając na komórkę.

– Znasz „Podziemny krąg”? W mojej firmie obowiązują takie same zasady, Hamilton – mówię z naciskiem. – Po pierwsze, trzymaj język za zębami. Zwłaszcza w szkole.

– Co to jest „Podziemny krąg”? – pyta gniewnie Shauna. Dopiero teraz widzę, że zęby ma żółtawe.

– Zaraz ci pokażę. – Podwijam rękawy granatowego swetra, ale Emma rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, więc spuszczam z tonu.

– Wszystko się wali – mówi Shauna podniesionym głosem. – Nie mam czasu na takie gierki.

– Co mnie to obchodzi? – pytam, mocno zirytowana.

Shauna zaciska zęby i drapie się po łokciu, a potem mówi niepewnie, cedząc słowa:

– Wiesz, kim jest mój ojciec? To wzięty adwokat, największa szycha w całym stanie. Jeśli mu powiem, że niejaka Toni Valentine organizuje dziewczynom z naszego liceum męskie towarzystwo, natychmiast wpakuje cię za kratki, więc nie podskakuj.

Ale numer! Panna ma tupet. Emma wstrzymuje oddech i patrzy na mnie, czekając, jak zareaguję. Proszę bardzo. W jasnym blasku żarówek klopa banalnie pachnącego cytryną urzeczywistnia się nasz koszmar.

– Nie jestem podatna na szantaż. – Uśmiecham się fałszywie, aż mięśnie twarzy zaczynają mnie boleć.

– Dostaniecie mnóstwo kasy. – Shauna odrzuca rude loki. – Będę miała spaprany dzień, jeśli teraz nie załatwię tej sprawy. Muszę zyskać pewność, że dostarczycie mi obstawę na przyszły weekend.

Spoglądam na Emmę, która wzrusza ramionami i zaciera ręce, jakby chciała dać do zrozumienia, że liczy się kasa. Chętnie odprowadziłabym z kwitkiem Shaunę Hamilton, ale spełnię jej żądanie, bo nie brak mi zdrowego rozsądku.

– Przestań się tak wydzierać. I buzia na kłódkę. Nikomu ani słowa, bo inne klientki uznają, że bywam ustępliwa.

Shauna oddycha z ulgą i zniża głos do szeptu:

– Co roku organizujemy rodzinny wypad na narty. Mój chłopak Ryan zapewniał, że ze mną pojedzie, ale nie może spełnić obietnicy. Jest uziemiony. Jego tata miał operację, nie znam szczegółów. Rozpaczliwie potrzebuję chłopaka na tę narciarską wyprawę.

Prawie mi mowę odjęło.

– Jak się czuje tata Ryana?

Shauna dziwnie mi się przygląda.

– Co? Dobrze. To jakiś rutynowy zabieg. Nic szczególnego. Możesz zaklepać mi na weekend tego faceta z ulotki czy nie?

– Nasza firma organizuje tylko lipne randki – odpowiadam.

Zza drzwi słychać kroki. Wszystkie milkniemy. Gdy cichną, Emma otwiera drzwi, wygląda na korytarz i unosi kciuk. Wszystko w porządku, ale trzeba się pospieszyć.

– Za prawdziwe uczucia nie muszę płacić – mamroce Shauna,

przewracając oczami. – Co roku jeździmy na narty z Mayhewami, wredną rodziną, która od zawsze płacze mi się po życiorysie, bo podczas studiów mama należała do tego samego stowarzyszenia co pani Mayhew. Ben, jej syn, ma bzika na moim punkcie. Jeśli przyjadę bez chłopaka, będzie za mną laził jak cień. Jest natrętny, żaloszny, irytujący. Czekają mnie katusze, jeśli nie znajdę faceta, który go zniechęci. Potrzebuję zasłony dymnej.

– Przez cały weekend?

– Na sobotę i niedzielę, z noclegiem. Ile to będzie kosztowało? – pyta. W jej głosie pobrzmiewa strach.

– Nie organizowałyśmy dotąd chłopaków na wyjazd z nocowanką.

– Emma robi notatki, pukając w komórkę.

– Narty. – Palcem wskazującym pocieram brodę. – Yale bardziej pasuje do tej wyprawy. Nasz chłopak z Yale rewelacyjnie śmiga na desce.

Shauna dźga paluchem kopertę z nadrukiem uczelni Purdue.

– Nie. Chcę tego faceta. Jest najprzystojniejszy.

– Moim zdaniem to błędny wybór... – zaczynam, skubiąc kciuk.

– Zapłacę każdą sumę. – Shauna podnosi głos. – Potrzebuję efektownego przystojniaka.

Dobrze słyszę? Zapłaci każdą sumę? Nawet równowartość chesnego za pierwszy rok nauki Wodnika? Z drugiej strony Lanser z pewnością byłby w tym wypadku lepszym kandydatem. Jak przekonać Shaunę? Ta dziewczyna wie, czego chce. Trzeba to przegadać z Emmą. Na osobności.

– Daj Emmie swój numer telefonu – mówię. – Na razie nie kontaktuj się ze mną. Lepiej nie wzbudzać podejrzeń dyrekcji.

Poza tym nie chce mi się z tobą gadać.

– Dam ci dwa tysiące dolarów.

Teraz mnie замуrowało. Wspomniała o tysiącach? Niebieskie oczy uradowanej Emmy robią się wielkie jak spodki. Koniec dyskusji.

Klaszczę w ręce, zacieram je i mówię:

– Sprawa załatwiona.





W drodze do domu uświadamiam sobie, że popełniłam błąd. Nim przyklepałam weekendową randkę, należało skontaktować się z Wodnikiem. A jeśli pracuje w przyszłą sobotę? Cholera.

Dzwonię dziesięć minut przed dotarciem do domu, żeby go ugłaskać, nim usłyszy ofertę. Wodnik niechętnie kombinuje ze zwolnieniami lekarskimi, lecz dwa tysiące to może być dla niego istotny argument.

Odbiera po drugim sygnale i mówi przyciszonym głosem.

– Cześć – rzucam. Humor natychmiast mi się poprawia, bo mam go na linii. – Obejrzymy horror dziś wieczorem?

– Wygląda na to, że oboje dzionek mieliśmy podobny – odpowiada z westchnieniem. Niemal czuję zapach cynamonowej gumy w powietrzu. – Dziś ja wybieram film.

– Skrupulant.

Nie przestaję się uśmiechać aż do samego domu.

Wpadam do środka, chwytam zgrzewkę coli z lodówki i mówię Brianowi cześć (proszę bardzo, staram się). Na dworze płatki śniegu lukrują na białą czubki uschniętych źdźbeł trawy. Gdy wślizguję się przez okno do piwnicy sąsiadów, Wodnik już czeka, siedząc na kanapie, ubrany w bluzę z kapturem i luźne spodnie od dresu. Uśmiecha się, a na jego widok od razu robi mi się ciepło na sercu.

W połowie domowego seansu „King Konga” przedstawiam dzisiejszą ofertę Shauny, pomijając groźbę, że wpakuje mnie za kratki (nieistotny szczegół). Z akcentem na wynagrodzenie. Początkowo Wodnik wygląda na zaciekawionego, lecz gdy przerywam, aby nabrać tchu, i pozwalam mu odpowiedzieć, mówi:

– Kurczę, nie.

– Ogłuchłeś? – pytam, sadowiąc się z podwiniętymi nogami. – Dwa. Tysiące. Dolarów.

Wodnik pociera zarost. Jeśli skóra wciąż go swędzi, czemu go nie zgoli? Prawdopodobnie z tej samej przyczyny, która sprawiała, że tygodniami nie goliłam nóg. Tak było, nim zaczęłam nosić spódnicę. Powodem było lenistwo.

– To dziwne, że panna zamierza wybulić tyle kasy za lipną randkę z nieznanym chłopakiem – tłumaczy Wodnik. – Ma jakiś problem?

Może to seryjna morderczyni?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Dobre pytanie. Kręcę głową.

– Nie widziałeś jej pazurów. Zawsze ma perfekcyjny manicure. To nie pasuje do psychopatki.

Wodnik przeciąga się i ziewa. Kanapa ugina się pod jego ciężarem, a siła bezwładności pcha nas ku sobie. Gęsty mrok wlewa się przez piwniczne okno. Siedzimy po ciemku, oświetleni jedynie migotliwą poświatą ekranu telewizora. Skupiamy się na oglądaniu filmu.

– Nienawidzę tego fragmentu – mówię, podciągając skarpetki. Ludziki na ekranie wiążą King Konga. Smutno mi, gdy odrywają go od wszystkiego, co znał. Kryję twarz na ciepłym ramieniu Wodnika, wdychając zapach jego bawełnianej bluzy. – Wiesz, że zawsze ryczę podczas tego filmu.

– Prześlicznie dziś wyglądasz – szepce Wodnik. Telewizor cichnie. – Masz ładne włosy. Pachną cytrusami.

Przez moment rozkoszuję się ciepłymi słowami. Ty pachniesz wanilią, odpowiadam w myśli, i to jest najmiłsza, najcudowniejsza woń, jaką znam. Szybko się reflektuję, wiercę lekko i odsuwam od przyjaznego ramienia. Siadając prosto, muskam policzkiem szorstki zarost. Przysięgam, że temperatura skacze mi o parę stopni. Umykam w róg kanapy i chrząkam. Co tu się dzieje, kurczę blade.

– Nie zmieniaj tematu – mówię, chichocząc dla niepoznaki.

Wodnik mości się jak kot szukający najwygodniejszej pozycji do odpoczynku.

– Wezmę to zlecenie pod jednym warunkiem – mówi.

Elegancko krzyżuję nogi w kostkach, żeby wyglądać niczym wytworna bizneswoman. Ubijamy przecież interes.

– Wal śmiało.

Wodnik posyła mi boski uśmiech. Mam przecucie, że wpakowałam się w aferę, z której nie zdołam się wypłatać.



## Rozdział dziewiętnasty

Warunek postawiony przez Wodnika spowodował, że teraz wśród drzew przyprószonych śniegiem i potężnych gór wyciągam bagaż Shauny Hamilton z ogromnej terenówki jej rodziców. Moja skromniutka płócienna torba pałęta się wśród markowych walizek Shauny, które są pewnie więcej warte od wszystkich moich ruchomości razem wziętych. Upuściłabym cenny ładunek, gdyby nie pomocna dłoń, która złapała z tyłu za uchwyt.

– Co ona tam ma? Poćwiartowane zwłoki? – szepce Wodnik. Jego oddech owiewa mi twarz. Powstrzymuję uśmiech.

– Cholera – pomstuje Shauna, wyskakując z auta. Futrzane botki tupią na zwirowanym podjeździe. – Wasi znajomi jeszcze nie przyjechali. Ale numer!

– Dość tych uszczypliwości! – strofuje ją pani Hamilton, obejmując córkę ramieniem. – To nie przystoi damie.

Hamiltonowa jest postarzałą wersją Shauny: rude włosy, nikłe piegi, wyrazista gestykulacja urodzonej dyktatorki. Ma jednak w sobie pewną łagodność, której brak córce. Ciekawe, czy dziewczyny rzeczywiście upodabniają się do swoich matek. Może ta łagodność z czasem ujawni się też u Shauny.

– O Boże! Wdepnęłam chyba w królicze gówno! – Shauna podskakuje, usiłując obejrzeć podeszwę buta.

Ptaki zrywają się z pobliskiego drzewa. Jej wrzaski niweczą spokój i ciszę.

Cofam poprzednią sugestię. Shauna na wieki pozostanie sobą.

Pan Hamilton, sympatyczny facet z włosami gładko zaczesanymi do tyłu i długimi bakami, podchodzi do Wodnika.

– Brawo, młodzieńcze – mówi, wskazując niesione przez niego bagaże. – Nie godzi się, żeby piękne panie dźwigały swoje walizki.

Pan Hamilton maszeruje w stronę chaty, śnieg skrzypi pod stopami. Bagaże zostawia nowemu pseudochłopakowi córuni. Wodnik spogląda na mnie. Po raz dziesiąty od wyjazdu z Shelburn, co nastąpiło przed dwiema godzinami, daje mi do zrozumienia, że ma u mnie dług wdzięczności.

Racja. Zyskał prawo do rewanżu, ale na bieżąco spłacam swój dług. Sama też się wynajęłam na ten weekend. Na sto procent wolałabym spędzić go w domu, oglądając seriale.

Powodzenie spektaklu wymaga, aby rodzice Shauny uwierzyli, że Wodnik jest chłopakiem ich córki. Nowy absztyfikant zapewne nie po raz pierwszy zjawia się w jej rodzinie niczym diabeł z pudełka, bo Wodnika zabrali w góry bez pytania. Odnoszą się do niego jak do wielu poprzedników, z którymi przyszło im spędzić weekend. Niedługo zniknie na dobre ze świata bogaczy.

Mnie powitali z natrętną radością, znaną mi skądinąd.

– Jestem przeszczęśliwa, że Shauna wreszcie znalazła przyjaciółkę – szepce pani Hamilton, gdy idziemy w stronę domu. Bierze mnie pod rękę, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami z powieści Jane Austin.  
– Umknęło ci zapewne, że Shauna onieśmiela inne dziewczęta. Miło poznać stanowczą młodą damę, która potrafi z nią postępować.

Na widok górskiej chaty dech mi zapiera. Wypoczynek w pionierskich warunkach oznacza dla Hamiltonów pobyt w eleganckim domu z kablówką, internetem i wanną do gorących kąpieli na werandzie. Wewnątrz lśnią drewniane podłogi, a ściany zdobią myśliwskie trofea. W całym domu pachnie sosną.

Gapię się na wielgachny jeleni łeb wiszący nad kominkiem, aż Shauna wyrywa mnie z zadumy. Dotyka mego ramienia i szepce:

– Nie płacę ci za to, żebyś stała jak słup.

Racja. Jestem w robocie.

Shauna nie jest zachwycona moim towarzystwem podczas tego weekendu. Sądzę, że wolałaby mieć Wodnika tylko dla siebie, ale uparł się, że nie pojedzie beze mnie. Podejrzewam, że znalazł wredny sposób, aby mnie dręczyć. Skoro już tu jestem, Shauna robi ze mnie dobry użytek. Nalega, żebym ją odmalowała jako dobrą, miłą, uroczą dziewczynę. Mam opowiadać jej rodzicom, że bryluje w naszym liceum.

To wymagało odrobienia pracy domowej, bo wygadywanie takiej masy kłamstw jest nie lada wyzwaniem. Gdy jechaliśmy w góry, łągałam jak z nut, plotąc androny o rzekomej życzliwości Shauny oraz podziwie, jaki wzbudza wśród szkolnych koleżanek.

Shauna opowiada w kuchni rodzicom o nowym pseudochołpaku, więc zwiedzam pomieszczenia superdaczy. Mają w piwnicy prawdziwe kino domowe! Przesuwam palcem po skórzanej tapicerce fotela. Miło będzie zwinąć się w nim z kubkiem grzańca i obejrzeć film. Ta robota ma jednak swoje dobre strony.

Kilka minut później spotykam Shaunę i Wodnika, którzy wnoszą bagaże do sypialń urządzonych w stylu dzikiego zachodu. Okazuje się, że moja torba stoi obok walizek Shauny. Gapię się na swój ubogi tobolek. Podziwiam stos różowych walizek. Obawa ściska mi serce.

– Znalazła się moja współlokatorka – szczebioce z uśmiechem Shauna.

Patrzę na Wodnika, który wydaje się ubawiony sytuacją.

– Gdzie śpisz? – pytam.

– Poprosiłem o osobny pokój – tłumaczy, wciskając ręce w kieszenie dżinsów. – Strasznie chrapię.

– Kłamczuch. – Chrapanie to moja specjalność. Wodnik śpi jak zabity.

– Taką mam robotę, prawda? – odpowiada Wodnik. – Wielka ściema.

– Chodzi o jedną noc – mówi Shauna przyciszonym głosem. Nerwowo zerka na drzwi. – Ja też nie jestem zachwycona sytuacją, Toni, ale gdybym spała tu sama, Ben mógłby chyłkiem wparować do mego pokoju.

– Nie myślałaś o tym, żeby go podać do sądu? – pytam. – To mi wygląda na coś gorszego niż natrętne uwielbienie.

Shauna wzdycha i zdejmuje elegancką żółtą kurteczkę.

– Dobra. Nawet jeśli tutaj nie wlezie, najpewniej przyjdzie mu to do głowy. Poza tym rodzice nie pozwoliliby mi spać z chłopakiem, prawdziwym czy lipnym. Trzeba im wmówić, że jesteśmy nierozłączne jak przystało na prawdziwe przyjaciółki.

Dobrze mówi. To część umowy. Dwa. Tysiące. Dolarów.

Powtarzam te słowa, żeby nie zwariować. Wkrótce będzie po wszystkim, a Wodnik zbliży się do upragnionego celu, czyli przyszłorocznych studiów w UVM.

Wychodząc z pokoju, Wodnik dotyka mojego ramienia.

– Pamiętaj – szeptem. – Idealny manicure i seryjna morderczyni to sprzeczność.

– Tak sobie tłumacz, znawco kobiet – odpowiadam cicho.

Spina się, czerwienieje i wychodzi, zmierzając do swego pokoju. Shauna podciąga rękawy czarnego swetra i rozpakowuje walizkę. Co kilka sekund chwyta komórkę.

– Ryan obiecał, że będzie się do mnie odzywał – mówi z irytacją i rzuca telefon na łóżko. – Od godziny nie mam żadnej wiadomości. Ani słowa. Nie przysłał nawet emotikonu. Czasami w ogóle go nie rozumiem.

Mamrocę coś na odczepnego i wymykam się na korytarz. Znajduję sypialnię Wodnika, który patrzy w okno na otaczające dom kępy dorodnych drzew przysypanych śniegiem. Zniżam głos do szeptu, bo rodzice Shauny mogą pofatygować się na górę.

– Co powiedziałaś szefowi, żeby dał ci wolny weekend? – Siadam na łóżku obok zamkniętej torby. – Ospa? Grypa? Złamane serce? – Wodnik patrzy na mnie, marszcząc brwi. Wyliczam dalej: – Ebola? Malaria? Zaraza? Spotkanie z wampirem?

– Zwolniłem się.

– Słucham? – wołam odruchowo. Zasłaniam sobie usta ręką, jakbym chciała stłumić tamten krzyk.

– Szef nie dałby mi wolnego. – Wodnik przygląda potargane włosy. – Podjąłem decyzję. Godziny pracy były nie do przyjęcia.

Robi mi się słabo.

– Aha – mamrocę. – Dobra.

– Myślisz, że to właściwa decyzja? – Wodnik obciąga bluzę.

Uśmiecham się. No pewnie. Postawił na właściwego konia. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Jesteś najbardziej udanym produktem naszej firmy, stary.

Dziewczyny ustawiają się do ciebie w kolejce – mówię z przekonaniem.

– Teraz będziesz miał więcej czasu na randkowanie, więc zarobisz sporo

kasy. Koniec z pluszowymi misiami.

– Chwileczkę... O jakiej kolejce mówiłaś? – Odwraca się plecami do okna.

Wzruszam ramionami, bawiąc się zawieszka suwaka jego torby podróźnej.

– Koleżanki z mojego liceum uważają, że jesteś boski.

– Też tam chodzisz. – Siada obok mnie na łóżku. Sprężyny piszczą.

– Zgadzasz się z nimi?

Zarumieniona chowam ręce w kieszeniach bluzy. Zerkam na okrągły zarośnięty policzek.

– No.

Wodnik drapie zarost i odwraca się ku mnie. Niechcący zderzamy się kolanami. Wiercę się lekko. Ciepło tu.

– Toni, ja... – Nie kończy. Podskakuje, bo w drzwiach staje zdyszana Shauna. Nabiera powietrza, opierając się o framugę.

– Nie możecie się tak razem wymykać – rzuca teatralnym szeptem.

– Mike zamyka się w sypialni tylko ze mną.

– Wyluzuj – uspokajam ją. – Nic się nie stało.

Patrzę na Wodnika, oczekując, że mnie poprze, ale znów patrzy w okno z rękoma splecionymi za plecami. Milczy.

– Twoje życie uczuciowe guzik mnie obchodzi, Toni Valentine – cedzi Shauna. – Chcę dostać to, za co zapłaciłam. Twoja firma nie przetrwa kolejnej wpadki. Pamiętasz Carrie Sanders. Rozumiemy się?

– Działamy według planu – odcinam się, skubiąc troczki dresów. – Powiedziałam twoim rodzicom, że wyciągnęłam mnie z głębokiej depresji i namówiłaś do studiowania w prestiżowej uczelni. Takie kłamstwo warte jest zaliczki.

– Słuchaj, za pięć sekund ta robota stanie się znacznie trudniejsza – mówi Shauna.

Na dole trzaskają drzwi i słysząc tubalny śmiech. Ktoś sapie. Słyszymy śpiew. Wymieniamy z Wodnikiem porozumiewawcze spojrzenia. Shauna się krzywi. Mayhewowie już tu są. Zaczynamy przedstawienie.



## Rozdział dwudziesty

Pierwszą cechą, która rzuca mi się w oczy, gdy widzę Bena Mayhew, jest rażące lekceważenie cudzej przestrzeni osobistej. Gdy Shauna przedstawia rzekomo ulubioną szkolną koleżankę, oplata mnie mackowatymi ramionami, więc buzią zapadam się w jego puchową kurtkę. Rejestruję, że Ben Mayhew śmierdzi papierosami. Odór przyprawia mnie o mdłości. Gdy Ben wypuszcza mnie z objęć, kryję się za Wodnikiem. Nie lubię wąchać ani dotykać obcych ludzi.

Shauna obejmuje w pasie Wodnika, pozbawiając mnie bezpiecznego schronienia.

– Ben, skarbie, to jest mój chłopak, Mike Garry – mówi. Nie do wiary! Małpuje brytyjski akcent. Całkiem niezłe jej to idzie. Szacun. – Kocham go, a on mnie. Za jakiś czas pewnie weźmiemy ślub.

Szczęka mi opada. Wszyscy milkną. Wodnik ma dziwną minę. Jestem pod wrażeniem.

Ben taksuje go spojrzeniem, jakby oglądał nowy model auta i rzuca:

– Czyżby?

Wodnik otwiera ramiona.

– Daj spokój, stary. Przytulmy się.

Ben ma przerażoną minę, gdy Wodnik zamyka go w niedźwiedzim uścisku. Zagryzam wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Pociągła twarz Bena znika za potężnymi barami Wodnika. Uścisk się przeciąga, w końcu jednak Benowi udaje się wyplątać z mocnych objęć. Obciąga kurtkę i nadrabia miną.

Wygląd ma osobliwy. Sprawia wrażenie, jakby jego postać została ściśnięta od stóp do głów. Nos, ramiona, uszy – wszystko ma wąskie i spłaszczone. Stąpa buńczucznie, ale dość niezdarnie. Jest szatynem, gęste kudły dziwaczными falkami opadają mu na oczy.



Szykuję się na kolejną odsłonę spektaklu Shauny, ale drzwi nagle się otwierają i do salonu wchodzi pani Hamilton z jakąś kobitką. Domyślam się, że to pani Mayhew. Rzucają bagaże na podłogę. Wodnik natychmiast rusza na pomoc i zajmuje się walizkami.

– Jechało się doskonale – mówi pani Mayhew, dysząc ciężko – ale wieczorem ma być gwałtowna śnieżycą.

– Oby nie – rzuca pani Hamilton – ale jestem przygotowana na wypadek, gdybyśmy utknęli tu na kilka dni.

– Wzmocniony grzaniec? – chichocze pani Mayhew, a gospodyni kiwa głową i wybucha śmiechem.

Mielibyśmy tu utknąć? Na kilka dni? Błagam, nie! Pani Mayhew ściska mi dłoń i przedstawia się. Nie jest podobna do syna. Dorodna blondyna z wielkimi zębami. Gdy uprzejmie rozmówki zamierają, spogląda na mnie i pyta:

– W przyszłym roku idziesz na studia do Yale wraz z Shauną, Toni?

Zbija mnie z tropu tym pytaniem. Byłam przygotowana na rozmowę o urokach szkolnego życia Shauny. Nie zamierzam gadać o sobie. Zakłopotana drapie się po szyi.

– Oczywiście – wtrąca Shauna. Niedbale zwija rude loki w luźny kok. – Myślimy o wspólnym lokum.

– Dzięki Bogu! – woła pani Mayhew. – Miło wiedzieć, z kim zamieszkasz. Dla mnie przez współlokatorkę pierwszy rok był koszmarem. Wierzcie mi, ta dziewczyna w ogóle się nie myła.

Nie mam ochoty studiować w Yale z Shauną nawet w wymyślonym świecie. Wodnik od razu wyczuwa tę irytację i daje mi kuksańca, więc trzymam buzię na kłódkę.

Gdy wszyscy się już urządzili, pan Hamilton oznajmia, że pora wyjść na stok. Shauna i Wodnik ładują sprzęt narciarski, a ja przeglądam wiadomości w komórce. Ostatnia zachęta od Emmy brzmi: **DASZ RADE!** Jej słowa trochę poprawiają mi nastrój, lecz nadal liczę minuty dzielące nas od zakończenia weekendowej wyprawy.

W drodze na stok Shauna siedzi na tylnym siedzeniu terenówki Hamiltonów, wciśnięta między Wodnika i mnie. Widzę, że ich kolana się dotykają. Nie można by sobie darować takich sztuczek? Ben siedzi

z przodu i nie widzi tego rodzaju detali, więc numer z kolankami jest zbędny. Zaciskam zęby i wyglądam przez okno, podziwiając góry.

W przytulnym schronisku nasza grupa dzieli się na narciarzy zaawansowanych i początkujących. Dołączam do tych ostatnich, żeby mieć oko na Shaunę i Wodnika. Od dawna nie jeździłam na nartach. Kiedy byłam młodsza, tata zabierał mnie na górkę, lecz niewiele się nauczyłam. Shauna jest zaawansowana, ale raz po raz powtarza stanowczo:

– Nie zostawię mojego chłopaka.

Ben nie zamierza opuścić Shauny.

A zatem jest nas czworo.

Wpadamy na późny obiad w schroniskowej kafeterii i znajdujemy stolik wśród zarumienionych snowboardzistów. Sąsiaduję z pośępnym Benem, który skubie ser na pizzy. Zjadam dwa kawałki, ale mam dość, gdy Shauna przysuwa się do Wodnika i całuje go w policzek.

– Mike jest genialny – mówi do Bena, przytulając głowę do ramienia rzekomego kochasia. – Będzie lekarzem.

Ben prychnie i pakuje do ust miękką kulkę sera. Pochylona nad stołem skubię srebrzysty uchwyt puszkę napoju.

– Słuszna uwaga. Mike jest błyskotliwy – mówię. – I ambitny. Zostanie światowej sławy proktologiem. Dobrze mówię, Mike?

Wodnik omal nie wypłuwa łyka coli.

– Czyli kim? – pyta chrapliwie Ben, wypowiadając najdłuższą frazę, jaką dotąd usłyszałam z jego ust. Głos ma niski i szorstki. Typowy dla palacza.

– Proktolog zajmuje się głównie... – zaczynam wyjaśnienie, ale Shauna mi przerywa.

– Jestem wykończona – mówi, ziewając. – Mike i ja zarwaliśmy noc.

Uporczywie cmoka płatek lewego ucha Wodnika. Ciągnę uchwyt tak mocno, że puszkę się przewraca. Skrawek sera dynda na podbródku Bena, który odwraca wzrok. Żal mi go. Jest zakochany; domyślam się, że przeżywa trudne chwile. Na uczucie nie ma mocnych. Tego się nie zmieni. Shauna przegina. Na maksa.

– Ben, idziesz na stok? – pytam.

Rozpromienia się i kiwa głową. Gdy wyrzucamy śmieci do pojemnika, oglądam się i widzę, że Wodnik mnie obserwuje. Ma strach w oczach jak zwierzyna pozostawiona sam na sam z drapieżną lwicą. Czuję się podle, opuszczając go teraz, lecz na tym między innymi polega moja praca. Poza tym nie mam ochoty siedzieć tu i patrzeć, jak Shauna ciamka ucho Wodnika jak cukierek. Może przestanie, skoro Ben sobie poszedł.

Wybiegam przed schronisko, żeby ochłonać na świeżym powietrzu. Ben opiera się o stojak narciarski i wzdycha.

– Ale się porobiło – mówi, szczypiąc wąski nos.

– Aha. – Zerkam w okno. Shauna siedzi sama przy stole wpatrzona w ekran komórki. Marszczy brwi. Doskonale. Nie widzę nigdzie Wodnika. Rozdzielili się, więc oddycham z ulgą.

Ben pochyla się w moją stronę. Czuję smród papierosów bijący od jego kurtki.

– Musimy ich skłócić.

– Proszę? – Wkładam rękawiczki.

– Daj spokój – odpowiada z uśmiechem Ben. – Ty marzysz o nim, ja o niej. Popracujmy nad tym, żeby się rozstali.

– Po pierwsze, nic mi do niego – odpowiadam stanowczo. – To chłopak Shauny. – Milknę. Na dźwięk tych słów chce mi się rzygać. – Poza tym twój plan brzmi jak fragment scenariusza żalösnej komedii romantycznej.

– Patrzyłaś na niego tak, jakby cię kręcił. – Ben przestępuje z nogi na nogę.

– Chcesz pojeździć na nartach czy nie? – mówię z wymuszonym uśmiechem.

– Sam nie wiem. – Obraca się, patrząc na góry. – Jestem początkujący.

Klepię go po ramieniu.

– Ben, nie pozwól, żeby głupia etykieta zniechęciła cię do fajnych rozrywek.

Odwraca się, patrzy na mnie i wzrusza ramionami.

– Niech to diabli – mówi. – Jeśli zginę marnie, przynajmniej nie będę musiał znowu patrzeć, jak Shauna całuje w ucho innego faceta.

Też tak myślę.



Patrzę na stok pokryty ubitym śniegiem i uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, w co się pakuję. Niezłe radzę sobie z piłką, kijem bilardowym oraz pilotem do telewizora. Uważam, że jestem wysportowana, ale moja pewność siebie zostaje mocno zachwiana, gdy Ben unosi kciuk, zakłada gogle i śmiga w dół po zboczu, wydając radosny okrzyk. Jego narty gładko suną po śniegu. Wkrótce srebrzysta puchowa kurtka znika w oddali.

Początkujący? Ben jest wyjątkowo skromny lub umyślnie zaniżył moje oczekiwania, żeby się popisać. Albo kłamie. Jak my wszyscy.

Snowboardziści śmigają w zimnym powietrzu, a mnie żołądek raz po raz podchodzi do gardła. Myślę o Lanserze. Byłby tutaj przeszczęśliwy. Ludzie przemykają obok mnie, a szusowanie po stoku wydaje się dziecinnie proste. Jak ten Lanser daje radę? I po co mu to?

Stoję jak sparaliżowana. Zostanę tu na zawsze. Będę studiowała przez internet. Mogę odsyłać prace zaliczeniowe za pośrednictwem zjeżdżających po zboczu snowboardzistów. Pozostanę na wieki dziewczyną z koszmarnej góry, nieświadomą, dokąd zmierza.

– Odpręż się. – Ktoś dotyka mojego ramienia. Chwytam przyjazne spojrzenie Wodnika. – Przestań się nad tym zastanawiać, Toni.

– Szybko... – Chrząkam, bo zaschło mi w gardle. – Szybko tu dotarłeś. Jak ci się udało?

– Stoisz tu pół godziny. Ben powiedział, że zaraz smyrgniesz w dół. Słownictwo jego, nie moje. No to smyrgaj.

Zakłopotana uciekam się do kłamstwa.

– Mdl mi. Pizza była chyba nieświeża.

Wodnik dostaje rumieńców. Dłonią ukrytą w rękawiczce pociera ciemny zarost na policzku.

– Kto zbyt dużo kombinuje, ulega strachowi, więc niewiele zdołała – mówi. – To moja życiowa dewiza.

– Może wróciłabym na ośłą łączkę? – żartuję.

– Zjedziemy razem, Toni. – Wodnik trąca mnie w ramię. – Będę przy tobie.

Nie chcę do końca życia pozostać dziewczyną z koszmarnej góry, więc kiwam głową i szykuję się do zjazdu. Z Wodnikiem u boku dam radę. Będzie dobrze. Razem liczymy do trzech, odpychamy się kijkami i ruszamy w dół.

Początkowo jest dobrze. Mocno trzymam się na nogach. Plecy proste. Zimny wiatr smaga policzki. Odprężam się. Świetna zabawa. Już wiem, dlaczego Lanser tak to lubi. Rozumiem, czemu latem chce jechać na drugi koniec Ameryki. Pędzę. Frunę. Szybuję. Patrzcie na mnie! Oto pewna siebie bizneswoman panująca nad obawami!

Oglądam się, żeby popatrzeć na Wodnika, i wszystko okropnie się komplikuje, gdy widzę jego przerażoną minę. Usta rozwarłe do krzyku. Wyszczzerzone zęby. Strach w oczach. Jeszcze chwila i zaryje paszczą w śnieg. Długie kończyny są dziwnie powyginane, gotowe chwycić cokolwiek, żeby uniknąć nieuchronnej katastrofy. Jakimś cudem Wodnik stoi wciąż na własnych nogach, co fatalnie wróży, bo im dłużej utrzymuje się w pionie, tym prędzej szusuje po stoku.

I tym groźniejszy będzie upadek.

Schronisko u podnóża góry rośnie w oczach. O Boże. Staranujemy narciarzy. Będą ranni. Pozabijamy się. Rany boskie. Umrę jako dziewczica. Wodnik nie. Już coś przeżył. Dlaczego teraz o tym myślę?!

Przed nami schronisko. Tłum ludzi. Będą liczne złamania.

Chwytam Wodnika za rękę i patrzę mu w oczy. Po chwili pada na twarz, a ja przygotowuję się do twardego lądowania. Wodnik puszcza moją dłoń i koziołkuje. Fontanna śniegu tryska w niebo, gdy sunie po stoku. Odzyskuję równowagę i odwracam głowę, żeby sprawdzić, czy jest zdrów i cały, lecz w tej samej chwili tracę grunt pod nogami i biel pochłania wszystko.



## Rozdział dwudziesty pierwszy

Odsuwam komórkę od ucha, gdy mama rozpaczliwie łąka do słuchawki. Płomienie tańczą w kominku, oświetlając myśliwskie trofea zawieszane na ścianach chaty. Leżę na kanapie, wpatrzona w ekran komórki, i czekam, aż matula przestanie panikować. W końcu milknie, żeby wziąć oddech. Wykorzystuję sposobność, żeby ją uspokoić.

– Mamo, nie po raz pierwszy złamałam rękę – wtrącam. – Jest dobrze. Nawet nie płakałam.

W drodze do szpitala klęłam jak szewc; zero łez. Dzisiejsze złamanie to mały pikuś w porównaniu z kontuzją, której nabawiłam się w szóstej klasie po skoku z szopy na narzędzia w ogrodzie Kowboja. Lanser mnie podpuścił. Dzisiejsza akcja była mniejszym obciachem.

– Powinnaś wrócić do domu – powtarza mama wśród łkań. – Chcę, żeby moja córeńka była tu ze mną.

Też wolałabym siedzieć przytulona do matuli z michą popcornu pod ręką i oglądać przechodzone świąteczne filmidła, na przykład „Witaj, Święty Mikołaju” i „Kevin sam w domu”, ale ten uroczy scenariusz jest dziś nie do zrealizowania.

– Mamy tu zamieć śnieżną. – Zerkam w okno chaty. Wielkie płatki śniegu spadają na ziemię, wirując zawzięcie. – Powrót do domu byłby zbyt niebezpieczny. Tak mówi twoja roztropna nastoletnia córka. Wspomnij o tym Brianowi.

– Nie powinnam ci pozwolić na ten wyjazd. – Mama wzdycha do słuchawki.

Dwadzieścia minut później uspokaja się wreszcie, gdy obiecuję, że zadzwonię jutro rano, gdy będziemy ruszali w drogę powrotną. Mama mówi, że mnie kocha, więc odwzajemniam się tym samym i kończę rozmowę. Dręczy mnie poczucie winy.

– Nie powinnam jej nic mówić – odzywam się do Wodnika. Siedzi

naprzeciwko mnie na fotelu krytym łosią skórą. Opuszcza czytana książkę o lokalnych potworach i osobliwościach.

– Dobrze zrobiłaś. – Naciąga głębiej kaptur szarej bluzy. – Założę się o dwadzieścia dolców, że na powitanie upiecze ci ciasto.

– Przyjmuję zakład. – Mażę czarnym flamastrem po białym gipsie. Szkicuję postać narciarza szusującego po stromym zboczu. Ludzik ma skrzydła; jedno z nich jest złamane.

Rodzice Shauny czują się podle z powodu mojego wypadku. W szpitalu pan Hamilton powtarzał, że pozew sądowy nie jest dobrym pomysłem, jakbym rzeczywiście miała do tego głowę, kiedy moje ramię jest wygięte pod dziwnym kątem. Zapewniłam go, że co najmniej do trzydziestki nie zamierzam nikogo pozywać, ale moja uwaga nie wydaje mu się zabawna.

Dorośli poszli spać godzinę temu, ale ja nie mogę zasnąć. Chętnie obserwuję przez okno płatki śniegu spadające na ziemię tysiącami niczym serie białego śrutu. Miło, że Wodnik dotrzymuje mi towarzystwa. Przyjemną ciszę przerywa szuranie różowych kapci Shauny. Wchodzi do salonu ubrana w szlafrok z czerwonego jedwabiu. Gdzie się kupuje takie ciuchy? Shauna niesie ostrożnie trzy parujące kubasy. Stawia je na kawowym stoliku.

– Po ciężkim dniu należy nam się coś pysznego – szepce.

Opada na fotel kryty jelenią skórą obok Wodnika, wzdycha i upija z kubka potężny łyk. Patrzy na mnie, jakby chciała coś powiedzieć. Nie mam ochoty na kłótnie. Ben od pół godziny jest pod prysznicem. Zaczynam się bać, że zemdlał z rozpaczy, bo kocha szczerze, ale nie ma szans na wzajemność. Dam mu jeszcze dziesięć minut, ale potem każę Shaunie sprawdzić, co się z nim dzieje.

Pociągam z kubka spory łyk.

– Pycha. Co to jest? – pytam, wachając zawartość kubka.

– Grzaniec, specjalność mojej mamy – odpowiada Shauna, poprawiając szlafrok.

Wodnik też pije i zanosi się kaszlem.

– Rum. To jest rum... z kropelką wina.

Stawiam kubek na stoliku i odsuwam zdecydowanym ruchem.

– Nie powinnam go pić, skoro jestem na środkach

przeciwbólowych.

– Cała Toni Valentine. Zawsze w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem – mówi z uśmiechem Shauna. – Kto by pomyślał, że prowadzisz taki biznes.

– Jaki biznes? – Ben pojawia się niczym cholerny duch, wycierając głowę rącznikiem. Ma na sobie szare spodnie od dresu i biały podkoszulek. Shauna wie, że omal się nie wygadała, więc próbuje zaimprovizować jakieś kłamstewko, ale zdobywa się tylko na dziwaczne pochrząkiwanie.

– Toni prowadzi kurs tańca na rurze – wtrąca Wodnik. Spoglądam na niego. Czy ja dobrze słyszę? Uśmiecha się lekko.

– Serio? – pyta Ben, wchodząc do pokoju. – Zatańcz dla nas, Toni.

– Mowy nie ma. – Nadal ozdabiam gips rysunekczkami.

– Jest nieśmiała. – Wodnik wzdycha i odkłada książkę na stolik.

Droczy się ze mną.

– Ależ skąd – protestuję. – Jeśli chcesz zobaczyć mój taniec, musisz zapłacić za pokaz. Jak inni widzowie.

Ben opiera się plecami o ścianę i zakłada ramiona na piersi.

– Możemy liczyć na darmową próbkę? Każda porządna firma oferuje gratisy.

Bazgram po gipsie, zmęczona i trochę zirytowana. Ciężka harówka. Zasłużyłam na swoje honorarium.

– Zapomnij.

– Mówi jak prawdziwy cykor – odcina się Wodnik. Przestaję rysować i podnoszę głowę. Oczy błyszczą mu kpiąco. Podejmuję zakamuflowane wyzwanie, zrywam się na równe nogi, jednym szarpnięciem obciążam T-shirt z napisem „Mario Brothers” i wychodzę na środek pokoju. Ben klaszcze, Shauna wydaje się wystraszona, Wodnik zasłania twarz kubkiem, więc nie widzę jego miny. Wątpił, czy się odważy? Dobra, popatrz sobie.

– Potrzebuję czegoś na kształt rury – mówię, odgarniając włosy. Nie jestem pewna, co będzie dalej.

– Ja chyba śnię – marudzi zde gustowana Shauna.

– Żartowałam, Toni. Nie musisz tego robić – dodaje Wodnik i rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Może powinnam wrócić na swoje



miejsce, jakby nic się nie stało.

Wśród przedmiotów zdobiących ścianę dostrzegam masywną laskę. Zdejmuję ją i wracam na środek pokoju. Rzeźbiona rączka sięga mi do pasa. Opieram się na niej zdrową ręką i wypinam pupę. Skutkiem ubocznym środków przeciwbólowych jest kompletny zanik wstydu i skrępowania.

– O kurczę, spektakl dobrze się zapowiada. – Ben opada na kanapę i wierzga giczołami.

– Przydałaby się muzyka – rzucam.

Ben szybciotko wyciąga komórkę, naciska tu i ówdzie; salon wypełnia rozkosznie powolna wersja hitu „Be My Babe” zespołu Ronetts.

Przyglądam się Benowi.

– Naprawdę słuchasz takich rzeczy?

– Niech zgadnę – odpowiada, przewracając oczyma. – Myślałaś, że lubię rap i te klimaty? Teraz wiesz, jaka jest prawda.

Czuję na sobie spojrzenie Wodnika. Robi mi się gorąco i wiem, że to przełomowa chwila: teraz albo nigdy. Jestem stuprocentowo pewna, że dam radę.

– Ten układ taneczny nazywam szukaniem kontaktu ze swoją kobiecością. – Wsłuchana w łagodną muzykę zsuwam się po lasce wolno i zmysłowo...

Ben robi wielkie oczy. Shauna prychnie i sący grzaniec. Moje biodra poruszają się w rytm muzyki. Tańczę wokół laski i pochylam się nad nią, wykorzystując jako podporę i centrum. Po chwili zatracam się w łagodnym brzmieniu gitarowych akordów. Włosy opadają mi na twarz, zasłaniając ją przed spojrzeniami widzów. Cały świat odpływa i zostaję sam na sam ze swym zbolałym sercem.

Gdy piosenka dobiega końca, spodziewam się wybuchów śmiechu i dowcipasów. Normalka. Może nawet dostanę nową ksywkę. Gdy podnoszę głowę i odgarniam włosy zasłaniające oczy, widzę zdumioną publiczność.

Shaunie szczęka opadła.

– Zapisuję się na twoje zajęcia. Nie ma zmiłuj.

– Dasz mi numer swojej komórki? – pyta Ben ze śmiertelną

powagą.

– Widzicie? – Prostuję się z godnością i łapię oddech. – Żaden ze mnie cykor.

Wieszam laskę na ścianie i wracam na kanapę. Wodnik pochyla się i trze czoło, jakby bolała go głowa. Dopija grzaniec, a potem sięga po mój kubek i duszkiem wychyla zawartość.

Gawędzimy chwilę, głównie o moim wypadku. Shauna wkrótce oznajmia, że jest senna, więc idzie spać. Ben też szybko wymięka. Wodnik i ja zostajemy sami przy trzaskającym ogniu. Po erotycznym tańcu ani razu się nie odezwał. Powieki mi ciążą. Nadal bazgrzę po gipsie.

– Dlaczego uruchomiłaś tę swoją firmę, Toni? – pyta Wodnik prawie szeptem. – Nie jesteś splukana.

Bawię się czarnym flamastrem. Dobre pytanie, ale wzdragam się przed szczerym wyznaniem.

– Bo ja wiem? – odpowiadam. – Może z nudów?

Wodnik podciąga skarpety, znów jedną czarną, drugą białą, i rozpiera się w fotelu.

– Sądziłem, że typowym dla ciebie lekarstwem na nudę był incydent z wypięciem tyłka na dyra.

– Zobacz, gdzie mnie to doprowadziło. – Wzdycham i sadowię się wygodniej na kanapie. – Trudno wyczuć, jak to jest. Mogłabym powiedzieć, że chcę pomóc znajomym, ale prawda jest taka, że desperacko próbuję związać moje dawne życie z nowym. Mam wrażenie, że ono mi się wymyka albo coś w tym rodzaju.

Wodnik przenosi się na kanapę, okrywa nas oboje wielkim futrzanym pledem i odpowiada:

– Już ci mówiłem, że ja się nigdzie nie wybieram.

Zarumieniona z uśmiechem podciągam wyżej pled. Wodnik wyjmuję flamaster z mojej dłoni i bazgrze po gipsie. W salonie jest ciemno, chwilami tylko rozświetla go blask płomienia. Pochylam się lekko, czuję zapach wanilii i grzańca. Wodnik przestaje pisać i odkłada flamaster na stolik. Gdy jego dłoń dotyka mego kolana, ogień trzeszczy i szumi, a mnie oblewa żar. Wodnik pochyla się, jest coraz bliżej. Zapomina o grzańcu z prądem.

Serce tak mi bije, że powinno wywołać trzęsienie ziemi. Aż dziw, że tak się nie dzieje. Kołatanie dobiegające z za moich żeber brzmi osobliwie głośno. Obawiam się, że wywoła lawinę, która pogrzebie nas lada chwila niczym pompejańskich kochanków zasypanych pumeksem i popiołem wulkanicznym. Wiercę się na kanapie, moja prawa stopa dotyka skarpety Wodnika. Obietnica złożona przez niego przy grobie mego ojca wydaje się nietrwała jak iskierka ulatująca kominem. W głowie mi szumi od chaotycznych myśli i szalonych wizji dotyczących mojej drogi życia. Naszej drogi. Czytam słowa nagryzmolone koślawym chłopięcym charakterem pisma: *Moje najszczęśliwsze przeprosiny*.

Podnoszę wzrok. Nim usta Wodnika dotkną moich warg, słyszę jego głos:

– Muszę złamać daną ci obietnicę. Pamiętasz? Obiecałem, że nic się między nami nie zmieni.

Jasne, że pamiętam, ale pocałunek sprawia, że zapominam o całym świecie. W niepamięć idzie potwór z jeziora, imiona wyryte na drewnianym pomoście, moje liceum. Odpływam.

Wodnik odsuwa się nieco, ale nadal jest tuż-tuż.

– Chyba nie powinniśmy tego robić tutaj – mówi.

Mruczę niewyraźnie, wpatrzona w ciemny zarost na jego twarzy filmowego amanta. Rany boskie. Całowałam się z Wodnikiem. Podskakuję nerwowo, łapiąc oddech. Pled zsuwa mi się z ramion.

– Lepiej już pójdę do swojego pokoju – mamrocę. – Dobranoc.

Rzucam się ku drzwiom i walę kolanem w stolik.

– Au!

– Boli? – pyta Wodnik, zrywając się z miejsca. Jak głupia tonę w jego ciemnych oczach.

– Nie. Dam radę. Do zobaczyska. – Cofam się na wszelki wypadek, żeby nie podszedł za blisko. Kolano pulsuje.

– Dobranoc, Toni – mówi Wodnik.

Unikam jego wzroku. Macham tylko jak ostatnia kretyńska i kulejąc, opuszczam salon. Koszmarnie boli mnie kolano. Pospiesznie zamykam drzwi swego pokoju, wpełzam do łóżka i nakrywam się z głową. Boli? Trudno. Wyluzuj. Dasz radę. Długo leżę ze wzrokiem

utkwionym w suficie. Ramię pulsuje pod gipsem. Kolano dokucza. Nie przejmuję się bólem. Raz po raz wspominam pocałunek, aż ogarnia mnie sen i odpływam w niebyt.



## Rozdział dwudziesty drugi

N astępnego ranka budzi mnie szcęk garów, skwierczenie jajek smażonych na patelni, szum płynącej wody. Głowa ciąży mi jak kamień. Trudno ją dźwignąć. Siadam zaspana i próbuję podrapać swędzącą skórę pod gipsem. Odsuwam kołdrę i oglądam sine kolano. Fatalnie. Nie jestem pewna, czy zniosę kolejny uraz podczas tego wyjazdu. Boso idę do kuchni, w której panuje tłok i rejwach. Zachodzę do salonu i przyglądam się kanapie. Otóż i ona. Miejsce zbrodni.

Grzaniec.

Ciepło.

Ogień.

Usta.

Zarost drapiący mój policzek.

Ciepła dłoń na mojej skórze.

– Dzień dobry, Toniu! – woła zza kuchennej wyspy pani Hamilton, obracając naleśnik. – Jak się dzisiaj czujesz?

Jęczę bezgłośnie, bo nagle uświadamiam sobie, że ci wszyscy ludzie widzą moje rozmemłanie. Człapię do kuchni i pytam z udawaną nonszalancją w głosie:

– Gdzie Mike?

Pani Hamilton smaży kolejny naleśnik.

– Shauną z samego rana zabrała go nad jezioro na połów ryby w przeręblu.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Jest z Shauną?

– Ben do nich dołączył – wtrąca pani Mayhew. – Nie chcieli cię budzić. Jak ramię?

Przyglądam się słowom wypisanym na gipsie. Studiuję uważnie każdą literę. Rozważam ukryty w nich sens. *Moje najszczęśliwsze przeprosiny.*

– Wszystko dobrze. – Przelykam z trudem. – Dzięki za troskę.



Godzinę później siedzę na kanapie, czekając ze spakowaną torbą podróżną u nogi. Reszta bagaży stoi przy drzwiach obok zaniepokojonej pani Mayhew, która wygląda przez okno.

– Powinni już tu być – mówi.

– Prawdopodobnie złowili dużą sztukę – tłumaczy pan Hamilton, bawiąc się komórką. – Moja Shauna nie wraca nigdy z pustymi rękami. Gdy tylko przyjadą, ruszamy w drogę.

Dzwonię do mamy, aby uprzedzić, że będę w domu trochę później, co przyjmuje nadspodziewanie dobrze. Czekamy, grając w kanastę: rodzice Shauny, pani Mayhew i ja. Jestem rozkojarzona, bo wciąż czuję smak ust Mike'a. Ciekawe, czy teraz całuje je Shauna. Ohyda. Rzucam karty.

– Nie pękaj, Toni – burczy pani Hamilton, podnosząc je.

Tak to ze mną jest? Totalna masakra? Straciłam go? Cała w nerwach snuję się po salonie. Nie powinnam się tym przejmować. Mike nie należy do mnie. Jest w robocie. Płacę mu za udawanie. Wczoraj wieczorem posunęliśmy się za daleko, lecz nadal można przywrócić sprawę do poprzedniego stanu. Pocałunki niszczą przyjaźń.

Nie mogę sobie pozwolić na utratę przyjaźni Mike'a.

Z drugiej strony jednak...

Ten zarost. Te usta.

Z ganku dobiega tupanie, jakby ktoś próbował oczyścić buty ze śniegu. Wkrótce drzwi się otwierają i staje w nich zachwycająco przystojny Mike opatulony czarną kurtką i puszystym czarnym szalem. Zarumienione policzki odcinają się wyraźnie od białego tła za jego plecami.

Moje serce wyprawia brewerie, których nie potrafię nazwać. Proszę bardzo. Otóż i on. Jest zachwycający.

– Dzięki Bogu! – woła pani Mayhew, tasując karty. – Już zamierzaliśmy wysłać ekspedycję ratunkową. Gdzie jest Ben? Co z Shauną?

– Są na dworze?

Ramiona Mike'a sztywnieją. Unika naszych spojrzeń.

– Coś złapała? – Pan Hamilton klaszcze w ręce.

– Aha. Tak. – Mike chrząka. – Ma trofeum. W pewnym sensie.

Pan Hamilton zerka na ekran komórki.

– Pora jechać, ale najpierw muszę zobaczyć, co przyniosła kochana córeczka!

Wychodzi tylnymi drzwiami, które zatrzasują się za nim. Pani Hamilton wzdycha i zbiera karty. Pani Mayhew wkłada kurtkę i dołącza do gromadki pozostałej na zewnątrz, ciekawa trofeum Shauny, czymkolwiek ono jest.

Mike podchodzi do mnie szybkim krokiem i szeptem:

– Masz absolutną pewność, że ta panna nie jest seryjną morderczynią?

Stoi blisko. Zbyt blisko. Muska palcami mój łokieć, który pali żywym ogniem. Ostatnio byle drobiazg wystarczy, żeby mi odbiło.

– Proszę? – Jestem zbita z tropu pierwotną siłą, która sprawia, że płonę.

Gdy podchodzi do nas pani Hamilton, odwracam się w panice, udając, że mam coś ważnego do zrobienia, i w efekcie wpadam na ścianę. Bum!

– O mój Boże! – woła pani Hamilton. – Toni? Nic ci nie jest?

Dotykam obolałego nosa. Au. Au. Au. Uśmiecham się głupio.

– Ależ ze mnie niezdar! – mówię. – To pewnie skutki uboczne leków przeciwbólowych.

– Bardzo proszę, uważaj na siebie. – Pani Hamilton dotyka mojego ramienia.

Kręci głową, wychodzi na dwór i dołącza do reszty. Wkładam kurtkę, marszcząc obolały nos. Sytuacja robi się idiotyczna. Omijam Mike'a szerokim łukiem i biegnę zobaczyć, co robią inni, ale kumpel depce mi po piętach. Czuję na karku jego oddech.

– Toni – szeptem Mike – pod żadnym pozorem nie zagłądaj do czerwonej lodówki turystycznej.



Korci mnie, rzecz jasna, żeby tam zerknąć. Stoi obok dołka na

ognisko, odcinając się czerwienią od bieli śniegu. Pan Hamilton sprawdza zawartość i robi zachwyconą minę.

– Moja kochana córka – mówi z dumą.

Shauna się rozpromienia.

– Wskoczył na drogę. Nie chciałam go walnąć, ale stało się. Trup na miejscu, szczęśliwie w jednym kawałku.

Ben gapi się na Shaunę, jakby ujrzał wcieloną bogini. Stoję rozdygotana kilka kroków dalej z rękoma w kieszeniach kurtki. Mike jest obok – tak blisko, że czuję bijące od niego ciepło. Czy znów spróbuje mnie pocałować? Nie teraz, rzecz jasna, lecz może w przyszłości?

– Kochanie, trzeba załadować bagaże do auta – mówi pani Hamilton.

– Chcę najpierw obdrzeć to bydlę ze skóry. – Shauna zerka na mnie. – Zmienię tylko buty. Nie chcę ich poplamić krwią.

Obedrzeć ze skóry?

Jak to?

Dlaczego ona tak mi się przygląda?

– Zrobisz to w domu. – Pan Hamilton klepie córkę po ramieniu. – Zasyp lodem, a wytrzyma podróż. To zaledwie parę godzin. Musimy ruszać. Matka Toni będzie niespokojna.

– Chodź tu, Ben, i pomóż nam pakować rzeczy do auta – rozkazuje pani Mayhew.

Hamiltonowie wracają z nią do domu. Na odchodnym Ben wpatrzony w Shaunę mówi:

– Jesteś niesamowita. Zawsze wiedziałem, że to prawda. – Rozpromieniony biegnie do chaty. Mike ochoczo rusza za nim, ale Shauna go zatrzymuje.

– Pogadajmy o interesach – mówi, wyciągając nóż myśliwski. Rany boskie.

Spoglądam na lodówkę turystyczną.

Nie mogę oderwać od niej wzroku.

Czyżbym znalazła się nagle w scenerii filmowego horroru?

– Pospiesz się, Shauna. – Mike wzdycha i wciska ręce w kieszenie kurtki.



O Boże, naprawdę mam kłopoty.

– Na wypadek, gdyby coś ci umknęło, Toni Valentine, uprzejmie przypominam, że Ben mnie kocha – mówi Shauna. Robi krok do przodu. Śnieg skrzypi. – Do szaleństwa. Teraz bardziej niż przedtem. To wszystko twoja wina.

– Daruj, ale nie nadążam – mówię, kręcąc głową. – Te środki przeciwbólowe chyba mnie przymulają. Albo ty gadasz bzdury.

– Zaraz ci wyjaśnię, w czym rzecz. – Shauna czubkiem noża odgarnia lok opadający na oczy. – Ty. Mike. Kanapa. Ogień na kominku. Wczorajszy wieczór. Pocałunek. Kojarzysz, Toni?

Patrzę na nią. Ach tak.

– Ben was podpatrzył – dodaje. – Teraz dzięki Mike'owi zna prawdę.

– Myślał, że ją oszukuję. – Mike pociera głowę. – Chciał mi skopać tyłek. Musiał poznać prawdę, bo inaczej też miałbym złamaną rękę. Najważniejsze jest bezpieczeństwo.

Shauna ostrzy nóż o leżący obok kamień.

– Dobra. – Rozdygotana podnoszę dłoń. – Możemy spokojnie pogadać? Nie potrzeba nam żadnych ofiar.

– Poniżyłaś mnie, Toni! – Shauna chowa nóż do skórzanej pochwy i kładzie obok turystycznej lodówki. Oddycham z ulgą. – Gdybyś się nie uparła, żeby z nami jechać, wszystko poszłoby gładko! Ben sądzi, że wynajęłam absztyfikanta, bo nie mam ukochanego, więc stał się namolniejszy niż dotąd. Powtarza, że będzie mnie wielbił do grobowej deski i nie chce za to ani grosza. Idiotyzmy. Boże, masz pojęcie, jak się czuję? Wysłałam na wyjątkową frajerkę. W całym stanie Vermont nie mam sobie równych.

– Wytłumacz Benowi, że ściemniałaś – proponuję z westchnieniem. – Powiedz mu, Shauno, że nic z tego nie będzie.

Mamroce i poprawia żółty szalik.

– Nie chce mnie słuchać. Teraz myśli, że Ryana też wymyśliłam. Dzięki, Toni. Serdeczne dzięki. Naprawdę nie możecie darować sobie ukradkowych spojrzeń, co? Dlaczego tak wam trudno choć przez parę dni udawać, że nie jesteście w sobie szaleńczo zakochani? Czy to nazbyt wygórowane żądanie?

Mike i ja odpowiadamy zgodnym chórem:

– Wcale nie jesteśmy w sobie szaleńczo zakochani.

Zapada cisza.

– Trafiony, zatopiony! – wrzeszczymy, celując w siebie palcami.

Wybucham śmiechem. Nic na to nie poradzę. Mike uroczo szczyrzy zęby. Shauna gapi się na nas przez kilka chwil. Jest zszokowana.

– Zwróć mi kasę – mówi, podnosząc czerwoną lodówkę. – Całą sumę.

– Daj spokój – mówię błagalnym tonem. Oślepia mnie na moment poranne słońce widoczne między gałęziami drzew. – Mike odegrał rolę, do której został wynajęty. Poświęcił ci cały weekend, rzucił pracę.

Obejmował cię, pozwolił całować się w ucho. Zasłużył na honorarium.

– Mike odkrył karty. – Shauna kręci głową. – To oznacza, że nie wykonał zlecenia, za które mu zapłaciłam. Żądam zwrotu kasy. Co do centa. Inaczej wezwę gliny.

– Gliny? – rzucam. – Mówisz poważnie?

– Opowiem im o wszystkich twoich kombinacjach z wynajmowaniem chłopaków na godziny.

– Chwileczkę – wtrąca się Mike, gdy zaciskam dłoń w pięść. Spogląda na Shaunę. – Koniec dyskusji, jasne? Dostaniesz swoje pieniądze. Ja ich nie potrzebuję. – Wyciąga portfel i wyjmuje plik banknotów przewiązany nadal śliczną różową wstążką. Nie podoba mi się, że tak je przyozdobiła. – Proszę bardzo – dodaje Mike. – Cała suma.

– Mike. – Dotykam jego ramienia. Dość. Potrzebuje tej kasy. – Ja to załatwię.

Shauna wyrywa pieniądze z ukrytej w rękawiczce dłoni Mike'a.

– Jesteś skończona, Toni Valentine.



W drodze powrotnej atmosfera jest gęsta. Rodzice Shauny skręcają na nasz podjazd, żegnają się z Mike'em i ze mną. Shauna wyskakuje i rzuca bagaże na śnieg. Znika w aucie, nie zaszczyciwszy nas ani jednym spojrzeniem. Obserwuję odjeżdżającą terenówkę, zadowolona, że pozbyłam się tej kretynki, a zarazem wkurzona, bo musieliśmy

zwrócić pieniądze.

Weekend zmarnowany. Na domiar złego Mike rzucił pracę w sklepie, żeby pojechać w góry. Czuję się winna, bo wciągnęłam go w cudze sprawy.

Mike podaje mi torbę. Dotykamy się opuszkami palców i robi mi się gorąco.

– Dzięki – mówię zarumieniona. – Przepraszam. Spróbuję odzyskać pieniądze... przynajmniej częściowo.

– To się wydawało zbyt piękne, żeby było prawdziwe. – Mike drapie się po szyi.

– Shauna Hamilton się nie liczy – jęczę. – Olać ją. To wariatka. Załatwię ci mnóstwo kasy. Obiecuję.

Obiecuję... To słowo przypomina mi o wczorajszym wieczorze i przyrzeczeniu złamanym przez Mike'a. O pocałunku. Jesteśmy na podjeździe sami, samiuteńcy. Mógłby mnie znów pocałować. Serce kołacze.

– Moim zdaniem twoja firma nie jest dobrym pomysłem – mówi, zarzucając plecak na ramię. – W sprawach damsko-męskich ludzie kierują się uczuciami i bywają nieprzewidywalni.

– Ja nad tym panuję. – W duchu dodaję: nie rezygnuj, błagam. Wodnik pociera kark.

– Otóż to. Możesz robić wszelkie profile, tabelki i harmonogramy, na które ci przyjdzie ochota, lecz nigdy nie zapanujesz nad całością, bo zawiera nieprzewidywalny czynnik ludzki.

– Chcesz się wycofać jak Kowboj? – Serce we mnie zamiera.

– Najpierw padnę przed szefostwem na kolana i poproszę, żeby mnie z powrotem przyjęli do roboty w sklepie z pluszowymi misiami. Jeśli się zgodzą, stała posada będzie najważniejsza. Zlecenia są dla mnie zbyt ryzykowne.

Cofam się o krok i kiwam głową. Patrzy na mnie, otwiera usta i szybko je zamyka. Czuję, że chce coś dodać. Ja również. Chętnie wspomniałabym o pocałunku, ale nie wiem, jak to zrobić, nie wychodząc na idiotkę. Mike łagodnym ruchem dotyka czubka mego nosa i mówi:

– Do zobaczyska, Toni. Nie wpadaj na ściany, dobra?

Gdy odchodzi, wołam za nim:

– Hej, Mike!

Przystaje, odwraca się i czeka. Dostrzegam w jego oczach błysk nadziei, ale to pewnie omamy wywołane silnymi środkami przeciwbólowymi. Nieważne. Trzeba się odezwać... zagadać.

– Co było w turystycznej lodówce?

– Martwy królik. – Mike robi paskudną minę.

Wzdrygam się i patrzę za nim, gdy biegnie ścieżką wiodącą ku drzwiom od ulicy. Wygląda jak facet, który urwał się z koszmarnej randki, i chyba rzeczywiście tak było. Najpierw Shauna cmokała jego ucho, potem namiętnie całował się ze mną. Zaliczył pewnie najpaskudniejszy weekend w swoim życiu.

Wchodzę do domu, udając, że łzy spływają mi po policzkach, bo nareszcie wróciłam do domu i jestem przeszczęśliwa. Mama przytula mnie i ogląda złamane ramię. Nie wspomina o innych urazach. Siniak na kolanie. Obolały nos. Złamane serce. Wydaje mi się, że zdołam na chwilę zapomnieć o Mike'u, aż tu nagle mama wyciąga świeżo upieczone ciasto.



## Rozdział dwudziesty trzeci

B rnę z Emmą przez parking, walcząc z naporem wiatru. Twarz zasłaniam szalikiem. Mam nadzieję, że Emma nie zapyta, jak minął weekend. Wolę w cichości ducha przeżywać tamte wydarzenia, aż dorobię się wrzodów żołądka, lecz Emma łapie mnie za łokieć i szepce do ucha:

– Jak minął weekend?

Mój rozum nie pracuje, jak należy, bo Mike się w nim zagnieździł. Przekręca znaczenie słów przychodzących mi do głowy, zaciemnia wzrok. Nie potrafię wymyślić żadnego kłamstwa. Nie chcę kłamać. Mamrocę w odpowiedzi jakieś dyrdymały. Wchodzimy do budynku szkoły, więc odwijam szal. Kawalek papieru przylepia mi się do buta. Odrzucam go energicznym kopnięciem i idę dalej.

Po chwili milczenia Emma ciągnie mnie do łazienki i zapędza do kąta obok umywalki.

– Gadaj – rzuca, zakładając ramiona na piersi.

Nie mam wyboru. Mówię wszystko. Muszę się przed kimś wygadać. Gdy dochodzę do pocałunku, zatyka mnie i omal nie przerywam. Staram się opowiadać jak najprościej, powtarzając raz po raz, że tamten całus jest mało ważny. Marzę, by ktoś powiedział, że nic się nie stało.

Gdy kończę opowieść, Emma mruga powiekami i sięga po błyszczyk. Maluje usta i podaje mi tubkę. Dziwnie łatwo przywykłam do dzielenia się z nią dziewczynskimi akcesoriami, lecz teraz odmawiam, a moje usta pozostają nieumalowane.

Mogłabym przysiąc, że nadal czuję smak grzańca, który pił Mike.

Emma porusza wargami, rozsmarowując błyszczyk, i mówi:

– Sporo danych do przeanalizowania.

Skubię paznokiec kciuka. Może dzięki niej zdołam to ogarnąć.

- Chciałaś wiedzieć, co się stało.
  - Naprawdę tańczyłaś na rurze? – Emma wzdycha.
  - Raczej wokół laski – wyjaśniam zarumieniona.
- Emma dotyka małych srebrnych kolczyków.

– Poważna sprawa.

Z jękiem opieram się o umywalkę, bo mam zawrót głowy.

– Od razu wiedziałam, że to kiepski pomysł. Przyjaźnię się z Wodnikiem. Nie powinniśmy się całować. – Po chwili milczenia biorę głęboki oddech. – Niepotrzebnie rozdmuchaliśmy sprawę, bo w przyszłym roku zapewne będą nas dzieliły setki mil.

– Proszę? – Emma mruga powiekami.

– Gdybym wybrała uniwersytet w Vermoncie, zrobiłabym to dla Wodnika, nie dla siebie.

– Gdzie chcesz studiować? – pyta z uśmiechem Emma. – Zapomnij na chwilę o Wodniku.

Waham się, aż flaki mi się przewracają. Znam odpowiedź. Znałam ją od dnia, gdy przyszło zaproszenie z uczelni, ale nie chciałam się do tego przyznać. Wyjazd z naszego stanu oznacza rozstanie z chłopakami. Teraz wiem, że to nieuniknione.

– Wybrałam Uniwersytet Purdue w Indianie – mówię, kiwając głową. – Chcę studiować tam, gdzie tata.

– I tak będzie, Toni Valentine – odpowiada Emma, kładąc dłoń na moim ramieniu. Uśmiecham się, bo ulżyło mi, gdy podjęłam decyzję i mimo obaw postanowiłam zrobić wielki krok naprzód. Z drugiej strony jednak odczuwam niepokój. Jak to wyjaśnię Wodnikowi?

– Pogadajmy o interesach – ciągnie Emma, marszcząc brwi. – To nasza druga wpadka. Shauna rozpowie wszystkim, że się zawiodła. Nie jest tak wyrozumiała jak Carrie. – Emma milknie. – Mike zamierza się wycofać?

– Nie wiem. – Kręcę głową. – Potrzebuje kasy. Dziewczyny bardzo się tu liczą z opinią Shauny?

– Zostaw to mnie. – Emma poważnieje, skupiona na interesach. – Zachowałam jej SMS-y z pytaniami o nasze usługi. Jeśli rozejdzie się pogłoska, że chętnie z nich skorzystała, będzie ugotowana. Gdyby próbowała nas pogrążyć, ujawnię wiadomości.

Uśmiecham się. A nie mówiłam? Ta dziewczyna nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Z czasem podporządkujesz sobie cały świat, Emmo Elizabeth Swanson.

– Przestań rozpaczać z powodu Mike’a Garry’ego. I tamtego buziaka.

Odwracam się do lustra i widzę, że policzki mi czerwienieją.

– Przecież mówiłam, że ten pocałunek jest bez znaczenia, jasne?

– Witaj po ciemnej stronie mocy, Toni Valentine. – Emma bierze mnie pod rękę.

– Chwileczkę. Po ciemnej stronie mocy? Jak Darth Vader?

Rozlega się dzwonek. Wychodzimy z łazienki. Znów tłumaczę, że całus się nie liczy. Podejrzewam, że do Emmy, która tylko kiwa głową i uśmiecha się, mój przekaz nie dociera. Gdy drzwi łazienki zamykają się za mną, jakiś świstek znów przyklepia mi się do podeszwy. Wygląda znajomo. Zatrzymuję się i podnoszę go. Mam w ręku kopertę, opuszkami palców wyczuwam w rogu wypukłe logo Uniwersytetu Purdue.

– Jakaś kretynka bezmyślnie wyrzuciła ulotkę – stwierdzam z irytacją.

– Obawiam się, że to nie ma nic wspólnego z bezmyślnością – szepce Emma.

Spoglądam na nią. Stoi bez ruchu i patrzy przed siebie. Podążam za jej wzrokiem i widzę dywan z białych kopert na podłodze opustoszałego korytarza.

– Kurczę blade – szepcę ogarnięta paniką. Jestem totalnie przerażona. – Musimy tu posprzątać! Jeśli dyrekcja znajdzie ulotki...

Zza rogu wyłania się pani Kemper. Zaciekawiona podnosi i otwiera kopertę. Stojąca za mną Emma wstrzymuje oddech. Łapię ją za łokieć, jakby wystarczyło się jej chwycić i wszystko będzie dobrze. Podczas lektury profilu Mike’a mina pani Kemper zmienia się z radosnej na zatroskaną.

– To sprawka Shauny – szepce Emma. – Ja to wiem.

– Wszystko będzie dobrze – odpowiadam cicho, ściskając jej łokieć. – W ulotkach brak nazwisk. Jest tylko fotka chłopaka

i wyidealizowana charakterystyka. Nic takiego.

Pani Kemper podnosi głowę i nas dostrzega.

– Dziewczęta?

Podchodzi do nas z otwartą kopertą w dłoni.

– Już po nas! – jęczy cicho Emma.

– Wiecie coś o tej sprawie? – rzuca pani Kemper.

– Chodzi o uczelniane foldery rozrzucone w korytarzu? –

Z politowaniem kręcę głową, testując swe wątpliwe zdolności aktorskie.

– Może to jakiś protest?

– Przeciwko czemu? – Wyraziste brwi pani Kemper wznoszą się wysoko.

– Zapewne chodzi o naciski dotyczące wyboru studiów – odpowiadam niepewnie, drapiąc się po szyi. Zapewne poczerwieniałam, i to mnie zdradza. – Walające się koperty oznaczają... bo ja wiem... zaśmiecony umysł i ogólnie bezład.

Milknę z braku pomysłów, a pani Kemper pochmurnieje. Nie łyknęła moich wykrętów. Czas mija. Nie dziwiłabym się, gdyby Emma zemdląła.

– Już późno. Biegnijcie do klasy, dziewczęta – rozkazuje pani Kemper.



Wieczorem odpalam laptopa, żeby obejrzeć film i oczyścić umysł, ale powracam myślą do dywanu z białych kopert. Nerwowo gryzę troczki kaptura. Pani Kemper przeprowadzi śledztwo. Powiąże mnie z ulotkami. To jedynie kwestia czasu, zwłaszcza jeśli przesłucha Shaunę Hamilton. To nieuniknione. Koniec firmy. Mike nie zbierze kasy na studia.

Mike. Przesuwam opuszkami palców po ustach i wspominam pocałunek. Wargi mam drętwe. Myślę uporczywie o Mike'u, o Mike'u, o Mike'u. Przyglądam się słowom wypisanym na moim gipsie, aż litery zmieniają się w bezsensowne symbole pozbawione znaczenia. Słowa. Litery. Zdania. Żyję w obcym świecie. Emma dobrze mówi: przechodzę na ciemną stronę mocy. Wszystko smakuje, wygląda i brzmi inaczej.

Zza okna dobiega znajomy odgłos kozłowania piłki. Zerkam przez



szpary w rolocie. Lanser, Kowboj i Mike, ciepłutko ubrani, grają w koszykówkę na podjeździe Garrych.

Tego mi potrzeba. Chwili normalności. Jak za dawnych dobrych czasów.

Wkładam bluzę i wybiegam z domu. Mama wyjęła dziś listy, ale śmiało drepcę do skrzynki. Trudno grać ze złamanym ramieniem, ale będzie miło, jeśli zostanę zaproszona. Oho! Lanser mnie zobaczył. Tak myślę. A może nie.

Śnieg wpada mi do trampek. Zerkam na grających. Jest pochmurno. Lanser trafia do kosza i krzyczy wniebogłosy. Kowboj przewraca oczami. Otwieram skrzynkę i zaglądam w pustą czeluść. Podnoszę wzrok i chwytam spojrzenie Mike'a. Serce mi bije.

Odwraca głowę, śmieje się, zabiera piłkę Kowbojowi i pudłuje, choć miał czystą sytuację. Żołądek mi się kurczy, gdy wracam do domu z rękoma wciśniętymi w kieszeń na przodzie bluzy. Ten głupi pocałunek. Właśnie z tego powodu nikt się teraz do mnie nie odzywa. Wszystko przepadło.

– Buła! – wrzeszczy Lanser, wciskając piłkę pod pachę. – Pokaż, co potrafisz!

Próbuję skryć uśmiech i ulgę. Drocą się ze mną. Zachowanie typowe dla chłopaków. Dokuczają, dowcipkują, nadają głupie przezwiska. Podchodzę bez pośpiechu, choć najchętniej pomknęłabym przez trawnik i podziękowała, że mnie przygarnęli. Mike i Kowboj wydają się mocno zakłopotani. Jedyne ten ostatni na mnie patrzy. Na kilka chwil zapada krępujące myślenie. Skąd ta dziwna atmosfera?

– Cześć, Kowboj – mówię. Całe wieki go nie widziałam. – Jak ci idzie z Katie Morris?

Drepce w miejscu. Spuszcza oczy.

– Nadal szukam idealnej sposobności, żeby zagadać – odpowiada.  
– Dostałem stypendium w Johanson State Collage. Studia załatwione.

– Gratuluję! – wołam. Dobra nowina. Jestem wściekła, bo przez kilka tygodni się nie spotykaliśmy, ale oboje byliśmy zajęci. Latem nadrobimy zaległości. Taką mam nadzieję. Mniejsza z tym, że nie potrafi zagadać do Katie. Z czasem wyrośnie z bolesnej nieśmiałości. Prędzej czy później.

Skrobię gips i patrzę na Mike'a, który odwraca wzrok i wciska ręce w kieszenie kurtki. Naprawdę musimy pogadać.

– Chętnie zobaczymy, co potrafisz, Buła – mówi Lanser, kozłując piłkę.

Dzięki Bogu. Zmiana tematu. Unoszę zagipsowane łapsko.

– Mogę grać jedną ręką – odpowiadam.

– Piłki do tego nie potrzebujesz. – Lanser uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Przestań. – Mike spogląda na Lansera i pociera kark. Czegoś tu nie rozumiem, ale staram się zachować spokój.

– Lanser boi się, że ze mną przegra – rzucam kpiąco. Trzęsę się z zimna, bo jestem zbyt lekko ubrana do zabaw na śniegu, lecz ani myślę zmykać do domu.

– Dlaczego mi nie dałaś tamtej narciarskiej randki? – Lanser mruży oczy i oblizuje spierzchnięte usta. Mówi oskarżycielskim tonem, niemal obraźliwie. Jestem zaskoczona, ale odpowiadam rzeczowo.

– Panna upatrzyła sobie Wodnika. Nasz klient, nasz pan.

– Mnie się zdaje – odpowiada ponuro Lanser, zręcznie kozłując piłkę – że chodzi o dużą kasę dla Wodnika. Chcesz mu pomóc. Dostaje więcej zleceń niż inni. Mnie przydzieliliś tylko Lemon.

– Daj spokój, człowieku. Odpuść sobie – wzdycha Mike.

– Nieprawda – odpowiadam podniesionym głosem. Narciarska randka jest tylko pretekstem; chodzi nadal o nasz głupi wybryk. Lanser ma do mnie pretensje. – Próbuję pomóc wam wszystkim. Musimy działać zespołowo.

Lanser kozłuje piłkę coraz mocniej, aż zaczynam się obawiać, że rozwali beton na podjeździe.

– Dwa tysiąki za weekend? Gdybym miał taką kasę, wszystko byłoby inaczej. Wy dwoje i te wasze podchody! – Ruchem głowy wskazuje Mike'a i mnie. – Wszystko spapraliście. Nie tylko ja tak myślę.

Lanser zerka na Kowboja, który podnosi ręce w geście poddania.

– Nie chcę się w to mieszać.

– W co? – Serce mi wali. W czym rzecz? Bunt na pokładzie.

Rozłam. W świetle latarni cienie padają na śnieg. Jest zimno i cicho, ocolica opustoszała, większość sąsiadów zalega na kanapach,

odreagowuje i dojrzuwa do tego, żeby pójść spać. Mam dziwne wrażenie, że sztama z chłopakami lada chwila rozsypie się w pył.

– Wiesz, dlaczego obławy już mnie nie kręcą? – pyta Lanser, ciągnąc się za ucho. – Widzę, jak patrzysz na Wodnika, gdy wypływamy na jezioro. Bardzo się różnimy od tamtych dzieciaków sprzed lat.

W przyszłym roku stąd wyjedziemy. Pogódź się z tym.

Policzki mnie pieką. W jaki sposób ja patrzę na Wodnika?

– Dlatego chcesz lato spędzić w Kolorado? – pytam, starając się zachować spokój. – Żeby nas skreślić jak najszybciej, bo nieuchronnie się zmieniamy?

– Chwilami myślę, że wcale cię nie znam. – Lanser marszczy brwi i znów kozłuje piłkę.

– Jestem taka sama, jak dawniej. – Bawię się troczkami dresów. – A ty masz problem z rodzicami. Nadal mnie obwiniasz za tamten głupi wybryk. To nie moja wina, że latami się objąłeś, Lanser. Nie wiń mnie, że starzy żądają, abyś stał się w końcu odpowiedzialnym facetem.

Lanser rzuca do kosza i pudłuje. Piłka toczy się po śniegu. Lanser ją zostawia i chucha w zziębnięte gołe dłonie. Wskazuje słup z koszem.

– Zademonstrujesz nam swój taniec na rurze, Buła? Słyszałem, że masz nowe hobby. Widzisz? Naprawdę kiepsko cię znam.

Robię krok w tył, bo nagle robi mi się słabo. Inni stoją nieruchomo i milczą. Słyszeć tylko świst wiatru. Patrzę na Mike'a. Zwrócony twarzą do garażu kryje twarz w dłoniach okrytych rękawiczkami. Raz po raz kręci głową, jakby myślał, że wszystko się ułoży. Nic z tego. Co im powiedział o naszej krótkiej wyprawie? Lanser kopie grudę śniegu.

Kowboj niespodziewanie podnosi piłkę i szykuje się do rzutu. Trafia i po swoim, z rezerwą, przecina podjazd, unosząc ramiona, jakby czekał na brawa. Nikt nie klaszcze, ale ktoś jednak próbował zatrzeć złe wrażenie. Nic tu po mnie. Lanser mówi, że słabo mnie zna. Ja też mało o nim wiem. Obawiam się, że nie rozpoznają żadnego z chłopaków.

Odwracam się plecami do mojej ferajny, która przestała nią być, i wracam do domu. Nadeszła pora, żeby pożegnać się z dzieciństwem. Wszystko się zmieniło. Nie ma powrotu. Trzeba zerwać z przeszłością.

– Toni! Poczekaj! Nie nabijałem się z ciebie! – Zza pleców dobiega

znajomy głos.

Nie mogę patrzeć na Mike'a. Ruszam biegiem i wpadam do domu. Opieram się plecami o drzwi wejściowe i chwytam oddech. Patrzę na gips i nabazgrane na nim głupie słowa, zastanawiając się, czego im nagadał o naszym wyjeździe. Co wspólnie obśmiali? Jestem dla nich tematem żartów i plotek wymienianych podczas nasiadówek w piwnicy. Zostałam wykluczona z ferajny.



## Rozdział dwudziesty czwarty

Naprawdę chcesz to zrobić? – pyta Emma. Siedzi przy moim biurku i układa kolorami rzadko używane karteczki samoprzylepne. – Nie ma takiej potrzeby. Przestań je wkładać i tyle.

– Muszę odreagować. Poza tym zwijają się na tyłku niezależnie od tego, czy noszę je pod spódnicą, czy same.

Patrzę na stare piłkarskie spodenki rozłożone na łóżku. W prawej ręce trzymam nożyczki. Biorę głęboki oddech. Czas pożegnać się z tym, co i tak przestało działać. Gdy wznoszę nożyczki, Emma beka. Zerkam przez ramię. Macha ręką i mówi:

– Przepraszam. Śmiało. Rób swoje.

Bez zastanowienia tnę spodenki przez środek, ale nożyczki grzęzną w tkaninie; próbuję ją rozerwać, lecz ze złamaną ręką nie daję rady. Emma podbiega i chwyta spodenki z jednej strony. Ja trzymam z drugiej. Kiwa głową, żeby mi dodać odwagi.

– Gotowa? – pyta.

Potwierdzam skinieniem głowy. Spodenki pękają na samym środku. Zadowolona kładę nożyczki na łóżku. Siadam ciężko przy biurku i żłapię napój z puszki, a zafrasowana Emma przygląda się rozerwanym spodenkom. Pomyśleć tylko. Nie chciałam się ich wyrzec, a teraz zostały zniszczone.

Podskakuję, gdy telefon Emmy wibruje. Ekran się rozświecila. Emma pospiesznie chwyta komórkę, ale kątem oka dostrzegam imię. Dostała SMS od Lansera.

Zaaferowana patrzy na ekran i mówi:

– Aha. Lanser dotarł do Lemon.

– Zgodnie z planem – odpowiadam nabzdyczona.

Pani Kemper przez kilka tygodni prowadziła śledztwo dotyczące ulotek, ale dziewczyny z mojego liceum potrafią dochować tajemnicy.

Trzymają buzie na kłódkę. Forsą także nie szastają. Firma marnie prosperuje. Szczerze mówiąc, nie mamy wzięcia. Dzisiejszy wieczór jest wyjątkiem. Lanser i Mike zostali zaklepani na walentynki.

– Stan przejściowy, Toni. – Emma wzdycha, siada na łóżku i macha nogami. – Mam na myśli aferę z twoją ferajną.

– Tak. Być może. – Odwracam wzrok. Raczej nie. Co się stało, to się nie odstanie. Przygnębiona upijam łyk z puszki. Brak mi chłopaków, ale mam dość prowizorki. Nie jestem już dla nich rozrabiarą z kościstymi kolanami. Trudno mi nadal uważać ich za przyjaciół, którzy za nic w świecie nie zrobią mi przykrości.

– Trzymaj kciuki, żeby dzisiaj wszystko poszło jak z płatka. – Emma skupia się na interesach. Chowa telefon do kieszeni džinsów. Pazury ma dziś wściekle niebieskie. – Może nasza „Wypożyczalnia dżentelmenów” wyjdzie znowu na prostą.

Wzruszam ramionami. Zabawiam się gierką na komórkę. Popyt jest znikomy, więc musiałyśmy zrezygnować z Henry’ego i Jasona. Zlecenia dajemy tylko Lanserowi i Mike’owi. Mike... Teraz Emma zajmuje się jego randkowym harmonogramem. Ja z nim nie rozmawiam. Dziwna sytuacja. Przez cały rok walczyłam, żeby ferajna przetrwała, i przez te wysiłki straciłam przyjaciół. Lanser myśli, że go skreśliłam. Kowboj po nieudanej randce zamknął się w sobie. A teraz mam kłopot z Mike’em. Trudno. Nic nie trwa wiecznie. Taka prawda.

Wspominam lato, gdy zobaczyliśmy Jezioraka. Siedzieliśmy na skraju pomostu z gołymi nogami w wodzie. Obserwowaliśmy zachód słońca. Grały świerszcze i cykady, ciepła bryza szła od jeziora. Siedzieliśmy w milczeniu, chrupiąc wielkie dropsy, i nagle zobaczyliśmy, że coś się wynurza. Ciemny kształt kilka metrów od nas. Mignął ogon. Ogon Jezioraka. Istne czary. Od tamtej chwili byliśmy nierozłączni.

Radosny głos Emmy wyrywa mnie z rozmarzenia.

– Mam randkę – oświadcza. – Prawdziwą.

– Tylko mi nie mów, że pogodziłaś się z Kevinem. – Odkładam komórkę i oblizuję palce lepkie od słodyczy.

Emma patrzy na swoje białe nogi i chwyta nitkę przyczepioną do różowego swetra.

– Mam nowego chłopaka – odpowiada. – Znasz go.

Serce mi się ściska. Czyżby mówiła o Mike’u? Po wieczornej grze w koszykówkę wysłał mi kilka SMS-ów. Chciał pogadać twarzą w twarz. Odmówiłam. Potrzebuję czasu. Sam jego widok sprawiłby mi przykrość. Ale tęsknię do naszych spotkań. Coś się między nami zaczęło... lub mogło się zacząć, ale nic z tego nie będzie.

Powinnam chyba zaakceptować, że Emma chce z nim chodzić. Nie mam do niego żadnych praw. Muszę pozwolić mu odejść.

– Możesz randkować, z kim chcesz, Emmo. – Zdobywam się na przypochlebny uśmiech. – Masz moje błogosławieństwo.

Zrywa się z łóżka, rozsuwa rolety i wpuszcza do pokoju światło księżycy. Patrzy na zmięte papierzyska walające się obok mego biurka, ale daje sobie spokój z porządkowaniem. Siada znów na moim rozgrzebanym wyrku.

– Naprawdę? – pyta. – Co za ulga.

Gardło mam ściśnięte. Burczy mi w brzuchu. Wsuwam stopy w dywan.

– Dokąd cię zabiera? Nad jezioro? – Uśmiecham się szeroko, aż do bólu mięśni.

Emma opiera się na łokciach i krzywi twarz.

– Luke nie lubi tam jeździć – odpowiada. – Poza tym jest zimno.

Kręcę głową.

– Chwileczkę... Luke?

– Tak. – Emma milknie i uśmiecha się. – A o kim według ciebie mówiłam?

– Nieważne. – Rzucam pustą puszkę do kosza na śmieci stojącego przy drzwiach. Odbija się od krawędzi i rykoszetem wpada do środka.

– Chodziło ci o Mike’a? – Emma chichocze. – Kochana jesteś, Toni. Chciałaś zrezygnować dla mnie z miłości swojego życia i te pe.

– On nie jest... – Przerywam. Trzeba zmienić temat. – A więc to Luke? Opowiadaj.

Błagam, nie wspominaj już o Mike’u! Emma wyczuwa, o co chodzi.

– Wszystko zaczęło się, gdy przeczytałam jego dziennik – wyjaśnia. Parskam śmiechem.

– Przetrzymałaś go?

– Byłam ciekawa! – odpowiada. – Nie sądziłam, że zakocham się w tych zapiskach.

Zewsząd słyszę o miłości. Mdli mnie od tej gadki. Zsuwam się na podłogę i przyciągam kolana do brody.

– Kochasz autora? – pytam niemal szeptem.

– Bo ja wiem? – Emma wzdycha i chichoce. – Za wcześnie na takie deklaracje. Spotkaliśmy się parę razy. Mam dobre przeczucia. Znasz jego zapiski?

– Pytasz, czy zdarzyło mi się ukraść mu dzienniki i przeczytać notatki? – mówię z chytrym uśmieszkiem i milknę. – Odpowiedź brzmi: nie.

– Niczego nie ukradłam. – Emma pochyla się i ciśniej nawija kosmyk włosów na palec. – Zwróciłam ten zeszyt.

– Boję się pytać, co tam nagryzmolił – mówię, otwierając pudełko miętówek. Na pewno rozpisuje się o tym, że mnie nienawidzi.

– Dużo miejsca poświęca potworowi z jeziora – mówi Emma. – Wygląda na to, że tamtego lata wasza ferajna świetnie się bawiła.

Pochylam głowę i z uśmiechem wspominam ten wspaniały dzień. Ogarnia mnie przygnębienie. Otwieram kolejną puszkę coli.

– Dobra nowina. Zasługujesz na szczęście, Emmo.

– Ty również, Toni. – Skubie luźną nitkę wystającą z różowego swetra. – Czasami bywa trudno, prawda? – Przechyla głowę na bok, a włosy barwy miodu zasłaniają jej pół twarzy. – Miłość to nie jest prosta sprawa?

Przyglądam się śladom po szczotce odkurzacza na blad różowym dywanie. Gdy Emma do mnie przychodzi, zarządza gruntowne porządki.

– Bo ja wiem? – odpowiadam, wzruszając ramionami, choć domyślam się, o co jej chodzi.

– Będzie w domu przed północą – mówi Emma wolno i dobitnie, jakby komunikowała mi przykrą prawdę. – Musisz z nim pogadać.

Wiem, że nie mówi teraz o Lanserze. Problem w tym, że nie umiem rozmawiać z Mike'em. Po prostu nie potrafię. Cokolwiek wyznam, powtórzy Lanserowi i Kowbojowi, a ja nie chcę być obiektem żartów. Nic już nie jest święte. Mimo wszystko czuję jego obecność tam,



w sąsiednim domu. Nie mogę udawać, że jest inaczej. Wkurza mnie, że tak na mnie działa.

– Szczerze mówiąc... – Zrywam się na równe nogi, jakbym gwałtownym ruchem próbowała wyrzucić Mike'a z pamięci. – Mam na dzisiejszy wieczór inne plany.



Na cmentarz dojeżdżam po północy. Jasny blask księżycy oświetla świeże czerwone róże umieszczone przy nagrobkach. Kilka baloników w kształcie serca chwieje się na wietrze. Parkuję w głębokim cieniu na poboczu drogi przecinającej cmentarz.

Z małym notesem wciśniętym pod prawe ramię meandruję znajomą ścieżką między grobami. Mogiła taty ginie w mroku, uparcie kryjąc się przed walentynkowym księżycem.

– Cześć, tatusiu – mówię, klękając na zmarzniętej ziemi. Naciągam kaptur na głowę. – Wszystkiego dobrego na walentynki.

Czasami łudzę się, że nagrobek się do mnie odezwie. Zabrzmi cichy pomruk albo szept... cokolwiek. Nic z tego. Nawet wiatr jest przeciwko mnie. Cisza jak makiem zasiał; wszelkie dźwięki zostały zakazane. Pochylam się i wielokrotnie odczytuję słowa wyryte na nagrobku. Imię i nazwisko taty. Mam złudną nadzieję, że litery ułożą się w inny napis i odkryję, że to był koszmary sen. Tata stanie za mną, powie, że wracamy do domu, bo zrobiło się późno, i obejmie mnie ramieniem. Pośmiejemy się z nocnych koszmarów. Uświadomię sobie, że moje przeżycia oraz koleje losu naszej rodziny to był tylko zły sen.

Wycieram nos rękawem, zdziwiona, że policzki mam mokre od łez. Sądziłam, że bez trudu potrafię je powstrzymać. Przeglądam notesik, patrząc na szeregi naklejek przedstawiających kanarka z kreskówki. Zblakły mocno; dawniej były jaskrawożółte, teraz kolory spłowieły. Naklejek mam co najmniej setkę, wypełniają wiele stron. Kanareczek uśmiechnięty, nadąsany, w okularkach... Naklejki rozmaitych kształtów i rozmiarów.

I nagle koniec. Puste strony. Wyrosłam z takich nagród. Gdybym na to przystała, tata w nieskończoność nagradzałaby tak wszystkie moje sukcesy.

Długo klęczę z notesem pełnym naklejek na kolanach, wspominając, za co dostałam każdą z nich. Nagle słyszę chrzęst żwiru. Widzę z daleka światła samochodu szybko nadjeżdżającego drogą. Zamykam notes i wstaję.

– Tato, mam nadzieję, że mnie widzisz – szepczę do nagrobka. – Chcę wierzyć, że wiesz wszystko, znasz tę nową wersję mnie i rozumiesz, jakie komplikacje czekają mnie w przyszłości. Rzec w tym, że nie chcę zatrzymać się w rozwoju, tatku. Pragnę być dziewczyną z kolorowymi paznokciami, od czasu do czasu nosić spódnicę... jeśli przyjdzie mi na to ochota – chichoć. – Pragnę być studentką, szarżować i tchórzyc, zostać biznesmenką albo inżynierem, albo nauczycielką, albo pielęgniarką, albo lekarką. Kiedy się znowu spotkamy, a jestem pewna, że tak będzie, mam nadzieję, że rozpoznasz we mnie swoją małą rozrabiakę z kościstymi kolanami.

Auto staje na niewielkim parkingu po prawej stronie. Kierowca wysiada i pędzi ścieżką w moją stronę. Chowam się za drzewem. Dziwny odruch, ale podejrzewam, że zjawił się tajemniczy osobnik, który odwiedza mogiłę taty i od czasu do czasu zostawia nową bandanę.

Śledzę wzrokiem wysoką postać na wąskiej ścieżce. Tajemniczy osobnik niemal biegnie wąską ścieżką i staje przed grobem taty. Chmury rozsuwają się i blask księżycy przenika je na chwilę, oświetlając stojącego bez ruchu chłopaka z zarostem na policzkach, kwadratową szczęką i króciutkimi włosami. Jest w garniturze, krawat ma rozluźniony i przekrzywiony.

Mike.

Przyglądam mu się, gdy kładzie na ziemi czerwoną bandanę. Stoi przez kilka minut z pochyloną głową. W końcu prostuje się i odchodzi. Stoję nieruchomo, aż jego honda znika w ciemnościach.

Dobrze się rozumieli z moim tatą. Małolatom nie w głowie romantyczne rojenia, więc Mike był po prostu kumplem z sąsiedztwa. Nie sądziłam, że regularnie odwiedza tatę.

Czuję się dziwnie, jakby w moim wnętrzu zagnieździły się leciutkie, puchnące baloniki. W drodze powrotnej nie mogę się pozbyć tego uczucia, choć zagłuszam je, puszczając głośno muzykę country. Mike. Jasne, że przychodzi na grób taty, mimo że przestaliśmy ze sobą

rozmawiać. Wracam do domu okrężną drogą wzdłuż jeziora. Zerkam na gładką powierzchnię, łudząc się, że zobaczę pluskającego się w wodzie Jezioraka i czarny ogon chłostający fale. Na pewno czuje się samotny w głębinie... zwłaszcza dziś.

A jeśli zmiana nie oznacza rozstania? Można by zewrzeć szeregi. Nie dowiem się, jeśli nie pozwolę Mike'owi zobaczyć tej części mnie, która pozostaje w ukryciu. Emma dobrze mówi.

Powinam z nim porozmawiać.

Gdy zbliżam się do domu, widzę, że siedzi u nas na werandzie. Serce mi wali. Może przyszedł mu dziś do głowy ten sam pomysł. Zostawiam auto na biegu i wyskakuję radosna, bez tchu. Matko, ależ się stęskniłam.

– Cześć – mówię, próbując skryć uśmiech, żeby nie zdradzić się od razu ze swą niecierpliwością.

Staję jak wryta, gdy z za rogu wyłania się Kowboj. Coś mi tu śmierdzi.

– Jakiś problem? – rzucam.

– Chodzi o Lansera – mówi Kowboj, skubiąc zawieszkę suwaka kurtki. Patrzy na Mike'a, którego urodziwa twarz jest skrzywiona i poważna. – Ma kłopoty.



## Rozdział dwudziesty piąty

S iadam w hondzie z przodu, na krytym wytartą skórą fotelu pasażera, i skubię nerwowo luźną nitkę sterczącą przy kolanie. Dziwnie się tu czuję bez Lansera. Gorące powietrze z nawiewu dmucha mi w twarz. Naciągam rękawy kurtki na zziębnięte dłonie i patrzę w mrok za oknem, nie zwracając uwagi na swoje blade odbicie w szybie.

– Zanim połączenie zostało przerwane, zdążył powiedzieć, że jest na drodze w pobliżu jeziora – tłumaczy Mike. – Tam zaczniemy poszukiwania. Może znów zadzwoni, więc miejcie pod ręką komórki.

Mój telefon leży na kolanach. Trudno wyczuć, w czym mogę pomóc, zwłaszcza że nie wiadomo, o co chodzi. Ważne, że tutaj jestem. Wiem tylko, że pół godziny temu Lanser zadzwonił do Kowboja, błagając o podwózkę, a Kowboj wezwał na pomoc Mike'a.

Jedziemy wzdłuż brzegu, światła przeczesują taflę jeziora. Tyle chciałam powiedzieć Mike'owi, wiele muszę wyjaśnić, ale teraz się nie da. Nie przy Kowboju obserwującym wszystko bez słowa. Dawniej nie miałam problemu z tym, że jest taki milkliwy, ale dziś jego obecność wydaje się natrętna i przytłaczająca. Mike kicha, jęczy i wyciąga z kieszeni chusteczkę, żeby wytrzeć mocno zaczerwieniony nos.

Spoglądam na niego, szarpiąc wystającą nitkę.

– Nie dbasz o siebie.

– To zwykłe przeziębienie. – Wzrusza ramionami. – Drobiazg.

– Za dwa dni będziesz leżał w łóżku jak kłoda, nie wykazując oznak życia – odpowiadam. Marynarkę ma wymiętą, krawat rozluźniony, pod zmęczonymi oczyma głębokie cienie.

Włącza radio, gra za cicho, ale za to leci piosenka Keitha Urbana. Mike nie zmienia stacji, więc domyślam się, że radyjko włączył dziś dla mnie. Pociąga nosem.

– Nie da się przewidzieć przyszłości – odpowiada.

– Twoją widzę jak na dłoni. – Siadam wygodniej i zerkam na niego. – Taki dar.

– Albo klątwa. – Mike skrywa uśmiech.

– Albo jedno i drugie. – Wzruszam ramionami. Moje uczucie wobec niego też może być darem lub klątwą. Darem z powodu radosnego trzepotu serca i podobnych atrakcji, a klątwą, bo teraz wszystko się zmienia. Nie tylko między nami. Lanser miał rację, gdy powiedział, że sprawy Mike’a i moje wpływają na całą ferajnę.

– Wcale się nie wyśmiewałem z twojego tańca w chacie Hamiltonów, Toni – wybuchają nagle Mike. – Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale taka jest prawda. Chciałem się poradzić. Tylko dlatego o tym wspomniałem.

Gapię się na patykowatego ludzika, którego narysowałam na gipsowym opatrunku. Mój wzrok przyciągają słowa nabazgrane pod rysunkiem. Nie przyznam się, jak często je odczytuję. Miło jest znów siedzieć obok Mike’a jak za dawnych lat, choć nieuchronnie wszystko się zmieniło. Można powiedzieć, że za uprzejmością, pochopnymi gestami i dziecięcymi przewiskami ukrywamy swoje własne potwory.

– Skupmy się na szukaniu Lansera, dobrze? – rzuca Kowboj. – Gadał, jakby był pijany albo i gorzej.

Mike kaszle i hamuje tak nagle, że lecę do przodu. Samochód zatrzymuje się gwałtownie. Pasy bezpieczeństwa wrzynają mi się w ciało.

– Głupek! – wrzeszczy Kowboj, machając rękami.

– Przepraszam, ale chyba go widzę. – Mike wskazuje kształt majaczący w oddali.

Mrużę oczy, wpatrzona w przednią szybę. Ktoś stoi nad wodą i macha ramionami, podskakując w świetle reflektorów. Kędzierzawy brunet z czerwoną smugą na twarzy.

– O Boże. – Wyskakuję z auta. Kowboj też wysiada i mnie wyprzedza. Mike gramoli się za nami, ale nie wyłącza silnika. Reflektory oświetlają jezdnię.

Lanser, kulejąc, zbliża się do nas. Na mój widok przystaje i wrzeszczy:

– Do diabła, Kowboj! Co jest grane? Mówiłem, żebyś przyjechał

sam!

– Ja jej nie zabrałem – odpowiada Kowboj, kręcąc głową. – To był pomysł Wodnika. Co ci się stało, kretynie?

Widzimy teraz obrażenia Lansera. Zasnęta krew pokrywa nochal, prawe oko jest podbite i mocno spuchnięte, łuk brwiowy głęboko rozcięty. Wiatr rozwiewa poły brudnej koszuli, czarne spodnie są poplamione krwią.

– Rany, co się stało? – pytam i żołądek podchodzi mi do gardła. Biedny Lanser.

– A jak myślisz? – prycha. – Dostałem lanie.

– Kto cię tak urządził?

Jak to się stało, że w środku nocy wylądował na pustkowiu, zbity na kwaśne jabłko, skoro dziś wieczorem pracował dla Lemon. Może przypadkiem uraził kogoś wredną uwagą lub żartem, obawiam się jednak, że afera dotyczy zlecenia, co oznacza, że to moja wina.

Lanser patrzy na Kowboja i Mike'a.

– Chłopaki, co ona tutaj robi? Wszystko wygada Emmie. Dla mnie to krępujące.

– Spadamy stąd – mówi Kowboj, odgarniając włosy.

Ściągam kurtkę i podaję Lanserowi, który patrzy na nią, jakby to była bomba zegarowa.

– Śmiało – dodaję. – Będzie na ciebie pasowała.

– Weź, stary – namawia Mike. – Jesteś siny z zimna.

Lanser wyszarpuje mi kurtkę z ręki i opatula posiniaczone cielsko. Wsparty na ramionach chłopaków kuśtyka do samochodu. Idę za nimi. Po chwili wszyscy siedzimy w środku. Ogrzewanie działa na maksa. Lanser siedzi za mną nieruchomo z głową przytkniętą do szyby.

– Kto cię tak urządził? – pyta Kowboj.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Lanser.

– Na pewno coś widziałeś – zagaduję ostrożnie.

Lanser przegarnia włosy zmasakrowaną łapą.

– Siedziałem w aucie, spokojnie czekając na Lemon, żeby ją odwieźć do domu, gdy wyjdzie od swojej dziewczyny. Nagle jakiś facet wywlókł mnie na ulicę, spuścił manto, wpakował do bagażnika śmierdzącego rybami i wywiózł nad jezioro. Rozwalił mi też komórkę.

– Powinniśmy wezwać gliny – radzi Kowboj.

– Nie! – sprzeciwia się Lanser. – Jeśli starzy się dowiedzą, będę miał szlaban i nici z wyjazdu do Kolorado.

– Nie ukryjesz przed nimi złamanego nosa – tłumaczę, odwracając się do tyłu. – A rozcięcie łuku brwiowego wygląda paskudnie. Warto by podjechać do szpitala.

– Dzięki za podpowiedź. Obejdę się bez takich porad – mamroce z przekąsem Lanser. – Zawieźcie mnie do domu. O nic więcej nie proszę.

Mike i ja spoglądamy na siebie. Co nam pozostaje? Mike wrzuca bieg i auto wtacza się na drogę. W milczeniu jedziemy do domu Lansera.

Nasz pechowiec wkrótce znowu się odzywa.

– Po tej aferze należy mi się więcej kasy – mówi. – Dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach.

W lusterku wstecznym widzę, że przytknął do nosa rękaw koszuli, ale krwawienie chyba ustało.

– Niebezpieczna robota – dodaje Kowboj.

– Dzięki za informację. Sama się o tym przekonałam. – Unoszę zagipsowane ramię.

– Nie wiemy, czy pobicie ma związek z lipną randką – odpowiada Mike. Odwraca głowę i kaszle, zasłaniając usta ręką.

– Daj spokój! Ta robota opiera się na kłamstwie! Może ktoś rozkminił, co jest grane. Wiem tylko tyle, że po raz pierwszy w życiu ktoś mnie, kurde, sprął całkiem bez powodu!

– Pogadam z Lemon – wtrącam, szarpiąc nitkę wystającą z tapicerki fotela. – Ustale, o co chodziło.

– Ja pasuję. – Lanser kręci głową. – Zwalniam się, jasne?

– Proszę? – Ponownie odwracam głowę.

Lanser wyciera krew zaschniętą na nosie.

– Kowboj dobrze zrobił, rezygnując od razu. Masz pojęcie, jak te panny z twojego liceum mają namieszane w głowach?

– Totalnie pokręcone – stwierdza Kowboj.

Policzki mnie pieką.

– Moje koleżanki wcale nie są pokręcone. To są normalne ludzkie istoty. Od czasu do czasu muszą wyluzować, podobnie jak reszta świata.

– A nie mówiłem? – Lanser wybucha śmiechem. – Wszystkim szajba odbija. A ty stałaś się jedną z nich.

– ACH TAK? – wrzeszczę. – JESTEM DUMNA, ŻE DO NICH DOŁĄCZYŁAM. – Celuję palcem w Lansera. – Wiesz co? Zwalniam cię!

– Nie ma takiej opcji! – odparowuje. – Sam się wycofałem.

Mike naciska hamulec i lecimy do przodu. Tym razem jestem na to lepiej przygotowana, ale Lanser wali nochalem w oparcie mego fotela i wrzeszczy.

– Wodnik, co ty wyprawiasz?

– Toni próbuje nam pomóc, człowieku – mówi Wodnik.

Po chwili milczenia Lanser detonuje śmiertcionośną bombę.

– Powiedziała ci, że w przyszłym roku wyjeżdża na Uniwersytet Purdue? Wy dwoje podobno rozmawiacie o wszystkim, tak? Papużki nierozłączki...

– Możesz się wreszcie zamknąć? – pytam, a serce mi kołacze. Coraz mocniej szarpie wystającą nitkę. Urywa się i zostaje mi w palcach. Gapię się na nią, żeby nie patrzeć na Mike'a. To Emma powiedziała Lanserowi o mojej decyzji. W przyszłym roku opuszczę stan Vermont. Mike dowiedział się wreszcie, lecz nie ode mnie. Zbyt długo zwlekałam.

Po dłuższej chwili zdobywam się na odwagę, żeby na niego spojrzeć. Wzrok ma utkwiony w kierownicy, pociera zaczerwieniony nos. Upuszczam nitkę, która spada na podłogę.

– Mike...

Lanser otwiera drzwi i gramoli się z auta. Stoimy blisko jego domu, ale jest w kiepskiej formie.

– Ktoś powinien za nim iść – mówi Kowboj. Stuka mnie w ramię, jakby oczekiwał, że zgłoszę się na ochotnika.

– Aha. Ty idź. Ja mu obrzydłam – mówię.

– Trzeba z tym skończyć – odpowiada Kowboj. – Rusz się, Toni. Zrób porządek.

Kurczę. Wsiadam z samochodu i gonię Lansera. Prawie się z nim zrównuję, gdy mówi:

– Odwal się, Buła. Mówię poważnie.

Zostaję w tyle, lecz idę dalej. Honda wolno sunie za nami,



reflektory oświetlają zmasakrowaną głowę Lansera. Biedak wygląda okropnie.

– Przepraszam, że przeze mnie masz kłopoty z rodzicami! – wołam za Lanserem. – Przykro mi, że nie możesz pojechać do Kolorado. Czuję się winna z powodu dzisiejszej afery.

Lanser idzie dalej, jakby nie słyszał. Kuleje. Drepcę za nim w odległości kilku kroków. Zatrzymuję się na skraju podjazdu. Lanser podchodzi do drzwi i nie odwróciwszy się, znika w środku. Macha tylko na pożegnanie. Kurtki raczej nie odzyskam. Naszych spraw nie uporządkowałam.

Wracam do samochodu, zamykam oczy i odlatuję. Wyobrażam sobie, że mam dziesięć lat i na środku ulicy ćwiczę kozłowanie piłki. Mijam śliczne domy i szmaragdowe trawniki. W oddali lśni jezioro. Pod powierzchnią czai się potwór. Otacza mnie trzech najlepszych kumpli. Chłopaki mnie bronią, rozśmieszają, drocą się ze mną. Przy nich czuję się ważna.

Wspomnienia są jak skamieliny. Odkurzam je, chowam do kieszeni.

Patrzę na Mike'a.

– Ty również pasujesz? Jeśli tak, zrozumiem.

Mowa nie tylko o firmie. Problem jest poważniejszy. Tylko z pozoru chodzi o zniewagi i rozkwaszony nos, grę w kosza i filmy o potworach. Ciekawe, co by na to powiedziała pani Kemper. Czy szczerść zawsze popłaca?

Mike kicha potężnie i wyciera nos. Prowadzi w milczeniu. Parkuje przed domem Kowboja, który otwiera drzwi i mówi:

– Mieliśmy ciekawe walentynki.

– Chwileczkę, Kowboj – mówię, odwracając się w jego stronę.

– Tak? – Nieruchomieje z jedną nogą na chodniku.

– Zaproś Katie Morris na bal maturalny – radzę. – Po prostu zagadaj, kretynie. Nie potrzebujesz kasy, żeby ją poderwać. Bądź szczery i tyle. Bądź sobą. Postaraj się. Za rok pewnie wszystko się zmieni, a ty nadal będziesz się zastanawiał, jak by zareagowała.

Przywitaj się i zacznij rozmowę.

Kowboj bezmyślnie gapi się na mnie, kilkakrotnie mruga

powiekami. Twarz mu czerwienieje. Otwiera usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale bez słowa wysiada z samochodu i biegnie na ganek. Domyślam się, że moja dobra rada niewiele dla niego znaczy. W takim układzie też bym siebie nie słuchała.

W milczeniu parkujemy na podjeździe domu Mike'a. Wysiadam z samochodu, nogi mam jak z waty. Może to wieczorne przeżycia i złość tak mnie osłabiły, a może tę niedyspozycję wywołało coś innego. Mike staje przy aucie, kładzie kluczyki na masce i zdejmuje marynarkę.

– Wróciłem do pracy – mówi schrypniętym głosem – ale nie rezygnuję. – Podaje mi marynarkę. – Proszę. Na pewno zmarzłaś.

– Dzięki. – Wsuwam ramiona w rękawy pachnące wanilią.

Czas wrócić do domu. Jutro będzie nowy dzień, a mnie się nie chce ruszyć sprzed domu Garrych. Nad nami majaczy obręcz kosza. Pragnęłam tego sam na sam, a teraz czuję się dziwnie.

– Niesamowite walentynki. Było ostro. – Mike się uśmiecha.

– Domowy seans „My Bloody Valentine” byłby stosownym zwieńczeniem tego wieczoru. – Moje słowa brzmią jak zaproszenie. I tak właśnie jest. Chcę, żeby Mike przyszedł do mojego pokoju i się przytulił. Stoi nieruchomo. Cisza jest zabójcza. Mike kaszle, kicha i wyciera nos. Po chwili myślę, że jednak powinien się położyć. To nie jest najlepszy moment na ważną rozmowę.

– Aha. Muszę ci pogratulować – mówi, pocierając nos. – Mówię o studiach w Uniwersytecie Purdue. Świetnie. Twój tata oszalałby z radości.

– Dzięki... Ja... – Powinnam się wytłumaczyć, ale nie wiem jak. Postąpiłam wbrew naszym wspólnym planom, nie mówiąc mu o tym. Z Vermontu do Indiany jest kawał drogi. Najchętniej unieważniłabym przestrzeń i odległości, żeby wszystko było w jednym miejscu. Wtedy nie musielibyśmy się rozstawać.

– Dobranoc, Toni Valentine. – Mike pociąga nosem i odchodzi z rękami w kieszeniach. Jasna, wyrazista konkluzja poraża mnie swoją oczywistością. Formowała się w mojej głowie tygodniami, miesiącami, a może nawet latami. Przerazająca, odlotowa, bezsensowna, cudna, wspaniała, rozedrgana myśl.

Zakochałam się w moim najlepszym przyjacielu. Kocham

Mike'a Garry'ego. CHOLERA JASNA.



## Rozdział dwudziesty szósty

W kafeterii panuje zgiełk, jest gorąco i śmierdzi frytkami. Nienawidzę centrów handlowych. Sterty kolorowych toreb, z których wystają rozmaite szmatki, spoczywają u nóg Emmy i obok różowych szpilek Lemon. Nie mam pojęcia, jak ona chodzi na tych swoich szcudłach, nie łamiąc kostek. W przeciwieństwie do koleżanek ostatnie trzy godziny spędziłam, udając zainteresowanie butami o astronomicznych cenach. Tak naprawdę próbowałam przekonać samą siebie, że moje niedawne odkrycie jest pomyłką. Coś jakby efekt uboczny.

Nie mogę kochać Mike'a Garry'ego. W tym roku rozjeżdżamy się na studia. Związki na odległość to mit. Poza tym nie mogę zakładać, że Mike odwzajemnia moje uczucia, bo zapewne tak nie jest. Przypominam Bridget Jones; dałam się oczarować facetowi, który mnie nie chce.

Lemon składa ręce jak do modlitwy i mówi:

– Przepraszam, Toni. Jestem głupia. Mało powiedziane. Debilka ze mnie.

– Skąd miałaś wiedzieć, że tak się to skończy? – Emma matczynym gestem gładzi ją po plecach. Lemon poprawia ciemne włosy ostrzyżone na pazia.

– Powinnam bardziej uważać. Za dużo gadałam.

– To nie twoja wina. – Skubię frytki. Dwa stoliki dalej dziecko zaczyna ryczeć. Przygryzam usta, żeby nie wrzeszczeć.

Lanser ucierpiał przeze mnie. Lemon jest niewinna. Oczyma wyobraźni znów widzę utykającego kumpla i jego zakrwawiony nos. Opowiedziałam o wszystkim Emmie, choć nalegał, żebym nie rozgłaszała tamtej afery. Emma jest moją współniczką i przyjaciółką, więc powinna znać prawdę.

Potwierdziły się moje obawy. „Wypożyczalnia dżentelmenów” jest

odpowiedzialna za cierpienia Lansera.

– Nie przypuszczałam, że brat Jess posunie się tak daleko – ciągnie Lemon, sącząc colę zero. – Moja dziewczyna nie przesadzała, mówiąc, że czasami zachowuje się jak psychol.

Emma nadal gładzi Lemon, która wyznaje swoje winy. Bez apetytu sięgam po kolbę kukurydzy.

Jess, dziewczyna Lemon, kilka dni przed pobiciem Lansera była z rodziną w sklepie. Jej starszy brat Jacob podsłuchiwał Lemon, która też przyjechała tam na zakupy i opowiadała rodzicom o Lanserze. Kłamała jak najęta; wspomniała nawet o ślubie.

Jej starzy łyknęli nowinę, a Jacob, który zna prawdę i popiera związek dziewczyn, uznał, że Lemon oszukuje jego siostrę. Wkurzył się okropnie. Takie zachowanie można by uznać za urocze, gdyby nie doszło do rozlewu krwi. Jakob zemścił się na Lanserze.

Wściekł się, widząc inkryminowanego osobnika, który jak zwykle czekał w aucie na Lemon. Wzdragam się, kiedy myślę, że Lanser mógł poważnie ucierpieć. Z mojego powodu.

„Wypożyczalnia dżentelmenów” ledwie dyszy. Lanser, Kowboj, Jason, Henry już dla nas nie pracują. Został tylko Mike, w którym jestem szalenie zakochana.

Może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pora oprzytomnieć. Nie potrafię kontrolować ludzi ani się nimi posługiwać, dla zysku czy w miarę bezinteresownie. Gdy próbuję, robi się bałagan i dochodzi do bójk. Twarz Lansera jest tego dowodem.

W drodze powrotnej z zakupów Emma stara się poprawić mi humor, włączając stację radiową nadającą muzykę country. Według niej jestem przygnębiona, bo firma marnie prosperuje. Gdyby tylko знаła prawdę...

– To chwilowe załamanie, Toni. Już to przerabialiśmy. – Bębni palcami po kierownicy w gepardzie cętki. – Popelniliśmy błąd. Zadbaliśmy o bezpieczeństwo klientki, ale nie myśleliśmy o chłopakach. Zakładałam, że sami potrafią się o siebie zatroszczyć. Głupio, nie? Należało im na przykład wymyślić pseudonimy, żeby chronić ich prywatność. Nadal możemy to zrobić.

– Popyt jest znikomy – mówię, opierając skroń o szybę.

Nieskazitelne autko Emmy pachnie wiosną. To miłe. – Powinnyśmy chyba zamknąć firmę, Emmo. Naprawdę czas ją zlikwidować. Pani Kemper na pewno ustali, kto za tym stoi. Musimy nabrać dystansu do tej sprawy.

Emma zaciska usta i patrzy prosto przed siebie. Moim zdaniem obie wiemy, że to już koniec. Firma padła.

Z trudem pogodziłam się z tym, że kocham Mike'a, ale nie mam pojęcia, jak powiedzieć o tym Emmie. Podobno dziewczyny opowiadają sobie o sprawach sercowych, ale analizowanie uczuć nie należy do moich mocnych stron.

Czy rzecz straci na znaczeniu, jeśli o niej opowiem?

Czy miłość znaczy więcej, gdy się ją ukrywa?

Emma podwozi mnie pod sam dom. Patrząc w okna Garrych, mój oddech zmienia się w obłok pary. Gotowa jestem postawić całą kasę zarobioną w „Wypożyczalni dżentelmenów”, bezpiecznie schowaną na czarną godzinę pod materacem, że Mike jest poważnie chory i zaszył się w swoim pokoju. Zapewne nic nie je, nie pije i nie zażywa leków. Nie lubi obnosić się ze swymi dolegliwościami. Ten typ tak ma.

Wchodzę do domu. Mama i Brian wtuleni w siebie na kanapie oglądają program o domowych remontach. Ich śmiech dobiega mnie w kuchni, gdy popijam colę z puszki. Świeżutka partia markiz Briana, z malinami i białą czekoladą, niewiarygodnie pysznych, boskich, rozkosznych, stygnie na kuchennym blacie.

Zaglądam do salonu. Mama i Brian siedzą przytuleni jak dwie nadtopione figurki z czekolady i miziąją się nawzajem, ogarnięci błogostanem, który na wieki chyba pozostanie dla mnie tajemnicą. Tamci dwoje w ogóle nie słyszeli, że weszłam.

Markizy znów przyciągają moją uwagę. Niezdolna oprzeć się pokusie wkładam jedną do paszczy i pakuję kilka do plastikowego pudełka. Wrzucam lekarstwa do kieszeni plecaka, biorę z lodówki butlę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i maszeruję do sąsiadów.

Ostrożnie stawiam butlę na pudełku i gapię się na dzwonek u drzwi Garrych. Na moment ogarniają mnie wątpliwości. A jeśli Mike nie chce mnie widzieć? Może każe mi spadać? Wizja tego biedaka leżącego w łóżku, dręczonego chorobą, samotnego i zboląłego, pomaga mi

zwalczyć obawy. Naciskam dzwonek.

Otwiera mi Amy. Policzki ma uróżowane, usta pomalowane szminką w kolorze jabłkowej czerwieni.

– Ach – mówi bez entuzjazmu. – To ty.

– Cześć, mała. – Promiennie się uśmiecham.

– Przestań mnie tak nazywać. – Amy zamyka za mną drzwi.

Zbывa mnie i podbiega do wielkiego lustra umieszczonego przy wieszaku na ubrania. Przegląda się, poprawia szminkę, wygładza czerwony sweterek, podciąga obcisłe džinsy. Wspominam czasy, gdy ubierała się tak samo jak ja: piłkarskie spodenki, workowaty T-shirt, znoszone trampki. Dawniej wygoda była dla niej najważniejsza.

Chrząkam i próbuję zagadać tę nieznaną istotę:

– Dałaś radę, prawda?

– Słucham? – Amy łapie w lustrze moje spojrzenie. Ma oczy Mike'a, ale brak im łagodności.

– Pierwszy rok w nowej szkole. – Uśmiecham się. – Za parę miesięcy będzie po sprawie. Moim skromnym zdaniem to najtrudniejszy rok w liceum. Jeśli przetrwasz, będziesz miała z górki.

– Może ty miałaś z tym problem, Toni – prycha Amy. – Ja nie. Jestem lubiana. Poza tym nie bekałam jak facet. – Gdy biegnie na górę po schodach wyłożonych puszystym chodnikiem, bose stopy zostawiają w nim wgłębienia. Z westchnieniem poprawiam swój ładunek.

– Jak miło – mruczę, idąc w głąb korytarza do pokoju Mike'a. Dom jest dziwnie cichy. Zapewne państwo Garry wyszli dziś po południu. To jedna z tych par, które co sobota wyruszają po obiedzie na poszukiwanie nowej kanapy, ale nigdy jej nie kupują.

Staję przed drzwiami Mike'a, a serce fika mi między żebrami jak cyrkowy artysta na trampolinie. Podnoszę dłoń, żeby zapukać, i butla z sokiem omal nie spada na podłogę. Po namyśle stawiam spożywczy zestaw pierwszej pomocy na podłodze. Pani Garry podobnie jak syneczek nienawidzi płam. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Obciążam sweter, zdejmuję z rękawa czarny koci włos i pukam. Zza drzwi dobiega stłumiony głos; daremnie próbuję rozróżnić słowa. Przekręcam gałkę i wchodzę do środka.

Najpierw rzucają mi się w oczy stosy zużytych chusteczek do nosa,

otaczające łóżko niczym mur obronny. Rozglądam się wokół. Równiutko ułożone książki o potworach? Są. Starannie odkurzony telewizor na czyściutkim stoliku obok łóżka? Na swoim miejscu. Plakat z Wielką Stopą? Jest.

Dostrzegam ludzki zewłok rozciągnięty na zielonej kołdrze, z oczyma utkwionymi w suficie.

– Coraz lepiej udajesz trupa. Gdy ostatnio widziałam cię w tej roli, byłeś mniej przekonujący. Naprawdę wyglądasz jak martwiak. Jestem pod wrażeniem.

Mike otwiera usta. Gdy próbuje odpowiedzieć, wydobywa się z nich osobliwy charkot. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby splunął garścią insektów.

– Erm – mamroce.

Kładę na biurku lekarstwa na przeziębienie, a następnie przynoszę sok pomarańczowy i pudełko z ciastkami pozostawione w korytarzu. Odkręcam butlę i pytam:

– Możesz usiąść, jeśli łaska?

– Erm.

Dopinguję chorego, aż siada z głową opartą o ścianę. Oczy ma szklane, nos zaczerwieniony, usta spieczone. Dyszy i paskudnie kicha. Odkakuję, żeby mnie nie opluł.

– Na szczęście mój system odpornościowy działa bez zarzutu – mówię, przytykając do jego ust butlę z sokiem pomarańczowym. – Pij.

– Nngh.

– Rób, co każe. – Przewracam oczyma.

Wmusza w siebie kilka łyków. Połyka dwie aspiryny. Gdyby regularnie się wysypiał, pewnie szybko zwalczyłby przeziębienie. Sądzi, że choroby się go nie imają i działa jak niezawodna maszyna, lecz tyle czasu spędza w chłodzie nad jeziorem, uganiając się za legendarnym monstrum, że w końcu złapał wirusa.

– Gdy twoje kubki smakowe zaczną funkcjonować, jak należy, czeka cię niespodzianka. Na biurku masz coś pysznego – mówię, zakręcając butlę. Ustawiam pudełko z ciastkami równolegle do krawędzi biurka, bo Mike lubi porządek.

Otwieram szufladę stolika pod telewizorem i przeglądam rozmaite



płytki, szukając odpowiedniego filmu.

– Hej! Przestań grzebać w moich rzeczach! – Głos Mike’a brzmi chrapliwie. Biedak osuwa się z jękiem i otula kołdrą.

– Ach! Trup przemówił! – wołam, teatralnym gestem chwytając się za serce. – Wyluzuj. Przeszukuję twój tajny schowek, więc na pewno trafi się perełka.

Moją uwagę zwraca jeden tytuł. Wsuwam DVD do odtwarzacza, zdejmuję buty i siadam na łóżku obok Mike’a. Wsuwam nogi pod kołdrę. Nasze stopy dotykają się przez skarpetki. Mike ani drgnie. Ciekawe, czy słyszy, jak mi serce kołacze.

– Przypomnij mi. – Stawiam mu na kolanach pudełko chusteczek. – Ile nominacji do Oscara ma „Ice Spiders”? Takie arcydzieło powinno zgarnąć wszystkie nagrody.

– Racja, to klasyk. – Mike podciąga się nieco.

Jestem w stanie myśleć tylko o tym, że jego ramię dotyka mojego. Milkniemy i oglądamy film. Pół godziny później lekarstwo zaczyna działać i Mike’owi opadają powieki. Wstaję z łóżka, wkładam buty i na palcach idę ku drzwiom.

– Toni? – szepce Mike otulony kołdrą.

– Tak?

– Jesteś śliczna. I cudowna. – Kicha i wyciera nos. – Wiesz o tym? Serce mi wali, gdy gaszę światło. O matko! Kocham cię, Mike.

Kocham Wodnika.

– Zarazki wyżerają ci mózg – odpowiadam. – Teraz śpij.

Gdy naciąga kołdrę, mam ochotę wszystko mu powiedzieć. Muszę to zrobić. Pora wyznać, że go kocham i tak dalej. Zadanie nie jest trudne. Wystarczy kilka słów.

Może jutro.

Gdy wróci mu pamięć.



## Rozdział dwudziesty siódmy

Następnego ranka budzę się z kotem Piłkarzem na głowie. Sierściuch mruży na cały regulator. Przesuwam się wolniutko. Bestia syczy, wbija mi pazury w czoło i czmycha z pokoju.

– Au! – Klnę paskudnie i siadam, chwytając się za łeb. Krew lepi się do palców. Z jękiem spoglądam na budzik. Czasu mam niewiele.

Dezynfekuję zadrapania i przyklejam na czole wielki plaster Hello Kitty ze słodką kiciunią. Innego w domu nie mamy. Ironia losu. Nogi mi się płaczą, gdy pospiesznie wkładam licealny mundurek. Czeszę zmierzwione kudły i wyglądam przez okno. Samochód Mike’a stoi jeszcze na podjeździe.

Zbiegam do kuchni i dla kurażu otwieram puszkę coli w nadziei, że cukier doda mi animuszu. Wchodzi mama z oczyszczającą maseczką na buzi i włosami spiętymi w kok na czubku głowy.

– Musimy porozmawiać – mówi.

– Spieszę się... – Mam nadzieję, że spotkam Mike’a, nim odjedzie, choć nie wiem, co mu powiem. Chcę go tylko zobaczyć.

– Nie zabiorę ci wiele czasu. – Mama patrzy na moje czoło. – Co ci się stało?

Mamrocę coś o kocich pazurach. Zakłopotana siadam i przesuwam po blacie puszkę coli z ręki do ręki. Wkrótce do kuchni wchodzi Brian i od razu wiem, że rozmowa zapowiada się paskudnie. Jestem w pułapce.

– Brian i ja chcemy cię o coś spytać – zagaduje mama, zerkając na małżonka w poszukiwaniu duchowego wsparcia.

Brian poprawia krawat i upija łyk kawy. Nie wiem dokładnie, gdzie pracuje. Chyba w ubezpieczeniach. Trzeba go kiedyś zapytać.

– Mój brat zaproponował, żebyśmy spędzili najbliższy weekend w jego domku letniskowym... – mówi Brian.

– Nie mogę jechać – wpadam mu w słowo. – Bez urazy.

Brian mruga powiekami, jakby łudził się, że dzięki temu zniknę mu z oczu. Mama pochyła się i zabiera mi puszkę.

– Chcemy jechać sami, córeńko – tłumaczy.

– Aha. – Prostuję się, jakbym kij połknęła. – Co ze mną? Porzucicie mnie na chodniku koło śmietnika?

Mama spogląda na Briana, puszczając tę uwagę mimo uszu.

– Wiem, że jesteś zaskoczona, ale oboje uważamy, że jesteś wystarczająco odpowiedzialna, żeby pod naszą nieobecność zadbać o dom.

Mama naprawdę w to wierzy, ale Brian błędnie na samą myśl o nastolatce, która zostaje sama (rany boskie!) w domu. Według niego licealistka przypomina kotkę w czasie rui, a buzujące hormony poplamiają jego bezcenną kanapę i te pe.

– Co sądzisz o tym pomysśle? – pyta z nadzieją matula. – Dasz sobie radę, Toni?

Domyślałam się, że Brian pragnie na parę dni uwolnić się od mojej obecności. Kimże ja jestem, by niweczyć jego marzenia? Przywołuję na twarz fałszywy uśmiech i odpowiadam:

– Jasne. Śmiało możecie mi zaufać.

Mama zwraca puszkę.

– Świetnie. Wyruszamy dziś wieczorem. Teraz pędź do szkoły i pokaż wszystkim, co potrafisz.

Zrywam się na równe nogi i mknę ku drzwiom. Gdy wypadam na podjazd, widzę auto Mike'a znikające za rogiem. Przepadło. Odjechał.



Podczas godziny zwierzeń zaliczyłyśmy pięć minut martwej ciszy. Jabłkowy grzaniec stoi nietknięty. Gapię się na drewnianą podłogę, jakby to był najciekawszy widok świata. Emma siedzi w kręgu naprzeciwko mnie, żuje kosmyk włosów i wytrzeszcza oczy wielkie jak spodki.

Pani Kemper czeka. W prawej dłoni trzyma kopertę z ulotką „Wypożyczalni dżentelmenów”.

– Żadna z was nie wie nic o folderach tych młodzieńców? – wypytuje pani Kemper. – Trudno mi w to uwierzyć.

Lemon kaszle, ale milczy. Shauna też się nie odzywa, wpatrzona w rząd kubków stojących przed nami na stole. Wszystkie udajemy głuche i nieme.

– Prowadzenie działalności zarobkowej na terenie szkoły, stanowiącym jej własność, to poważne wykroczenie – mówi stanowczym głosem pani Kemper. – Takie przedsięwzięcia są sprzeczne z regulaminem. Ktoś musi coś wiedzieć. Te ulotki nie znalazły się w korytarzu same z siebie.

Odruchowo rzucam Shaunie oskarżycielskie spojrzenie. Pani Kemper od razu to spostrzega. Cholera.

– Toniu? Shauno? – Unosi kopertę. – Czy któraś z was zna sprawę? Tyłek mnie swędzi. Zerkam na Shaunę, która też mi się przygląda. Na jej ustach pojawia się z wolna paskudny uśmiezek...

– Zakochałam się w moim najlepszym przyjacielu! – wrzeszczę. Shauna gwałtownie zamyka usta, reszta dziewczyn gapi się na mnie. Pochylona do przodu pani Kemper mówi:

– Proszę?

– Jestem dziś gotowa do zwierzeń – dukam. – Będę szczerą.

Naprawdę.

Pani Kemper mruga powiekami.

– Owszem, ciekawe. Hmm, opowiadaj, Toniu.

Rozglądam się. Koleżanki z prywatnego licem gapią się na mnie. Lemon. Shauna, Emma. Po raz pierwszy czuję się całkiem bezradna. Wycieram spocone dłonie o spódnicę.

– Zakochałam się w moim najlepszym przyjacielu – podejmuję wątek. – To mój sąsiad. Znamy się od piaskownicy. On nie wie... w każdym razie tak mi się wydaje. Obawiam się, że to zaszkodzi naszej przyjaźni.

– Znów mówimy o chłopakach – wzdycha pani Kemper i pociera skronie.

– Trudno wyczuć, czy mogę liczyć na wzajemność – dodaję, nie zwracając uwagi na słowa pani Kemper. Dobrze jest wyrzucić to z siebie. – Chyba jest na mnie zły, bo postanowiłam wyjechać na studia z Vermontu i mu o tym nie powiedziałam. Mieliśmy wspólne plany, lecz ostatecznie wybrałam inaczej! Czuję się z tego powodu jak ostatnia

zołza.

– Wybrałaś uczelnię? – Pani Kemper promienieje. – Wspaniała nowina, Toniu.

– Dzięki. – Wiercę się w fotelu. – Ale nie w tym rzecz, chociaż... Pani Kemper klaszcze w dłonie.

– Nieważne – mamroce. – Proponuję, żebyśmy skróciły dzisiejsze spotkanie. – Podnosi wysoko białą kopertę. – Jeżeli coś wiecie o tych folderach, proszę o informację. I tak dowiem się wszystkiego. – Zdejmuje włos przyczepiony do granatowego zakietu. – Życzę miłego popołudnia, miłe panie.



Opatulona Emma idzie za mną przez parking. Miodowe loki są mocno naelektryzowane.

– Powinnaś mu powiedzieć.

– Nie mogę. Wykluczone. – Dygocę, walcząc z podmuchami zimnego wiatru. Pędzę do auta, spragniona lubego ciepelka. Marzę o tym, by szybko dotrzeć do domu i zaszyć się na jakiś czas w swoim pokoju. Gdy sięgam po kluczyki, Emma woła:

– Hej, Toni!

– Tak? – rzucam z roztargnieniem, otwierając auto.

– Wolalabym na razie nie zrezygnować z naszej firmy. Jeszcze do tego nie dojrzałam – mówi. – Brzmi głupio, prawda?

Spoglądam na nią. Policzki ma zarumienione, usteczka lśniące i różowe.

– Nasza działalność stała się zbyt ryzykowna. Nie możemy tego ciągnąć – tłumaczę, odgarniając włosy opadające na czoło. – Słyszałaś, co powiedziała pani Kemper: zarabianie kasy na terenie szkoły to poważne wykroczenie. Musimy się wycofać i zamknąć firmę. Mamy szczęście, że nikt dotąd na nas nie doniósł. Możemy zostać wyrzucone, zawieszane albo...

– Taki finał jest nie do przyjęcia! – protestuje nagle Emma piskliwym głosem. – To się nie może tak skończyć!

Wygląda na przerażoną. Znów robi wielkie oczy, jakbym ukradła jej samochód albo zrobiła coś równie paskudnego.

– To koniec, Emmo – tłumaczę spokojnie. Nie mamy innego wyjścia.

– Tak po prostu? – Macha ramionami.

– Owszem. – Gdy otwieram drzwi, chwytam mnie za łokieć i zatrzymuje.

– Ale nadal będziemy się kumplować, co? – pyta.

– Dlaczego pytasz? – Spoglądam na nią.

Pociąga nosem i zasłania go ręką w bladą różową mitencę.

– Zastanawiam się czasami, czy przyjaźniłabyś się ze mną, gdyby nie nasza firma.

Wybucham śmiechem i zdrową ręką walę ją w ramię.

– Jesteś na mnie skazana do końca życia, Miodzio.

Emma marszczy nos.

– Miodzio?

– Taka ksywka – proponuję, wzruszając ramionami. – Pasuje do koloru twoich włosów. I do charakteru. Jesteś słodka i działasz kojąco. Nie podoba ci się mój pomysł?

Emma namyśla się przez chwilę.

– Miodzio. Ładnie.

– Zawsze możemy wymyślić inne przezwisko. Nie ma problemu. – Znów stukam ją w ramię. – Pa, Miodzio.

Wsiadam do auta, włączam ogrzewanie i siedzę przez kilka minut, zacierając ręce. Odprowadzam wzrokiem Emmę, która drepce do swojego samochodu. Nagłe unicestwienie naszej firmy rzeczywiście wydaje się niestosowne. Bez ostrzeżenia, bez pożegnania. Tak nie można. Powinniśmy efektownie zamknąć ten rozdział. Wyskakuję z auta i biegnę za Emmą, wołając ją po imieniu. Przystaje i patrzy na mnie.

– Wiesz co? Potrzebujemy kropki nad i. – Brak mi tchu. I kondycji, to jasne. – Chodzi o firmę. Co myślisz o pożegnalnej imprezie? Mama i Brian wyjechali, dom jest pod moją opieką.

Emma uśmiecha się, piszczy i przytula mnie tak mocno, że ledwie dyszę. Na pewno zrobiłam się sina.

– Zgadzasz się? – Wybucham śmiechem. Wypuszcza mnie z objęć i wali pięścią w ramię. Au! Ta panna jest silna w rękach.



Siedzę na podjeździe i pokrywam beton rysunkami, czekając, aż samochód Mike'a wyłoni się zza zakrętu. Warstewka śniegu nadal leży na trawniku, ale chodniki są czyste, a jezdnie czarne. Naciągam głębiej kaptur. Słońce zaszło przed dwudziestoma minutami. Księżyc i latarnie oświetlają mokrawy beton, na którym próbuję narysować kanareczka.

W końcu honda wyjeżdża zza rogu ulicy. Rzucam kredę, wstaję i wciskam ręce w kieszenie. Przyglądam się, jak Mike parkuje, wysiada, zamyka drzwi, pociera brodę i spogląda w okno mojego pokoju.

Opuszcza głowę, wpatruje się w półmrok i pyta:

– Toni?

Macham ręką. Jak kretyńka. Wiem, że zaraz tu przyjdzie. O Boże. Już idzie.

Ma na sobie spodnie w kolorze khaki i białą koszulkę polo pod kurtką. Ubiór roboczy. Jego oddech w zimnym powietrzu zmienia się w obłok pary. Chcę złapać tę chmurkę i ukryć w kieszeni. Zachować na później. O matko, totalny odlot. Miłość doprowadza mnie do szaleństwa.

– Hej? Wszystko dobrze? – rzuca Mike.

– Doskonale. Czemu pytasz? Jak się czujesz? – Przeszczępnę z nogi na nogę, jakbym potrzebowała odwiedzić łazienkę. Próbuję nad tym zapanować, ale w obecności Mike'a nie potrafię stać spokojnie.

– Dużo lepiej. Dzięki tobie – odpowiada. – Markizy były przepyszne.

– Brian je upiekł. – Uświadamiam sobie, że po raz kolejny gadamy tylko we dwoje. Dużo czasu spędzamy sam na sam, a mimo to nie wiemy, jak rozplątać ten węzeł.

– Znowu kontuzja? – Kiwa głową i przeszczępnę z nogi na nogę. Tonę na moment w jego oczach.

– Proszę? – mówię rozkojarzona.

Wskazuje palcem moje czoło. Zażenowana przykrywam ręką plaster z koteczką.

– Drobiazg. – Robię się czerwona. – Awantura z sierściuchem.

– Głupi Piłkarz – komentuje Mike.

Zaciskam palce i przyglądam się literom na gipsie. *Moje*

*najszczęśliwsze przeprosiny*. Kocham też jego charakter pisma. Kolejne wariactwo.

– Czy... no... Masz czas w przyszły weekend? – pyta Mike po dłuższym milczeniu. Zaprasza mnie na randkę? – Ma się ocieplić. Jeziorak może wypłynąć.

– Przyszły weekend? – Udaję zamyśloną, bo wolę się nie przyznawać, że mój kalendarz jest żałośnie pusty. – Da się zrobić. Oczywiście. Już się cieszę. Świetny pomysł. Tak. Jasne. Hura. – Hura? Jestem żałosna. – Skoro mowa o planach, jutro jest u mnie impreza. Przyjdiesz, co?

– Impreza? Tutaj? – Krzywi się. – Upodabniasz się do Lansera?

– To przyjęcie pożegnalne. Koniec z firmą – mówię, drapiąc gips. – Musimy ją... zamknąć. Postanowione.

– To było do przewidzenia. – Mike kuli ramiona. Czuję się winna. Gdybym działała skuteczniej, zarobiłby więcej kasy.

– Przepraszam, Mike. Chciałam ci pomóc...

Macha ręką. Cudną ma rękę.

– Nie ma sprawy – mówi. – Należy mi się stypendium. Dziadkowie trochę pomogą. Nadal muszę pracować i zarabiać, ale wszystko się ułoży.

– Uniwersytet w Vermoncie?

– Niezłomny Wodnik. – Pociera zarośnięty policzek. – Trzyma się swoich planów.

– Możesz je zmienić, jeśli zechcesz. – Robię krok w jego stronę. Odległość między nami topnieje. Zapala się światło nad garażem Garrych. Rodzice Mike'a wypatrują syna.

– W tym problem – odpowiada Mike, ścisząc głos. – Nie chcę ich zmieniać. Podoba mi się obrany kierunek.

Zarumieniona odwracam wzrok i myślę o przyszłym roku. Odległość. Różnice. Wyobrażam sobie, że zaraz dostanę to, czego chcę. Tu i teraz. Niech Mike powie, że mnie kocha. Może odwzajemnia moje uczucie, ale nie chce tego wyznać albo woli nie słuchać moich zwierzeń.

Minę ma nieprzeniknioną. Gładzi krótko ostrzyżone włosy i cofa się o krok. Rozszerza się przepaść między nami.

– Wracając do twojej imprezy – mówi. – Sprawdzę, czy mogę



przyjść.

– Mam nadzieję, że dasz radę. – Zmuszam się do uśmiechu.

– Cześć, Buła. – Niedbale kiwa głową na pożegnanie. Odchodzi, a ja otwieram usta, żeby go przywołać i zwrócić na siebie uwagę, ale głos mnie zawodzi. Wkrótce Mike znika w domu. Mogłabym tam pójść i zapukać do drzwi, zadzwonić czy wysłać SMS, ale stoję jak słup.

Buła. Dla niego wciąż jestem Bułą.



## Rozdział dwudziesty ósmy

Powinnam zachowywać się jak odpowiedzialna nastolatka. Rzecz w tym, że według Briana taki byt nie istnieje. Skoro on z góry zakłada, że palnę głupstwo, kiedy będą się z mamą relaksować w domku letniskowym, niech mu będzie. Uwielbia mieć rację, więc satysfakcja gwarantowana.

Gdy rozlega się dzwonek u drzwi, zjeżdżam po poręczy i z hukiem ląduję na podłodze w holu. Otwieram drzwi i wpuszczam Emmę, która trzyma dwie identyczne czarne sukienki ozdobione mnóstwem frędzli.

– Zaczynamy rozróbę – mówi z uśmiechem.

Biorę prysznic, golę nogi, reguluję brwi, myję i układam włosy, a potem Emma robi mi makijaż. Opowiada o Lanserze, malując mi usta kwaśnawym błyszczkiem. Ci dwoje oficjalnie nie zostali jeszcze parą, ale zaliczyli kilka randek. Zero całusów. Na razie, dodaje z naciskiem Emma. Jestem zadowolona, że się dogadują. Naprawdę. Ktoś powinien mieć szczęście w miłości.

Gdy Emma kończy makijaż, boję się spojrzeć w lustro. Cieniutkie ramiączka sukienki wrzynają się w ramiona. Ilekroć je poprawiam, Emma bije mnie po łapie. Kot Piłkarz siedzi w nogach łóżka. Gdy go mijam, żartobliwie trąca łapką frędzle sukienki. Jeśli nigdy więcej jej nie włożę, przyda się jako kocia zabawka w rozmiarze XXL.

Emma kontempluje swoje dzieło.

– Niesamowite. Jestem mistrzynią.

Zerkam w lustro umieszczone na drzwiach wewnątrz szafy i ze zdumieniem widzę... znajome odbicie. Nadal jestem sobą. Wytuszwane rzęsy, lśniące usta, lekki rumieniec, ale to nadal ja. Nie czuję się dziś obcą osobą.

– Dzięki. – Staram się być wesoła i szczęśliwa, ale ostatnie spotkanie z Mike'em czai się za każdą myślą i odczuciem. Buła.

Niespodziewanie znienawidziłam swoje przezwisko.

Emma wrzuca kosmetyki do saszetki w kształcie serca.

– Mam nowinę. Wyjątkowo nie dotyczy chłopaków.

– Świetnie – wzdycham. – Na razie mam ich dość.

– Dostałam się na Harvard.

– Naprawdę? – Odwracam się natychmiast.

Emma kiwa głową, beznamiętnie czesze włosy i wygładza frędzle bliźniaczej sukienki. Spokojnie bierze się do przyklejania sztucznych rzęs, jakby przed chwilą nie padła nowina przełomowa dla całego jej życia. Nie wytrzymuję. Zaczynam podskakiwać, piszczeć, krzyczeć.

– CO JEST? NIE ZASZALEJESZ ZE MNĄ?

– Próbuję być taka jak ty – wyjaśnia Emma. – Spokojna, opanowana, konkretna.

Zaczynam podskakiwać. Ściany drżą, kilka puszek coli spada z biurka. Rozzłoszczony Piłkarz daje susa z łóżka i czmycha na korytarz.

– PRZESTAŃ! – krzyczę. – WARIUJMY RAZEM!

Roześmiana Emma przyłącza się do mnie. Na szczęście Briana nie ma w domu, więc nie słyszy piskliwych wrzasków. Po kilku minutach szaleńczych płasów po pokoju zatrzymujemy się, żeby złapać oddech.

– Dziś wieczorem imprezujemy, żeby uczcić Emmę, studentkę Harvardu – mówię, kłaniając się nisko mojej uzdolnionej przyjaciółce.

Emma wyjmuje z torby ostatni element naszych stylizacji: dwa lśniące brokatem różowiotkie krawaty.

– Wiem, że powtarzam się jak zdarta płyta – mówi, zakładając mi jeden na szyję. Odwzajemniam się tym samym. – Powinnaś mu powiedzieć.

Pochmurnieję, odwracam głowę i patrzę na opuszki palców muśnięte drobinkami brokatu. Buła. Wyraźny sygnał, że jestem dla niego jedynie kumpelą. Dobra. Może być. To lepsze niż nic. Gdybym mu powiedziała, co czuję, zniszczyłabym wszystko. Nie. Będę milczała. Na wieki.



Gromada dziewczyn w balowych kreacjach wkracza do mojego domu. Rozchichotane ruszają prosto do łazienki. Chłopcy w wymiętych

garniturach krążą po salonie jak kelnerzy, roznosząc na srebrnych tacach chipsy i puszki piwa. Tak byłam zaabsorbowana burzliwymi losami przyjaźni z Mike'em, że nie zdążyłam spytać Emmę o szczegóły dotyczące imprezy. Sama wszystko zaplanowała. W jeden dzień. Kim są ci ludzie? Znam tylko garstkę z wielkiego tłumu. Biorę z tacy puszkę piwa, choć nie rozpoznaję serwującego je chłopaka. Wzruszam ramionami, otwieram puszkę i upijam łyk.

– Motywem przewodnim są damy i dżentelmeni – wyjaśnia Emma, stając niespodziewanie za moimi plecami. – Dobry pomysł?

– Bardzo szykowny. – Unoszę kciuk i przyglądam się chłopakowi w smokingu żłopiącemu piwo.

Poprawiam krawat ozdobiący dekolt i opieram się o poręcz schodów w holu. Przeszukuję wzrokiem tłum, ale nie widzę Mike'a.

– Jeszcze nie przyszedł – wyjaśnia Emma, bębniąc palcami po balustradzie. – Kiedy go namierzę, zaraz dam ci znać. Obiecuję.

Klepie mnie po plecach, więc odwzajemniam się wymuszonym uśmiechem. Na widok Mike'a śmignę w przeciwnym kierunku. Emma odchodzi, żeby wmieszać się w tłum, i fachowo bawi gości. Popijam zimny browar z puszki trzymanej w dłoni. Wpatrzona w drzwi, modlę się, żeby Mike nie stanął na progu.

Drzwi się otwierają. Do środka wpada zimne powietrze.

Zaciskam dłoń na puszcze. Gotowa do ucieczki wypijam kolejny łyk, ale wchodzi Kowboj ubrany w granatowy garnitur; pod marynarką ma flanelową koszulę. Trzyma kogoś za rękę.

Rąsia należy do Katie Morris.

Kowboj zamyka drzwi. Policzki ma czerwone; normalka. Wbrew zdenerwowaniu wciąż tu jest; w towarzystwie Katie Morris. Niewiarygodne. Katie uśmiecha się i poprawia krótko ostrzyżone rude włosy. Dostrzega mnie.

– Cześć, Toni! – woła.

– Hej, Katie. Miło, że wpadłaś. – Staram się ukryć zdumienie.

Katie ma na sobie piękną czarną suknię bez ramiączek i prosty srebrny naszyjnik. Całość dopełnia subtelny makijaż. Stoimy przy drzwiach ciut za długo, więc ogarnia nas zakłopotanie.

– Cześć – mruczy Kowboj. – Fajna impreza.

– Dzięki, że przyszedłeś. – Trącam go w ramię. Przynajmniej z nim wciąż się dogaduję. Nieco się od siebie oddaliliśmy, ale to nie problem. Już się z tym pogodziłam, że przyjaźnie słabną. Nic na to nie poradzę, choć próbuję ze wszystkich sił.

Kowboj chrząka i mówi do Katie:

– Opowiadałem ci, jak Toni wypięła się na dyra Rogersa?

Katie wybucha śmiechem i kręci głową, bawiąc się naszyjnikiem.

– Muszę usłyszeć tę historię.

– Aha. Spodoba ci się. – Uśmiechnięty Kowboj ciągnie Katie do kuchni.

– To było tak. Ubiegłego lata Toni wpadła na pomysł, żeby pokazać goły tyłek dyrowi... – Słyszę jego cichnący głos zagłuszony imprezowym zgiełkiem. Zuch chłopak. Zaryzykował. I nie żałuje.

W przeciwieństwie do mnie. Gorzkie żale to moja specjalność.

Przez cały wieczór gapię się na drzwi. Zaczynam od tego świrować, więc przepycham się przez tłum, aż docieram na środek salonu, gdzie tańczą imprezowicze. Napierają na mnie tłumy ludzi. Jestem najbardziej osamotnioną dziewczyną na świecie nawet w chwili, gdy cuchnąca wódka Lemon obejmuje mnie i krzyczy:

– Dzięki, Toni Valentine!

Zza niej wyłania się rozpromieniona Jess, blondynka z niebieskimi pasemkami. Luźna biała bluzka upstrzona jest ciemnymi plamami. To pewnie whisky.

– Miło, że przyszłyście razem! – wrzeszczę.

– Powiedziałam im! – woła bełkotliwie Lemon. – Oznajmiłam starym, że kocham Jess, a jeśli im to nie pasuje, mogą się wypchać!

Całuje Jess czule i słodko. Boże, dzisiaj wszyscy są szczęśliwi do bólu. Koszmar. Jess kładzie dłoń na biodrze Lemon.

– Świętujemy – mówi Jess. – Jedna z nas trochę przesadziła. Muszę zatańczyć Lemon do domu, zanim totalnie przeholuje.

Mocno pijana Lemon przytula się do Jess i macha na pożegnanie. Obok mnie przepływa kolejna taca z browarem, wsparta na czubkach palców nieznajomego. Chwytam puszkę i przez moment krążę wśród imprezowiczów, chociaż większości nie znam i nie jestem do nich przyjaźnie nastawiona.

Tęsknię za swojskimi klimatami. Idę ku schodom, żeby poszukać kota Piłkarza. Ciekawe, gdzie się schował.

W holu natykam się znowu na Lemon i Jess. Lemon stoi na pierwszym stopniu, opiera głowę na ramieniu ukochanej, która łagodnie gładzi ją po plecach. Zbliżam się do nich, a Lemon podnosi głowę i nagle rzyga przez poręcz. Stoję oniemiała, a rzygowiny niczym żywica spływają po wyrzuszeniach drewnianych tralek na dywanową wykładzinę. Jeju! Lemon ostatnio jadła nachos.

– O Boże! – biadoli Jess. – Przepraszam, Toni!

Lemon jęczy i chwieje się na nogach. Jess prowadzi ją do wyjścia, żeby odetchnęła świeżym powietrzem.

– ODSUŃCIE SIĘ! ZARAZ PRZYNIOSĘ PAPIEROWE RĘCZNIKI! – wołam do zde gustowanych świadków. – Ludzie, nie podchodźcie. Pogorszycie tylko...

Jakby na dany znak jedna z dziewczyn rzyga na sukienkę. Kilka osób wrzeszczy. Bez słowa pędzę po schodach do składziku w głębi korytarza po środki czystości. Muszę zdążyć przed kolejnym paroksyzmem epidemii wymiotów. Chwytam trzy rolki papierowego ręcznika, dwie butelki środka do czyszczenia dywanów i dwa odświeżacze powietrza. Zdaje mi się, że nawet śmierdzi rzygowinami, choć zapewne ponosi mnie wyobraźnia.

Brian się wścieknie.



## Rozdział dwudziesty dziewiąty

E mma stoi na straży w obrzyganym holu. Włosy związała w koński ogon. Bierze ode mnie środki czystości i obficie pryska odświeżaczem powietrza.

– Wszystko pod kontrolą – mówi, ruchem głowy wskazując kuchnię. – Mike przyszedł.

Patrzę w głąb korytarza prowadzącego do kuchni, jakby to był tunel wiodący ku magicznym krainom. On tam jest. Kilka metrów stąd. Serce mi kołacze, dłonie wilgotnieją. Chcę, żeby mnie zobaczył w małej czarnej, różowym krawacie i czarnych szpilkach Emmy. Niech się przekona, że przestałam być bezbarwną dziewczyną z sąsiedztwa. Czuję w sobie kobiecą siłę, która pozwala zawojować świat jednym pstryknięciem palców o pazurach pomalowanych czarnym lakierem.

Otwierają się frontowe drzwi i wchodzi gromada nieznanym: gadają, dowcipkują, wystrojeni i olśniewający. Nagle rozlega się rozpaczliwe miau i czarny sierściuch wypada z domu przez niedomknięte drzwi.

– Piłkarz! – wrzeszczę. – Cholera!

Wypadam na zewnątrz, poraża mnie chłodne powietrze. Stoję na werandzie i klnę, a Piłkarz siedzi na podjeździe i mnie obserwuje. Żółte ślepie w mroku nocy przypominają bryłki złota.

– Piłkarzyku – mówię wolno i cicho. Sierściuch ani drgnie. – Nie powinienes wychodzić na dwór. Wiesz o tym doskonale.

Mruży oczy i zaczyna lizać łapę. Drzę z zimna, ale jeśli wrócę do środka po kurtkę, kocisko zwieje. Biorę głęboki oddech i skradam się ku niemu, drobiąc w szpilkach po betonie. Piłkarz zerka na mnie podejrzliwie. Nieruchomieję. Po chwili znów zaczyna się myć. Zdejmuję szpilki i w kucki zbliżam się powoli. Wkrótce mam go niemal w zasięgu ręki i jestem pewna, że zaraz dopadnę drania, lecz nagle podnosi łebek,

miauczy i umyka w krzaki rosnące przed domem.

– Co ty wyprawiasz? – wrzeszczę.

– Szukasz kogoś? – pyta znajomy głos.

Odwracam się. Na werandzie stoi Lanser w czarnym smokingu, z kurtką przewieszoną przez prawe ramię. Włosy ma gładko zaczesane do tyłu na żel. Rozcięty łuk brwiowy zaklejony plastrem. Podbite oko nadal jest zasinione. Sam widok Lansera sprawia, że czuję się podle.

– Tropię Piłkarza.

– Mówisz o waszym kocie, tak? – Uśmiechnięty Lanser podchodzi bliżej. – Wątpię, żebyś znalazła tu prawdziwego futbolistę.

– Głupi sierściuch zwiął z domu – mówię z westchnieniem. – Brian będzie zrozpaczony, jeśli go nie znajdę.

– Gdzie polazł?

Wskazuję żywopłot. Lanser podaje mi kurtkę. Rozpoznaję swoją.

– Dzięki, że mi ją pożyczyłaś – mówi.

– Drobiazg. – Narzucam kurtkę i naciągam rękawy na dłonie.

Szczękam zębami, bose stopy lodowacieją. Lanser oświetla żywopłot komórką. Przez kilka minut szukamy w milczeniu.

– Słuchaj... – mówi Lanser, odsuwając gałąź, żeby pod nią zajrzeć. Unika mojego wzroku. – Przepraszam za tamto... To nie było w porządku.

Nie wiem, jak na to zareagować. Sytuacja jest delikatna; jeden fałszywy ruch i rozbiję w puch tę resztkę, która mi pozostała z dawnego życia.

– Przepraszam, że przeze mnie dostałeś lanie – mówię.

– Sam postanowiłem, że będę u ciebie pracował. – Szczypie się w ucho. – Miałem z tego wielką radochę. Nie myliłaś się co do dziewczyn ze swojego liceum. Wcale nie są stuknięte. Ludzie jak ludzie. – Po chwili milczenia dodaje: – Nie jadę do Kolorado.

Moja wina.

– Pomysł z wypinaniem tyłka był idiotyczny...

– Spoko – przerywa. – Mnie to pasuje. Chętnie zostanę. Kasa nie jest problemem. Sam podjąłem decyzję.

– Chodzi o Emmę? – drocę się z nim.

Spogląda na mnie z uśmiechem. Od razu widzę, że jest szczęśliwy.



Emma tak działa na innych. Lanser zostaje w Vermoncie, ale wiem, że tegoroczne lato nie będzie podobne do poprzednich. Moglibyśmy dniem i nocą przeczesywać ocolicę, poszukując Jezioraka, ale nic z tego, ponieważ się zmieniliśmy.

Otwierają się frontowe drzwi i na werandzie pojawia się Mike w czarnej zimowej czapce na głowie. Jest ubrany w dżinsy i bluzę fana Wielkiej Stopy. Z ręką za plecami zbiega ze schodów i podchodzi do nas.

– Cześć – mówi. – Coś wam się pomieszało. Impreza jest tam, w środku.

– Kot zwiął. Masz smykałkę do zwierzaków. – Lanser klepie Mike'a po plecach. – Zaszył się w krzakach. Tak nam się wydaje. Idę pomóc Emmie sprzątnąć rzygi.

– Prawdziwy z ciebie dżentelmen.

Lanser biegnie ścieżką i znika w domu. Mike i ja zostajemy sami na mrozie.

– Noooo – mamrocę, żeby przerwać krępujące milczenie. – Co tam masz? – Próbuję zajrzeć mu za plecy, żeby sprawdzić, co trzyma w ręku.

– Prezent urodzinowy. Dostaniesz go z wyprzedzeniem. – Ujawnia niespodziankę. Widzę misia. Wyjątkowy pluszak.

– Ale numer – mówię zachwycona niedźwiadkiem, podziwiając maskę szaleńca, porwany T-shirt i miniaturkę piły mechanicznej. Ostrze jest upstrzone kropelkami krwi. Cudo.

– Miś z „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną”?

– Podobno marzysz o takiej maskotce.

Rozpromieniona i wzruszona tulę misia do serca.

Mike wciska ręce w kieszenie bluzy. Serce wali mi jak młotem, gdy przytulam niedźwiadka. Zimny wiatr szarpie krzaki. Dygocę. Mike podchodzi bliżej i klepie mnie po plecach, żebym się rozgrzała. Boski dotyk.

Wtulam się w niego, podnosząc głowę. Ryzykuję i całuję go w usta. Pochyla się i przyciska dłoń do moich pleców. Tulę się mocniej. Mam zamęt w głowie. Drżą mi kolana, ale nie z zimna.

Po chwili odsuwam się, ale stoję blisko i pytająco zaglądam mu w oczy. Czas płynie; ja czekam, aż Mike się odezwie. Co jest grane? Ile

całusów mamy wymienić, nim jedno przyzna głośno, że łączy nas coś więcej niż przyjaźń. Mówię poważnie.

– Muszę lecieć – szepce, odwracając wzrok. – Dobranoc, Toni Valentine.

– Tak... Dobranoc. – Odprowadzam go wzrokiem, gdy biegnie przez trawnik i wchodzi do domu. Wkrótce w jego pokoju zapala się światło. Zbita z tropu przez kilka minut stoję jak słup, wpatrzona w misia – maniakalnego pilarza, którego trzymam w dłoniach. Odwracam się i wracam do domu, skołowana, uradowana i wystraszona.

Kot Piłkarz czeka na werandzie i macha ogonem. Patrzy gniewnie. Gdy otwieram drzwi, wkracza do środka i mruczy, zadowolony z siebie.



## Rozdział trzydziesty

Przez szybę auta spoglądam na Emmę, która z pękiem różowych balonów podskakuje u drzwi naszego liceum.

Korci mnie, żeby wślizgnąć się do środka tylnym wejściem, lecz później musiałabym to odcierpieć. Emma upiera się, żeby świętować dzień, który w tym roku najchętniej bym sobie darowała. Trzeba stawić czoło wyzwaniu. Zapinam nowy polar z logo Uniwersytetu Purdue, podarowany mi dziś rano przez mamę i Briana. Wsiadam i dopada mnie mroźny chłód.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – piszczy Emma, gdy podchodzę bliżej. Kilka dziewczyn wchodzących do szkoły składa mi życzenia. Przy drzwiach stoi Lemon z rękoma wciśniętymi w kieszenie kraciastego płaszcza. Emma wręcza mi pęk różowych balonów.

– Dzięki. – Biorę je, bo nie mam wyboru. Przyglądam im się nieufnie. – Zmieszczą się do szafki?

– Masz je nosić ze sobą przez cały dzień – informuje Lemon. – Obciach musi być całkowity. Między innymi dlatego cieszę się, że mam urodziny podczas wakacji.

Wchodzę do środka, mocując się z balonami, które z trudem mieszają się w drzwiach. Płyną nad głowami dziewczyn, gdy torujemy sobie drogę w zatłoczonym holu. Wiele uczennic składa mi życzenia, kiedy mijam je, czerwona jak burak, ponieważ jestem w centrum uwagi. Docieram szczęśliwie do szafki i próbuję upchnąć w niej balony. Daremne nadzieje.

– Nie trudź się – radzi kpiąco Lemon. – Emma ma w aucie drugi komplet.

Nie wytrzymuję i parskam śmiechem, słysząc tę nowinę. To było do przewidzenia. Emma promienieje.

– Do zobaczyska w stołówce – mówi Lemon, machając na

pożegnanie. – Zmykam, bo muszę słać ukochanej osobie czułe SMS-ki.

Po jej odejściu Emma przygląda mi się badawczo.

– Jak twoje sprawy?

Jęczę i przyciskam czoło do drzwiczek szafki.

– Nadal nie wiem, na czym stoję.

– Spróbuj ponownie! – radzi Emma teatralnym szeptem.

Dwa tygodnie minęły od drugiego buziaka. Dwa tygodnie. Mike i ja znów ze sobą rozmawiamy. I tyle. Gadamy o Jezioraku i filmowych horrorach. Ani słowa o pocałunku i o nas.

– Dobra, dziś wieczorem imprezujemy, żeby uczcić twoje urodziny. – Emma szturcha mnie w ramię. – Przy obiedzie pogadamy o szczegółach.

– Mam strasznie dużo zadane...

– Cicho! Przestań się buntować, Toni Valentine! – Mknie do klasy, a ja kiwam głową i uśmiecham się skrycie. Dzięki Bogu, że ją znam. Gdy zamykam szafkę, baloniki objijają się o moją buzię. Z westchnieniem wlokę się z nimi w głąb korytarza.

Podczas przerwy obiadowej Emma nie pojawia się w stołówce. Zaczynam się martwić, gdy brzmi dzwonek na lekcję. Idąc korytarzem, szukam wzrokiem Emmy. Może zachorowała i pojechała do domu. Gdyby tak było, wysłałaby mi SMS albo napisałaby mail czy liścik. Posłałaby gołębia pocztowego z wiadomością. Jakoś by mnie poinformowała. Nie wymknęłaby się ukradkiem.

– Toni! – Lemon macha do mnie. Odmachuję i przepycham się ku niej przez tłum. Kiedy się spotykamy, mówi przyciszonym głosem:

– Słyszałaś o Emmie?

– Coś się stało?

– Została wezwana do dyrektorki – odpowiada Lemon, poprawiając włosy obcięte na pazia. – Wysłano anonim łączący ją z firmą. Chodzą plotki, że zostanie wydalona ze szkoły.

– Proszę?

– Ma być wydalona – powtarza Lemon.

– To bez sensu. Co było w tym anonimie? – Robi mi się słabo.

– Nie wiem. – Lemon obgryza paznokcie. Wiele koleżanek panikuje, bo nie wiedzą, ile nazwisk zawiera donos. Na razie tylko

Emma została wezwana do dyrektorki.

Brzmi kolejny dzwonek. Lemon pędzi do klasy, ale na odchodnym rzuca mi przerażone spojrzenie. Przez parę minut stoję jak słup, sama w opustoszałym korytarzu. Trzęsę się cała, żołądek mam ściśnięty. Pędzę do łazienki i spryskuję twarz zimną wodą.

To jakiś odlot. Dlaczego Emma?

Do końca lekcji czas dłuży się niemiłosiernie. Spoglądam na zegar. Czekam, aż zostanę wezwana. Wysyłam Emmie dziesiątki SMS-ów, ale nie odpowiada. Zapewne mnie znienawidziła. Ja ją w to wciągnęłam. Zniweczyłam jej marzenie o Harvardzie. Czy to Shauna doniosła pani Kemper, że firma należy do Emmy? A może dyrektorka na własną rękę odkryła, że Emma jest wplątana w tę aferę?

Moja kumpela działała jako skrzynka kontaktowa. Namierzała klientki. Była bardziej rozpoznawalna niż ja, ale nie mogę pozwolić, żeby ją to pogrążyło.

Po ostatnim dzwonku pędzę do gabinetu pani Kemper i unoszę dłoń, żeby zapukać. Nieruchomieję. Cała jestem spocona. Serce mi wali, w gardle zasycha. Nadeszła wiekopomna chwila. To już koniec. Żadnych kłamstw.

Puk, puk, puk. Pani Kamper natychmiast otwiera drzwi.

– Toniu... – zaczyna.

Przerywam jej i nie pozwalając dojść do słowa, mówię:

– Pani dyrektor, „Wypożyczalnia dżentelmenów” to mój pomysł. Moja firma. To ja prowadziłam tę działalność. W pojedynkę.



Pani Kemper zdejmuje włos z zakietu i świdruje mnie wzrokiem zza biurka. Mocno skręcona spiralka ląduje na podłodze, a mnie się zdaje, że słyszę koszmarny łoskot. Wycieram spocone dłonie o kraciastą spódnicę. Na biurku przed dyrektorką leży stos naszych folderów.

– Sprawna z ciebie przedsiębiorczyni – komentuje pani Kemper.

– Byłam – informuję. – Zakończyliśmy działalność. Nigdy już nie będę się tym zajmowała. Przyrzekam.

Pani Kemper wzdycha i wierci się w fotelu.

– Sprawa jest poważna, Toniu. W naszym liceum nie toleruje się

takich zachowań. Ta twoja firma jest wysoce niestosowna i mniejsza z tym, czy nadal działa, czy została już zamknięta.

Chciałabym, żeby tu był Mike, trzymał mnie za rękę i pocieszał. Zostanę pewnie wywalona ze szkoły, a potrafię myśleć tylko o najlepszym przyjacielu, który stał się dla mnie kimś więcej, choć nie wiem, co o tym myśleć, bo wciąż unikamy rozmowy o uczuciach.

Wyznaję wszystko. Zaczynam od samego początku, ale nie ujawniam żadnych nazwisk. Jeśli ktoś musi być ukarany, niech to będę ja. Opowiadam pani Kemper o kłopotach Mike'a, listopadowej imprezie i dymnej zasłonie. Tłumaczę, że wiele z nas desperacko podtrzymuje grę pozorów, starając się, żeby rozmaite sprawy wyglądały inaczej niż w rzeczywistości. Podkreślam, że firmowe usługi nie miały nic wspólnego z erotyzmem czy nawet z kumplowaniem; służyły wyłącznie jako kamuflaż.

– Przepraszam – dodaję. Łzy spływają mi po policzkach, wycieram rękawem zasmarkany nos. – Postąpiłam źle. Teraz wiem. Usiłowałam tylko pomóc koledze. Nie chciałam, żeby nasze drogi się rozeszły. Gdybym mogła cofnąć czas, znalazłabym inny sposób. Nie rozumiem ludzi, pani profesor. Nic o nich nie wiem. Nie nadaję się na uczennicę tego liceum i nie zasługuję na świetlaną przyszłość, którą zapewnia ta szkoła. Powinna zostać wydalona.

Fotel skrzypi, gdy pani Kemper odchyła się do tyłu i spogląda na mnie przyjaznymi oczyma. Pojęcia nie mam, co myśli, i nawet nie próbuję odgadnąć. Ludzie to odjazdowe, nieprzewidywalne stworzenia. Nie da się ich opisać w ulotce i wepchnąć do koperty.

– Doceniam szczerść, Toniu, ale twoje postępowanie było nie do przyjęcia – mówi pani Kemper.

– Zostanę wydalona ze szkoły? – Tłumię histeryczny szloch.

– W tej kwestii raczej nie mam wyboru – odpowiada cicho dyrektorka. – Poczekaj na korytarzu, zadzwonię do twojej matki.



Koniec pieśni: wylecę z liceum, do którego wcale nie chciałam uczęszczać, ale z czasem je polubiłam. Najlepszy przyjaciel z dzieciństwa przestał się ze mną kumplować; trwamy w osobliwym

zawieszeniu, niepewni, co nas łączy. Moje plany dotyczące studiów prawdopodobnie legły w gruzach, nie ma dla mnie przyszłości, więc przez resztę swoich dni będę mieszkała u Briana i mamy.

Jestem niemal pogodzona z losem, aż tu nagle moje życie pędzące ku efektownej katastrofie hamuje z piskiem opon.

Siedzę na ławce przed gabinetem pani Kemper, machinalnie tupiąc podszwami trampek o czyścusięnką podłogę. Tkwię tu niespełna pół godziny. Z głębi korytarza dobiega odgłos kroków. Spodziewam się zobaczyć mamę, ale widzę idącego w moją stronę Briana ubranego w szykowny garniturek agenta ubezpieczeniowego lub innego urzędasia.

– Zadzwonili do ciebie? – pytam z niedowierzaniem.

– Twoja mama mnie zawiadomiła. Nie mogła wyrwać się z pracy – tłumaczy Brian. – Jest kiepsko, Toni.

Powstrzymuję łzy upokorzenia. Brian siada obok mnie, zachowując stosowny dystans.

– Co się stało? – pyta.

– Mama ci nie powiedziała?

– Wolę to usłyszeć od ciebie – wyjaśnia. – Opowiedz mi swoją wersję historii.

Zaskoczył mnie. Zdenerwowana po raz setny wycieram dłonie o spódnicę.

– Powinieneś raczej pogadać z panią Kemper.

– Toni... – Brian rozluźnia krawat. – Wiem, że trudno mnie uznać za luzaka czy dowcipnisią, na domiar złego jestem kibicem piłkarskim. Często gadam głupoty i czuję się niekiedy jak ostatni dureń. Mimo wszystko możesz ze mną pogadać. – Milknie na chwilę. – Trochę mnie przerażasz.

– Serio? – Ze wszystkich dzisiejszych niespodzianek ta jest dla mnie największym zaskoczeniem.

Brian odwraca się w moją stronę. Górne światło rzuca refleksy na jego szpakowate włosy.

– Sądziłem, że to wyczułaś.

– Wydawało mi się, że cholernie działałam ci na nerwy. – Omal nie parskam śmiechem.

– Ty? Na nerwy? Ależ skąd – mówi, opierając łokcie na kolanach.

– Gdyby tak było, starannie bym cię unikał. Czyżby umknęło ci, że stale płaczę się w pobliżu i gadam za głośno? Cały ja. Próbuję nawiązać kontakt...

Uśmiecham się. Brian uporczywie wypytuje o moje sprawy. O Mike'a. O szkołę. Nie próbuje zastąpić taty ani mnie kontrolować, tylko stara się nawiązać kontakt. Czuję się jak idiotka, bo dotąd tego nie spostrzegłam.

Dlatego mówię mu prawdę. Całą prawdę. Skąd pomysł na biznes. Jak zaprzyjaźniłam się z Emmą. Co się działo z Mike'em. W jaki sposób pani Kemper poznała prawdę. Gdy moja opowieść dobiega końca, Brian patrzy w dal i zastanawia się, mamrocąc bełkotliwie.

– Dzięki, że posłaliście mnie do tej szkoły – dodaję. –  
Przepraszam, że zostałam wywalona.

– Dobra. Kurczę. – Wstaje z posepną miną. Bierze kilka głębokich oddechów. – Nie ruszaj się stąd. Porozmawiam z panią Kemper.

Czekam na wyrok losu.





## Rozdział trzydziesty pierwszy

R rozmowa trwa już ponad godzinę. Gdy przykładam ucho do drzwi, słyszę tylko stłumiony głos Briana. Dużo gada, ale nie potrafię rozróżnić słów. W jego głosie słychać powagę. I złość.

Kładę się na ławce i dla zabicia czasu myślę o Mike'u. Rozmyślanie o nim jest ostatnio moim ulubionym zajęciem. Ciekawe, co on teraz robi. Zastanawiam się, czy też o mnie myśli. Wyjmuję komórkę i czytam nasze SMS-y. Wielokrotnie składał mi dzisiaj życzenia. A więc myśli o mnie. Przynajmniej chwilami.

Czy żałuje drugiego buziaka? Pierwszego też? Dlaczego w ogóle o nich nie wspomina? Może wolałby, żeby wszystko zostało po staremu? Jak długo zdołamy udawać, że wszystko jest pod kontrolą?

Gdy drzwi się otwierają, skaczę na równe nogi, puls mi przyspiesza. Czas minął. Mój smutny los zaraz się dopełni.

Pierwszy wychodzi Brian. Wydaje się zmęczony, wykończony, krawat zwisa smętnie. Za nim ukazuje się pani Kemper, obciąga żakiet, ściska dłoń Briana i mówi:

– Miłego popołudnia, panie Richards.

– Raz jeszcze... dziękuję – odpowiada z powagą Brian. Stosowny finał drętwej gadki sztywniaków.

Pani Kemper zerka na mnie. W milczeniu wraca do gabinetu i zamyka za sobą drzwi. Kurczę, nawet się do mnie nie odezwała. Przegrałam z kretesem.

– Jak poszło? – zagaduję, skubiąc kciuk. – Jest na mnie wściekła, co?

– Idziemy. – Brian zapina szykowny płaszcz.

Stoję jak wmurowana i patrzę, jak odchodzi korytarzem. Przystaje, odwraca się i mówi:

– No chodź, Toni.

Zdumiona doganiam go biegiem, a podeszwy trampek z piskiem uderzają w podłogę. Drepcę za Brianem przez parking, czekając, aż raczy mi oznajmić wolę dyrekcji. Mógłby przynajmniej oświadczyć, że totalnie zawiodłam swoją matkę. Cisza mnie zabija.

– Jedź prosto do domu – mówi Brian, potrząsając kluczykami do swego auta. Wiatr targa gęste siwiejące włosy.

– Na czym stanęło? – wrzeszczę, gdy idzie do auta. Jak długo zamierza mnie dręczyć?

Macha ręką bez słowa. Wzdycham i biegnę do swojego samochodu. Wspaniałe mam urodziny.

Zostałam usunięta ze szkoły.



Mama jest w domu dziesięć minut po naszym powrocie. Brian kazał mi czekać w salonie. Siedzę tam, gdy mama staje w drzwiach. Uderzam stopami o wyliniały dywan i wiercę się na kanapie. Milczący Brian odpoczywa, siedząc nieruchomo w kraciastym fotelu po drugiej stronie salonu niczym małomówny król. Unika mego wzroku. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby kanapa pochłonęła mnie natychmiast.

Mama zdejmuje czerwony płaszcz i wieszka go na oparciu. Kiedy na mnie wrzeszczy, przyglądam się słodkim kociątkom z kreskówki zdobiącym jej kosmetyczkę. Mama z ramionami założonymi na piersi chodzi w tę i we w tę po salonie, patrzy groźnie. Odwracam wzrok.

– I ty zamierzasz mnie dręczyć? – mówię ze ściśniętym gardłem. Pospiesznie wyrzucam słowa: – Dobra. Zasłużyłam. Przykro mi z powodu tej afery. Kłamstwo jest podłe. Kłamstwo dla kasy jeszcze podlejsze. Sądziłam, że pomagam znajomym, ale teraz nie jestem tego pewna.

Brak mi tchu, mam łzy w oczach. Mama siada ciężko na kanapie i dotyka mego kolana. Oczy jej łagodnieją.

– Masz szczęście, że cię nie wyrzucili, Toni.

– Nie zostałam wywalona? – Mrugam powiekami.

– Nie powiedziałaś jej? – Mama patrzy na Briana.

– Uznałem, że powinna dostać nauczkę. – Brian wzrusza

ramionami.

O Boże! Moje życie się nie rozpadło! Wielki ciężar spada mi z barków. Oddycham z ulgą i kładę dłoń na klatce piersiowej, jakbym chciała uspokoić skołatane serce.

– Nie wyleciałam? – dopytuję się natrętnie. – Serio? A co z Emmą?

– Dzięki tobie uznano, że nie jest zamieszana w tę sprawę. Twoje zachowanie było niewątpliwie sprzeczne z regulaminem szkoły – mówi Brian. Wstaje i podwija rękawy. – Dlatego jesteś zawieszona do końca roku szkolnego. Poza tym masz napisać dla pani Kemper wypracowanie o swojej przyszłości. Tysiąc słów. Dyrektorka prosiła, żebyś pominęła wszelkie wzmianki o chłopakach.

Ulżyło mi, ale powstrzymuję śmiech. Nie chcę, aby uznali, że bagatelizuję problem, bo tak nie jest.

– Załatwione – mówię, kiwając głową. – Kurczę. Dałeś czadu.

– Owszem – mama przytakuje mentorskim tonem. – Brian jest znakomitym negocjatorem.

Gdy spoglądam na niego, wzrusza ramionami. Uratował mnie. Gdyby nie on, byłabym skończona. Zrywam się z kanapy i obejmuję go za szyję. Zaskoczony sapie cichutko, parę razy klepie mnie po plecach i mówi:

– Połamiesz mi zebra.

Cofam się i przepraszam za niedźwiedzi uścisk. Sytuacja jest dziwna, więc robię kilka kroków w tył i biorę się w garść. Nie przypominam sobie, żebyśmy z Brianem kiedykolwiek się obejmowali. Nawet podczas ślubu i wesela nie doszło do takich ekscesów.

– Stuknęła ci osiemnastka, ale musimy dać ci szlaban – dodaje Brian z leciutkim uśmiechem.

– Koszmar. – Pierwszy raz w życiu cieszą się, że jestem uziemiona, ale zachowuję kamienną twarz. Uniknęłam katastrofy. Mogę do woli marudzić, że tęsknię za całusami Mike'a, bez poczucia winy, że staję się pustelniczką. To najmiłszy szlaban, jaki mi się przytrafił.

– Dobra. – Mama wstaje i chrząka. – Chętnie posłucham opowieści o twojej firmie, Toni, ale najpierw chciałabym wiedzieć, kto ma ochotę na pizzę.

Dźwięczy dzwonek u drzwi. Patrzymy po sobie.

– Mówisz i masz! – wołam. – Najszybsza dostawa w historii. Zamawiasz telepatyczne, matulu?

Mama uśmiecha się w końcu, a potem idzie otworzyć. Zostaję sama z Brianem, moim nowym idolem.

– No... – zaczynam kiepsko. – Dzięki.

– Proszę bardzo. – Brian opuszcza rękawy. Zwrot w naszych relacjach jest dla niego równie dziwny jak dla mnie.

– Peperoni? – rzuca pytająco. Idealny moment na zmianę tematu.

– Moja ulubiona – przytakuję.

– Toni? – woła mama z przedpokoju. – Masz gościa.

Natychmiast myślę o Mike’u. Przyszedł ze mną pogadać i ustalić, co nas łączy. Przegarniam włosy, oblizuję usta i biegnę do drzwi, uszczęśliwiona, że usłyszę jego głos. Liczę też na kolejne pocałunki.

Ale to nie on, tylko Emma. Stoi na progu w szkolnym mundurku, załamuje ręce, oczy ma czerwone i zapuchnięte.

– Emmo, co ci jest? – pytam zatroskana.

– Cześć – mówi cicho i serdecznie. – Wybacz, że nie odpowiedziałam na twoje SMS-y. Byłam trochę roztrzęsiona. Mogę wejść?

– Tak, tak. – Odsuwam się i wpuszczam ją do środka. Wchodzi bliska płaczu. Tłumaczę mamie i Brianowi, że musimy pójść do mojego pokoju i pogadać od serca.

– Zamawiam pizzę! – woła mama, gdy drepjemy po schodach. Emma pierwsza wchodzi do mojej dziupli.

– Pizza – mówi drżącym głosem. Chodzi z kąta w kąt. – Bosko. Szkoda, że nie mogę przełknąć ani kęsa. Mdli mnie na samą myśl o tej akcji.

– Wszystko gra, Emmo. – Zamykam drzwi.

– Shauna napisała donos i nas wsypała, Toni – gada Emma bez ładu i składu. – Zakablowała firmę. Ciebie i mnie. Kiedy pani Kemper wzięła mnie na przesłuchanie, milczałam jak zaklęta. Nie powiedziałam ani słowa. Kazała mi wyjść, ale boję się, że znajdzie dowody i mnie wywali. Z tobą też rozmawiała?

Tłumaczę jej, żeby się uspokoiła i oddychała głęboko, a następnie opowiadam, co się wydarzyło tego popołudnia: jak Brian ocalił mój

tyłek, gdy wzięłam na siebie całą odpowiedzialność za naszą działalność.

Gdy kończę, Emma kilka razy mruga powiekami, piszczy i chwytą mnie w objęcia. Za dużo tych przytulaneek. Uściski Emmy trwają długo. Wreszcie odsuwa się i wyciera zażawione oczy.

– Mogę coś powiedzieć, Toni? – mówi głosem cichym i łagodnym.

Kiwam głową, ściągam trampki i z głębokim westchnieniem padam na łóżko. Co za dzień! W głowie mi się mąci.

– Nie miałam dotąd przyjaciółki – wyznaje, gryząc kosmyk jasnych włosów.

– Szczerłość za szczerłość – rzucam. – Ja też nie. Wiem. Jesteś w szoku.

Emma beka głośno i siada przy biurku. Zrzuca szpilki i z uśmiechem masuje kark.

– Dzięki.

– To ja dziękuję, Emmo – odpowiadam rozpromieniona. – I przepraszam, że cię wciągnęłam w tę aferę.

– Najfajniejsza akcja mojego życia – mówi, nieco odprężona. – Jestem ci wdzięczna. Totalnie.

– Daj spokój – ucinam.

Trudno uznać firmę za życiowy błąd, skoro dzięki niej zakumpłowałam się z Emmą, ale cieszę się, że to już przeszłość. Odkąd przestałam być chłopakom niezbędna, muszę pozwolić, aby żyli po swojemu.

Mama przynosi nam pizzę, którą jemy u mnie. Przebieram się w dresowe spodnie i bluzę. Pokładam się ze śmiechu, gdy Emma parodiuje Shaunę rozpływającą się w szkolnym kręgu zwierzeń nad elegancikiem Ryanem. Raz po raz przyglądam się masakrycznemu niedźwiadkowi siedzącemu na łóżku. Spałam z nim wczoraj, ale za nic w świecie się do tego nie przyznam, nawet Emmie. Misio pachnie wanilią jak Mike. Proszę bardzo, ten facet znów okupuje moje myśli. Emma łapie mnie na tym, że przyglądam się miśkowi.

– Musisz wyjaśnić sprawę z Mike’em – nalega, ocierając kącik ust umazany serem. – Pomyśl tylko. Skończysz liceum i nadal nie będziesz wiedziała, na czym stoicie. Co wtedy?

– Chcę tylko zrozumieć, co on kombinuje. Gdybym znała jego

myśli, mogłabym odpowiednio reagować – wzdycham.

Emma pochłania ostatni kęs pizzy i zaciera łapki.

– Spytaj go. Rozmowa o waszych uczuciach oraz ich nazwanie wcale nie musi oznaczać końca znajomości.

Koniec. Nienawidzę tego słowa. Dostaję mdłości na myśl o końcu jakiegokolwiek sprawy dotyczącej Wodnika, czy chodzi o przyjaźń, czy o inne sprawy.

– Muszę lecieć. – Emma wstaje i wygładza spódnice. –  
W weekendy rodzice nie pozwalają mi włóczyć się po nocach nie wiadomo gdzie. Przeginają. Od domu dzieli mnie zaledwie dwadzieścia minut jazdy.

Kiwam głową i odprowadzam Emmę do drzwi, ale w głowie mam zamęt od tej gadki o Mike’u i końcu różnych spraw. Dzisiaj mam fart. Może warto by pójść do sąsiadów i powiedzieć Wodnikowi, co czuję. Nie można jednak wykluczyć, że wykorzystałam całe szczęście, które mi dziś przysługiwało. Lepiej nie przeciągać struny.

Na odchodnym Emma dziękuje mamie i Brianowi za pizzę i wybiega w podskokach. Wracam do swego pokoju, kładę się na łóżku i tulę masakrycznego niedźwiadka. Mike. Mike. Mike. Nie chcę go stracić. Obawiam się, że jeśli wyznam, co czuję, spanikuje i odsunie się ode mnie. Z drugiej strony jeśli mu tego nie powiem, atmosfera będzie gęstniała coraz bardziej i nieuchronnie zaczniemy się od siebie oddalać. Jestem w pułapce.

Dzwonek znów dzwoni.

– Masz dzisiaj wzięcie, Toni – woła Brian, stojąc przy schodach. –  
Do ciebie!

Najchętniej poszłabym spać, ale zdobywam się na wysiłek i siadam na łóżku. Dostrzegam na biurku zapomnianą przez Emmę lśniąca różową frotkę do włosów. Pewnie po nią wróciła. Umieszczam frotkę na nadgarstku i drepcę po schodach. Przystaję na ostatnim stopniu. Serce wali coraz głośniejszy. Szybciej. Gwałtowniej. To nie Emma.

– Cześć – rzuca Mike ubrany jak na obławę.

Ciemne ciuchy. Kamera zwisająca z szyi. Ciepła czapka na głowie. Ciemny zarost przypomina krótką brodę.

– Jesteś zajęta? Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać nad jezioro

– mówi, przestępując z nogi na nogę. – Rozejrzemy się za naszym potworem. Wiesz co? Mam przecucie, że dziś wieczorem zdarzy się coś niezwykłego.

Potrzebna odpowiedź. Powinnam się odezwać. Zeskakuję z ostatniego schodka i zerkam przez ramię na Briana i mamę, którzy stoją objęci w przedpokoju.

– Mam szlaban – wyznaję niechętnie, bo chciałabym wypowiedzieć całkiem inne słowa. Nagle odczułam ciężar kary.

– Naprawdę? – rzuca Mike, bawiąc się aparatem fotograficznym. – W dniu urodzin?

– Tak, jest uziemiona. – Mama podchodzi i staje obok mnie.

– Totalnie – przytakuje.

Brian zbliża się, odgryzając kawałek pizzy.

– Bo ja wiem? – mówi. – Ma dziś urodziny.

– Głupek. – Świdruję go wzrokiem. – Nie musisz się tak starać.

I tak masz u mnie milion złotych gwiazdek.

– W takim razie niech twoja mama zdecyduje – mówi Brian, kiwając głową. Wraca do salonu i siada przed telewizorem.

Staram się wyglądać jak uosobienie skruchy. Spoglądam na mamę oczyma wielkimi jak spodki. Kulę ramiona. Usta wyginam w podkówkę. Gdyby słyszała, jak mi wali serce, zapewne pozwoliłaby mi jechać.

Po chwili wzdycha.

– Wróć do domu przed północą – mówi, celując we mnie palcem. – Od jutra masz szlaban. Mówię serio.

Tłumię radosny pisk, uprzejmie i rzeczowo kiwam głową. Chwytam kurtkę i wybiegam z domu.



## Rozdział trzydziesty drugi

Mike prowadzi ze wzrokiem utkwionym w jezdni. Siedzi prosto, jest milczący i skupiony, jakby zdawał egzamin na prawo jazdy. Naciągam rękawy kurtki na dłonie, potem je wysuwam. Przyglądam się Mike'owi, który nawet na mnie nie spojrzy. To okropne, że czuję się nieswojo w znajomym otoczeniu. Totalna masakra.

Chrząkam po raz setny. Powiem mu. Albo nie. Sama nie wiem. Może powinnam wyrzucić to z siebie i mieć sprawę z głowy. Lepiej jednak nie zwierzać mu się podczas jazdy, bo mógłby spowodować wypadek.

Słońce chyli się ku zachodowi. Pomarańczowe, żółte i czerwone smugi przecinają niebo. Podróż wlecze się niewyobrażalnie. Kiedy wreszcie będziemy na miejscu? Znowu przyglądam się Mike'owi, który siedzi nieruchomo jak posąg. Spogląda prosto przed siebie. W końcu widać jezioro. Odprężam się nieco. Chętnie odetchnę świeżym powietrzem.

Wyskakuję z auta, nim Mike wyłączy silnik. Słońce przeziera wśród skłębionych ciemnych chmur. Mroczne góry stoją w oddali. Rozglądam się i chłonę widoki. Kocham to miejsce, jego spokój i związane z nim wspomnienia. Będzie mi go brak w przyszłym roku.

Mike i ja ramię w ramię idziemy pomostem. Podbiegam, by za nim nadążyć. Milczymy uparcie, zachowując jednak stały rytm. Ten pomost zna tupot naszych stóp.

Nie zabrałam dziś standardowego ekwipunku: smakołyków oraz aparatu fotograficznego. Mam tylko siebie. I Mike'a. Nic mi więcej nie potrzeba. Fale uderzają o drewniany pomost, a motorówka jak pijana chwieje się na wodzie. Mike wsiada pierwszy i wyciąga rękę, żeby mi pomóc. Zdumiewa mnie tym gestem. Wbrew zaskoczeniu wchodzę w to. Podaję dłoń i od tego dotknięcia zaraz robi mi się gorąco. Kiedy siadam



na ulubionym miejscu i wciskam ręce w kieszenie, jest mi tak lekko na sercu, że mogłabym ulecieć w powietrze. Tam, gdzie nasze ręce się zetknęły, skóra mrowi mnie rozkosznie.

Mike od razu staje za sterem. Wreszcie jest na swoim miejscu. Obserwuję go. Podziwiam kwadratową szczękę, czarne włosy, mocny zarost, czujne i rozmarzone spojrzenie. Niebo ciemnieje, w oddali słychać grzmot. Zatroškany Mike patrzy na chmury.

– Chcesz wrócić? – pyta cudnym głosem, dźwięcznym, przyjemnym, czułym, łagodnym, znanym i zaskakującym.

Kręcę głową, gardło mam ściśnięte.

– Chyba masz rację – odpowiadam. – Dziś zdarzy się coś niezwykłego. Nie możemy tego przegapić.

Uśmiecha się lekko i włącza silnik. Motorówka rusza, wiatr targa mi włosy. Niebo szarzeje. Mijamy piaszczyste plaże, ustronne zatoczki i wkrótce mamy wrażenie, że tylko nas dwoje pozostało na opustoszałej, tajemniczej planecie.

– Jesteś głodna? – pyta.

– Nieustająco. – Uśmiecham się z trudem, choć żołądek mam zawiązany na supeł.

– Przejmiesz ster? – Czeka, aż podejđę i go zastąpię. Kiedy się mijamy, odwraca wzrok i szybko przechodzi na rufę. Przykro mi, że jest taki nieprzystępny, ale nic nie mogę na to poradzić, więc spoglądam na jezioro. Fale są coraz wyższe i groźniejsze. Wiatr wyje złowieszczo. Uwielbiam burze, lecz nie uśmiecha mi się wielki plusk na środku jeziora. Powinniśmy zawrócić.

Spoglądam przez ramię, żeby zaproponować powrót, ale słowa więzną mi w gardle. Nie chcę, żeby nasza wyprawa skończyła się przedwcześnie. Mike wyjmuję spod siedzenia turystyczną lodówkę. Otwiera ją, zatroškany i pogrążony w zadumie. Minę ma poważną i chmurną.

– Łap – mówi, rzucając mi puszkę coli. Nie puszczając steru, wyciągam ramię, żeby ją złapać, ale wyślizguje mi się z palców i głośno wali w podłogę.

– Przepraszam – jęczę.

– Drobiazg – odpowiada, podnosząc puszkę.

– A hałas? – pytam. – Wystraszymy Jezioraka.

Podchodzi bliżej i stoi przy mnie, gdy steruję łódką, ale patrzy na fale. Wolałabym, żeby spojrzał na mnie.

– Aha. Jeziorak. Racja – mówi, jakby zapomniał o celu wyprawy.

Pociera brodę i podskakuje kilka razy, jakby próbował dodać sobie otuchy przed decydującą rozprawą. Chce coś wyznać. Oby tak było... chyba że postanowił ogłosić koniec naszej przyjaźni. W takim wypadku niech milczy, ponieważ to by mnie zabiło.

Wyłącza silnik, a ja wracam na swoje miejsce. Siada przy sterze, ale odwraca się lekko, żeby na mnie popatrzeć. Dryfujemy przez kilka minut, sącząc napoje. Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam wytrzymać to milczenie, ale obawiam się, że ewentualna rozmowa może dotyczyć powrotu do domu, na co nie mam ochoty.

Pospiesznie dopijam colę, a wtedy Mike wyciąga pojemnik z markizami. Uśmiecha się i podaje mi jedną.

– To nie jest zdrowa żywność – mówi, chichocząc nerwowo.

Odgryzam spory kęs. Słodysz. Pycha. Ambrozja.

– Skąd je masz? – pytam z pełnymi ustami.

– Od Briana.

– Poprosiłeś go? – Zdejmuję włos przyczepiony do czarnej kurtki.

Mike wzrusza ramionami.

– Dla takich specjałów jestem gotowy na wszystko.

Wybucham śmiechem. Trafił w dziesiątkę. Pożeram drugą markizę. Mike ściera okruchy przyklejone do kącika ust i mówi:

– No...

– No... – powtarzam. Niebo jest prawie czarne. Mike włącza słabe reflektory motorówki, światło tańczy na wodzie.

– Myślisz, że nas podsłuchuje? – szepce Mike, jakby powierzał mi tajemnicę. – Mówię o Jezioraku.

Zastanawiam się przez moment. Przy bladej poświacie uspokajam się i nabieram otuchy.

– Lubię myśleć, że nas słyszy.

Mike przygląda się kreskówkowej postaci wyrysowanej na swoich trampkach. Nasze wspólne bohomy.

– Jak myślisz, co by o nas powiedział?

Zamieram w bezruchu z niedojedzoną markizą w prawej dłoni. Czyżby pytał, co ja sądzę na ten temat?

– O nas?

– O tobie. O mnie. – Podnosi wzrok. Plamy światła i cienia tańczą na jego twarzy. Wstrzymuję oddech. Nadeszła ta chwila. Tłumione uczucia wychyną na powierzchnię. Boję się, że powiem głupstwo. Dobrze, że jesteśmy tylko we dwoje; para starych kumpli na moment przed wielkim odkryciem.

– Myślisz, że Jeziorak istnieje? Może wszystko sobie wymyśliliśmy? – Mike poprawia czapkę.

Trudno. Nie spyta o nas. Za dużo sobie wyobrażałam.

– Ta niepewność mnie wykańcza – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Wiem, że istnieje. – Mike siada obok mnie. Nasze kolana się dotykają. Oczy mu błyszczą. Upuszczam niedojedzoną markizę. Znowu grzmi, tym razem głośniej.

Aha. Mike zamierza jednak o nas pogadać. Niech mnie pocałuje. Zagląda mi w oczy.

– Toni, ja...

Bum! Przerywa mu ogłuszający grzmot; spadają wielkie krople zimnego deszczu. Motorówka kołysze się niebezpiecznie. Mike z westchnieniem odrywa wzrok od mojej twarzy i wyciera rękawem zarost na policzku.

– Chwileczkę. Co chciałeś powiedzieć? – przekrzykuję wiatr. Banalna burza nie powinna udaremnić miłosnego wyznania... o ile Mike rzeczywiście chciał powiedzieć, że mnie kocha.

– Cholera jasna! – wrzeszczy. Rzuca się do steru. Jestem zdruzgotana. Wredny grom. Wiatr sprawia, że deszcz zacina prosto w twarz. Kulę się i dygocę.

Mike mruży oczy i kieruje łódź w stronę pomostu. Rozlega się kolejny grzmot. Wstaję i podchodzę do Mike'a, spragniona jego bliskości.

– Co ty wyprawiasz? – woła, przekrzykując wiatr. – Siadaj!

– Ciekawa jestem, co chciałeś powiedzieć! – odkrzykuję.

– O czym ty gadasz? – Krople deszczu zwisają z jego gęstych rzęs.

– Zanim się rozpadało, zamierzałeś coś powiedzieć! – naciskam, bo jest za wcześnie na kapitulację.

– Usiądź, dobra? – mówi błagalnym tonem. Motorówka się chyboce, więc przywieram do oparcia jego siedzenia, żeby zachować równowagę, lecz nie zamierzam odpuścić, skoro jesteśmy tak blisko wielkiego odkrycia.

Bum! Znowu grzmi. Zygzak błyskawicy rozświetla niebo.

– Toni, przestań! To nie jest zabawa! – woła Mike. – Usiądź, bo wypadniesz za burtę.

– Nie ma mowy. Najpierw powiedz, o co ci chodziło. – Dzwonię zębami, tracę czucie w zziębniętych palcach. Potykam się, gdy łódka znów chwieje się niebezpiecznie. Mike chwyta mnie za ramię, żebym nie upadła.

– Kocham cię. Zadowolona? – krzyczy. – Siądziesz wreszcie?

Gapię się na niego. W strugach deszczu nie widzę wyraźnie twarzy, ale kamień spada mi z serca. Nie jestem sama w tej całej akcji. A może tym wyznaniem chciał mnie tylko spacyfikować? Tym razem nawet nie próbuje skraść mi buziaka. Tylko patrzy.

Bum, bum! Po niebie przetacza się kolejny grom. Osuwam się wolno i siadam przemoknięta, zmarznięta i zaabsorbowana wyznaniem Mike'a Garry'ego, które raz po raz brzmi w mojej głowie. Ciepłe, kochane słowa. Nie sądziłam, że je od niego usłyszę. Mój najlepszy przyjaciel. Chłopak, który zawsze był w pobliżu.

Dziwne uczucie. Całkiem nowe. Nie potrafię ogarnąć tej mieszaniny szczęścia, zakłopotania i zaskoczenia, które kłębią się w moim sercu. Dygocę. Chętnie poddałabym jego słowa drobiazgowej analizie i oświetliłabym je reflektorem punktowym, żeby ustalić, dokąd mogą nas zaprowadzić. Oznaczają, że jesteśmy razem? Są nowym otwarciem? A może to słodko-gorzkie pożegnanie i odtąd każde z nas będzie żyło własnym życiem?

Przybijamy do pomostu.

Mike wyłącza silnik i podchodzi do burty, żeby przycumować łódkę. Ogląda się przez ramię i pyta:

– Pomożesz mi?

Stoję jak słup. Przelykam ślinę i kiwam głową. Weź się w garść,

Toni. Chciałabym scałować krople deszczu z jego ust, przytulić twarz do jego piersi i rozpocząć nowy etap naszej znajomości. Tu i teraz. To przecież najpiękniejszy czas. Ale nic z tego. Chwytam cumę rufową i przywiązuję łódź, a Mike uwija się na dziobie. Jego ruchy są szybkie i gwałtowne, jakby był wściekły. Dlaczego się złości?

Wskakuję na pomost i kucam, żeby mocniej zawiązać linę, ale wciąż gapię się na Mike'a, który uporał się już z cumą dziobową. Mamrocąc niewyraźnie, chwyta turystyczną lodówkę i wyłazi na pomost. Telepatycznie błagam, żeby na mnie spojrział. Daremne nadzieje. Ogarnia mnie panika. Sytuacja nagle się zmieniła. Wszystko przepadło?

Z roztargnieniem zaciągam węzły, ale mam zamęt w głowie. Inaczej to sobie wyobrażałam. Wodnik i ja powinniśmy się teraz całować, tak? Zabrzmiało miłosne wyznanie.

Gwałtowny powiew wichury sprawia, że chwieję się na nogach. Przechyliłam się do przodu, lada chwila wpadnę do wody. Krzyczę, a Mike chwyta mnie wpół, zaciska ramiona wokół talii i mocno przyciąga do siebie.

– Już dobrze – szepce mi do ucha. – Mam cię.

Wstaję i odwracam się, czując na biodrach uchwyt jego rąk. Przyciskam dłonie do torsu Mike'a. Deszcz leje się strumieniami. Znowu grzmi, ale moje serce dudni głośniej.

– Normalka – mówię.

– Co? – Odsuwa mokry kosmyk włosów przylepiony do mego policzka.

– Jak zwykle ratujesz mnie z opresji.

– Słyszałaś, co powiedziałem na łódce? – Mike chrząka i odwraca wzrok.

– Że mnie kochasz? – Uśmiecham się.

– Aha. Słyszałaś. – Wzdycha i pochmurnieje. Gardło mam ściśnięte, gdy wypuszcza mnie z objęć, pociera zarost i robi krok w tył.

– Wolałbyś, żeby mi to umknęło? – pytam z bijącym sercem.

O Boże. Żałuje swoich słów. Były totalną pomyłką. Mam gulę w gardle, lecz staram się powstrzymać łzy.

– Zapomnijmy o sprawie – rzuca, machając ręką, jakby chciał

jednym magicznym gestem wymazać tamtą chwilę. – To bzdura. Nie wiem, co mnie napadło.

Czuję się tak, jakbym dostała kopniaka w brzuch. Boli okropnie. Brak mi tchu, gdy przyglądam się imionom wydrapanym przed laty na drewnianym pomoście.

– Toni, musimy wracać. – Mike dotyka mojego ramienia. – Okropnie zmokliśmy. Już się dziś nie przejaśni. – Próbuje mnie za sobą pociągnąć, ale się wyrywam.

– Mówiłeś poważnie?

– Oczywiście! Najpoważniej! – Mike pociera kark.

– To czemu się wycofujesz? – pytam drwiąco. – Dlaczego mamy udawać, że tamte słowa nie padły?

– Bo mi nie odpowiedziałaś – tłumaczy przyciszonym głosem. Mrugam wilgotnymi powiekami.

– Naprawdę?

Mike kręci głową. Przetwarzam informację. Ależ ze mnie kretynka! Jak mogłam nie odpowiedzieć na jego wyznanie?

Rozlega się głośny plusk. Oboje jesteśmy zaskoczeni. Odwracam głowę, żeby spojrzeć na jezioro. Za kurtyną ulewnego deszczu pojawia się ciemny kształt prujący fale. Na pewno coś tam jest. Żywa istota. Legendarny stwór.

– Mike! Spójrz! – Wskazuję kształt majaczący wśród potężnych fal: olbrzymi, zwinnie, dyszący. Potężny ogon wznosi się nad wzburzoną powierzchnią jeziora i opada, rozbryzgując wodę.

Spoglądam przez ramię, czując strach i radość. Mike powinien filmować ten cud, lecz zamiast patrzeć na jezioro, wpatruje się we mnie tęsknym wzrokiem.

– Powiem to jeszcze raz. – Wzdycha głęboko. – Jeśli nic do mnie nie czujesz, będę musiał z tym żyć. Kocham cię, Toni. Przykro mi, jeśli wszystko rozwalam, ale...

– Ja też cię kocham – przerywam w pół zdania. Szczeka mu opada. Zaskoczyłam biedaka. – Przepraszam – dodaję, odwracając głowę i spoglądając mu w oczy. – Od razu chciałam ci to wyznać, ale się pogubiłam. Wiele razy powtarzałam w myśli te słowa, więc zdawało mi się, że już wiesz. Kocham cię. Kocham cię, Mike.

Chwyta moje ręce. Dłonie ma zimne i szorstkie jak przystało na dzielnego odkrywcę. Dotyka mojej szyi, ucha, policzka. Zbliżamy się coraz bardziej, więc zadzieram głowę, żeby popatrzeć mu w oczy, ale to żaden problem. Wcale mi to nie przeszkadza. Jest OK.

– Akcja jak z komedii romantycznych, które uwielbia Lanser – mówi z uśmiechem Mike. – Proszę bardzo. Wyznajemy sobie miłość w ulewnym deszczu.

Wybucham śmiechem.

– Nie panikuj. To miłosna historia z potworem w tle. Spójrz na jezioro.

Mike mruży oczy i przeczesuje spojrzeniem powierzchnię wody.

– Nic nie widzę.

– Spoko – szepczę mu do ucha. – Przez cały czas tam był. Miałeś rację.

Mike obejmuje mnie mocniej. Ulegam czarowi chwili, nasze usta się spotykają. Stoimy przytuleni. Ten pocałunek różni się od poprzednich. Żadnych prób i błędów. Całkowita pewność. Zapominam o przeszłości. Nie interesuje mnie przyszłość. Potwór z jeziora chwilowo się nie liczy.

Oto my. Żywa legenda.

